



<http://rcin.org.pl>







MÓJ TESTAMENT.



# MÓJ TESTAMENT

POWIEŚĆ.

---

Mea, Obrazek kanadyjski.

---

W Sercu Garbuska, Powieść.

przez

Esteję



KRAKÓW.

NAKLAD G. GEBETHNERA I SPÓŁKI.

WARSZAWA. — GEBETHNER I WOLFF.

1891.

<http://rcin.org.pl>

---

Kraków. — Druk Wł. L. Anczyca i Spółki, pod zarz. J. Gadowskiego.

<http://rcin.org.pl>



# MÓJ TESTAMENT.

Helence O.

Esteja.



I-29622  
<http://rcin.org.pl>

Dzisiejszy dzień stanowiłby epokę w mo-  
jem życiu — gdybym żyć miała...

1) Stefan oświadczył się ojcu o moje rękę,  
ojciec naturalnie oddał mu ją, — byłby oddał  
rękę dziesięciu córek, gdyby je miał.

2) Długo samnasam ze Stefanem rozma-  
wiałam i

3) Wskutek tej rozmowy okropnie byłam  
wzruszona — co spowodowało trzeci atak ser-  
cowy.

Na chwilę przytomność straciłam — myśla-  
łam, że to koniec, że się obudzę gdzieś na in-  
nym świecie, — ale obudziłam się na tym je-  
szcze, więc piszę testament, bo nuż śmierć po  
mnie się zgłosi, to lepiej być w porządku.

Jak na taki dzień stanowczy, mimowoli  
przywiązuje się wagę nawet do szczegółów, do  
drobnostek; — zabobonna nie jestem, — w sny  
nie wierzę; — uważana jestem nawet za *esprit  
fort*, — mimo to dzisiejszy sen zrobił na mnie

wrażenie, właśnie dlatego, że poprzedzał takie ważne fakta.

Śniło mi się, że umarłam i szłam za własnym pogrzebem; — honorowe miejsce miałam za trumną. Oprócz mnie nikt nie płakał, czemu się nie dziwiłam — ale co mnie okropnym żalem przejmowało. — Wiatr tylko litował się nade mną i wył i świszczwał, — niebo płakało także drobnymi kroplami, spadającymi na trumnę, w której byłam zamkniętą. Konie kirem okryte, błotem „cementarników“ obryzgiwały, — smutno było bardzo.

Mnie było smutno szczególnie dlatego, że Stefan szedł za mną umarłą i nie żałował. Nie żał mu było serca, które nim tylko żyje, nim oddycha, jego jest pełne, — dla niego widocznie, tylko dla niego stworzone, — nie żał mu było, że serce pękło z bólu. Pewnie z bólu.

Dziwaczny sen taki; — szkoda, że nie jestem Faraonem i że Józef już nie żyje.

Więc piszę testament — zawsze to bezpieczniej. — Brrr... a jednak ja się śmierci boję, — okropnie. Ale niezawsze, to zależy od usposobienia, — gdy jestem w fazie religijnej, łatwo mi jest wyrzeknąć *fiat*.

Ale kiedy, według wyrażenia cioci, pogański wiatr zawieje, to mi niemiła myśl grobu.

Prześladuje mnie pytanie: kto, dla kogo właściwie stworzony, czy człowiek dla świata, czy świat dla człowieka. — Bo przypuśćmy nawet, żeśmy ujarzmili konia, osła, wołu, lwa i słonia i tygrysa, — ale czegoż to dowodzi? Nie ujarzmiliśmy robaków różnego gatunku, bardzo brzydkich, bardzo licznych i żarłocznych. My z nich pożytku nie mamy, — one z nas mają wielki, — bo one nami żyją. Zjedzą nas prędzej, później. Zatem, kto dla kogo stworzony, — robaki dla nas, czy my dla robaków? — Prędzej to ostatnie.

Trudno, aby uwagi takie rozjaśniały mój horyzont, — a wiele w tym rodzaju pytań bez odpowiedzi jeździ mi po głowie.

Ale wracam do testamentu. — Wykonawczynią mojej ostatniej woli postanawiam moją jedyną i drogą przyjaciółkę, więcej niż siostrę, Helenkę Wyszomirską. Wbrew podaniu, przyjaźń nasza nie znała chmurki jednej, w piasku bawiłyśmy się razem bez zatargów, dzieliłyśmy się lalkami, zamieniając często porcelanowe córki, zawsze zgodnie, uczyłyśmy się razem bez zazdrości jedna do drugiej, bywałyśmy razem na balach nie szkodząc jedna drugiej, jesteśmy bliskie sobie duchem, sercem, inteligencją. Helenka tylko lepsza i słodsza ode mnie. Ona ma

mnie za rozumniejszą, ale to pomyłka; największy rozum potrafić wzbudzić miłość, — ona to umie, a ja nie, — więc ona mędrsza.

Helenka jedna papiery te otworzy po mojej śmierci, odda i zabierze wszystko co komu przeznaczam, a testament podrze, aby niczyje oczy nie padły na niego. Przedewszystkiem rozporządzam tem, co mam najdroższego. Fortepian mój oddaję Stefanowi, tylko proszę, aby go z miejsca nie ruszano. Bechstein piękniejszego instrumentu nie pokaże już światu. Cała orkiestra w nim się znajduje, a miękki, aksamitny ton pozwala na wywoływanie melodyj tak delikatnych, tak eterycznych, że nie wiadomo czy gdzieś płyną z niepochwytnych, nadziemskich przestworzy, czy też ręka duchów zlekka klawiszy dotyka.

Cudne chwile życia przy tym fortepianie spędziłam; bo nie na nim gam mnie uczono, nie na nim klapsy od panny Emilii dostawałam. Za kilka rzeczy wdzięczna jestem ojcu, mianowicie za to, że we mnie talent do muzyki rozwijał, że mi dał najlepszych mistrzów za przewodników, że wkońcu, gdy już poprzysięgłam dozgonny zachwyty Chopinowi, Schumanowi, Szubertowi i klasykom, dał mi ojciec Bech-

steina i nie przeszkadzał nigdy sercem całym mu się oddawać.

Kochany fortepian! Jeżeli każda chwila rozkoszy, jaką tu odczuwamy, ma stanowić ujemny bilans na tamtym świecie... Na tamtym? Na jakim? Na Saturnie, czy na Wenus? — Gdybyż nam choć to jedno podano za pewnik, gdzie my żyć będziemy wiecznie. Podobno cudowna ma być harmonia wszystkich ciał niebieskich gdy krążą w przestrzeni; może one to właśnie tworzą tę muzykę, o jakiej ucho ludzkie nie słyszało, — może to one najcudniejszą melodyą nucać wieczne Hosanna?

Ciekawa jestem, z kąd się bierze geniusz muzyki na tym padole nędzy i materyalizmu?

Bo malarze naśladowają naturę, rzeźbiarze także i poeci słowami tylko się posiłkują, a słowo dane jest wszystkim ludziom; ale z kąd się bierze wzór na melodye, tak pełne harmonii a tak różne od głosów choćby najdzwięczniejszych natury, — o tyle bogatsze od śpiewu słowików, tych mistrzów w przyrodzie?

Z kąd my czerpiemy to, czego nigdzie wkoło siebie ani widzimy, ani słyszymy? Nie może być inaczej, tylko dusza twórcza Rossinich, Haydnów, Beethovenów schodzi na ten świat już po jakiej długiej pielgrzymce z pamięcią

harmonij doskonalszych światów, bo człowiek sam przez się tworzyć z niczego nie może, — zkądżeby więc stworzył muzykę?

Pierwszy raz Stefana zobaczyłam przy moim fortepianie, — zobaczyłam i pokochałam.

Było to rok temu. — Ojciec gorączkowo na niego czekał, ja mniej. — Coż w tem dziwnego? Ojciec jest właścicielem majoratu — ale syna nie ma. Biedny papa! on wieczny żal do mnie mieć będzie, że się córką zamiast synem urodziłam.

Stefan jest jedynym i ostatnim z rodziny ojca po mieczu. Kuzyn mój. — Biedny Stefan i dla niego może byłoby lepiej, gdyby nie miał kuzynki we mnie.

Papa dopiero od dziś Stefana pokochał, — od kiedy się o mnie oświadczył — ale dawniej go nie cierpiał; widział w nim zawsze uzurpatora, — a cóż on temu winien, że ja się synem nie urodziłam? Ja winnam wszystkimu. Było to całkiem niepotrzebną fantazyą na świat się wybierać; ani sobie, ani innym na pociechę. Ojciec więc czekał na Stefana gorączkowo rok temu, bo kiedy już raz wszystko co nasze, ma być jego, warto było się przekonać jak wygląda „uzurpator“.

Ja nie byłam ciekawa wcale, — mnie nu-



dził tylko oczekiwany najazd człowieka, dla którego przychylnie nie byłam usposobiona.

Weszłam do mego prywatnego saloniku drzwiami z ogrodu. Powinnam się była dziwić i gniewać na intruza, który do mego osobistego przybytku wkwaterował się bez ceremonii.

Tymczasem stanęłam oczarowana, — i czar trwa dotąd. Stefan grał z pamięci fugę Bacha. Tak był pochłonięty potokami harmonii, jakie mu zpod palców płynęły, że nie domyślał się nawet mojej obecności.

Pełne akordy jak wezbrana fala zalewały salonik mój, oktawy za oktawami z imponującą wprawą i pewnością goniły jedne za drugimi, energia cechowała grę Stefana; a gdy dostrzegłam profil jego, zrozumiałam jak bardzo pewne dotknięcie ręki jego licuje z energią na twarzy wypisaną.

Tak mnie muzyka przykuła do miejsca, tak zupełnie mną o władnęła, że nie zastanowiłam się, o ile stosowniej byłoby wysunąć się niepostrzeżenie i według reguł za pomocą ojca ze Stefanem się zapoznać.

Po akordach i pasażach unosił się teraz w powietrzu śpiew tak delikatny, *pianissimo* tak wycieniowane, że wyglądało to na czułe, serdeczne wyznanie miłości. Niby rozmowa dwojga

zakochanych, którzy sobie takie cudne rzeczy mówią i tak się rozumieją, taką archanielską harmonią tworząc. A Stefan tak po mistrzowsku umiał oddać najdelikatniejszą, eteryczną, koronkową myśl genialnego twórcy.

Jak go nie miałam pokochać od razu? — Chociaż romantyczną nie jestem, i w miłość objawiającą się jak uderzenie gromu nie wierzyłam, a jednak — wierzę teraz. Fortepian mój był przewodnikiem, muzyka różczką czarodziejską. Zanim mi się Stefan przedstawił, już wiedziałam, że go kocham; ani myślałam się bronić, ani na chwilę walczyłam z tem uczuciem. Poddałam mu się z fatalizmem wschodnim; wiedziałam, że oprzeć się nie potrafię, tak jak się wybrzeże nie oprze morzu gdy je zalewa.

Nie wiem jak długo byłby Stefan grał jeszcze, i jak długo byłabym w miejscu stała, gdyby nie ciocia, która wpadła jak huragan. Okropny to dysonans wywołało, ale... życie z dysonansów się składa.

Stefan grać przestał, a rzuciwszy okiem na ciocię, potem na mnie, z wielkiem zdziwieniem na mnie je zatrzymał.

Czemu na mnie a nie na cioci, tego nie pojmuję, bo takich okazji jak ja, dużo pewnie na świecie, a takich jak ciocia... bodaj czy to

nie unikat. Już nie mówię o tuszy, ale wieża Eiffel, wieńcząca spiczasto i wysmukle tę kopułę baniastą...

Biedna ciocia! Cóż ona temu winna? — jednak patrząc na nią, mimowoli przychodzi na myśl określenie niemieckie: „Gdyby moja ciotka miała koła, byłaby starym omnibusem“.

Jeżeli omnibus stary, to przyznać trzeba, że znakomicie polakierowany i to jaskrawemi barwami. — Ciocia nosi binokle ogromnej długości, osadzone na patyku masywnym, z brylantowym monogramem; — ja patyk ten nazywam herkulesowską maczugą. Mam pewien respekt przed nim, bo ciocia gestykułuje zawzięcie i ową lornetką macha z zapalem — czasem w gniewie... niestety, — a gdybym wzięła na egzamin Franję, jej kameryerę, to kto wie, czyby nie przyznała się do jakich sińców, maczudze zawdzięczanych.

Lornetka niewiele pomaga, bo ciocia mimo tego instrumentu nigdy nic nie widzi, a raczej widzi ale wszystko przewrotnie. Gdy zobaczyła mnie w progu a Stefana przy fortepianie, nie omieszkała mnie wziąć za Stefana i *vice versa*. To spowodowało zabawne dosyć zajście i poznałam się z moim kuzynem a dzisiejszym narzeczonym, pod egidą cioci Omnibusa.

Szkoda, — byłabym wolała zostać pod egidą muzyki, — ale w życiu wzniosłe ze śmiesznem tak bliską ma łączność.

---

Jeżeli tym trybem dalej pisać będę, to nie prędko skończę testament, a obmawianie ciotek w ostatniej swej woli jest mniej przykładne.

Mniejsza o to. Nic nie zmienię. Jeżeli umrę, to Helenka spali te fantazyje mojego pióra, a jeżeli też żyć będę, to za jakie kilkanaście lat z przyjemnością odczytam dawniejsze wrażenia.

Fortepianem już rozporządziłam. Teraz kolej na te dwa fotele, w których naprzemian siadać lubię. Najpiękniejsze książki czytałam zagłębiona w moim safianowym foteliku, a najciekawsze rozmowy prowadziłam siedząc na drugim, starą makatą obitym, tym, co stoi w niszy mego saloniku przy oknie, z widokiem na staw i łabędzie.

Komu dać te fotele? Wszyscy do nich pewne prawo mają. Papa obznajmiał mnie z wysoką grą, właśnie gdy siedziałam na fotelu safianowym. Uczył mnie jaka jest wartość kart, które w rękę trzymam i jak manewrować trzeba, aby do końca życia atut zachować.

— Masz posag (to miało znaczyć, że dużo

wartościowych kart w grze mojej), masz urodę (jedno atu), masz stare, świetne nazwisko (drugie atu), masz tytuł (trzecie), masz *le prestige* bogactwa wkoło siebie (czwarte ale słabsze), więc od ciebie tylko zależy, aby dobrem wydaniem się za mąż stały grunt wyrobić sobie pod nogami.

— Więc ja dotąd nie mam stałego gruntu? — zapytałam naiwnie.

— Nie, — bo niechby mnie się przyszło wynieść na tamten świat, to wszystko, co wkoło siebie widzisz, zabierze obcy człowiek -- *à moins*.

— *A moins?* — pytałam dalej z ciekawością.

— *A moins*, że się postarasz, aby ten obcy przestał być obcym, przeciwnie, aby ci się stał najbliższym.

— A to jakim sposobem? — pytałam jeszcze, ale z pewnem niezadowoleniem w głosie.

— Jesteś dosyć inteligentna na to, aby mnie zrozumieć.

— Prawda, jestem inteligentna, a ojciec zapomniał tego między atutami wymienić.

Papa trochę gniewnie na mnie spojrział; — nie lubi kiedy persifluje, — tego mu za złe nie biorę. Ja z mej strony nie lubię, kiedy jego rzeczy z ciemnych robią się jasne, prawie żółto-

popielate — to nieładny kolor, — a papa gdy się gniewa, zawsze żółtawym wzrokiem patrzy i wolniej wtedy mówi, dobitnie, a *sz* i *cz* syczą dłużej niż potrzeba.

Tak patrząc na mnie i tak mówiąc odparł:

— Nie zapomniałem, — ale ja uważam, że mądrość dla kobiety jest ssstanowczo (podkreślone) szszkodliwym narzędziem. Mądra kobieta traci na wdzięku, — mądrości swej użyć nie umie. Zresztą im mędrsza, tem skorsza do szaleństw, — do tego stopnia, że ja nie umiem rozróżnić między kobietą mądrą a szaloną gdy na fakta patrzę. Kobieta powinna tylko być piękną i sssłodką (to ostatnie wyraźnie na moję intencją było podkreślone). Jeżeli nie jest słodką w gruncie, powinna maskę słodyczy nosić, — inaczej nie będzie kochaną. Na maskę słodyczy każdy mężczyzna się weźmie, — to niezawodna wędka. Najdrapieżniejsze i najbardziej ograniczone kobiety odgadują to przez intuicyą, i tą bronią podbijają serca. *Quittes à s'en dédommager plus tard.* Tylko mądre kobiety nie chcą się nagiąć do tej konieczności pod pretekstem, że im na to wyższość nie pozwala, — to też przegrywają w życiu; bo nie być kochaną dla kobiety, to przegrać; — albo

ujarzmiać muszą, albo zgóry są pobite i skazane na marną egzystencją.

Doskonale zrozumiałam, dlaczego papa taki nacisk kładzie na owej słodyczy i rozumie, to też jak winowajczyni głowę i oczy spuściłam milczałam.

Ojciec miał widocznie *idée fixe* w głowie, bo bez żadego łącznika z poprzednim speech'em zapytał mnie:

— Czy chciałabyś poznać Stefana Kossowieckiego?

Oniemiałam. — Ojciec powtórzył pytanie.

— Nie zastanawiałam się nad tem.

— Zanim się zastanowisz, pewnie go zobaczysz; mam list od niego, — będzie tu za kilka dni.

Rzeczywiście po kilku dniach zobaczyłam Stefana przy moim fortepianie po raz pierwszy.

Komuż ja zapiszę ten fotel? Ojcu? Toby na ironią zpoza grobu wyglądało. Życie jest ironią, to wystarcza, — śmierć nie z nią nie ma wspólnego.

Papa mnie nie kocha. — Naturalnie, przeze mnie złoty cielec wyjdzie z rąk jego rodziny.

Ojciec mój taki przywiązany do swojej ordynacyi, — i nie dziw. Takie piękne pałace, lasy, łąki, łany, stajnie, psiarnie, gorzelnie, bro-

wary. — Tyle folwarków, a to wszystko tyle złota daje, tyle...

A ojciec tak lubi złoto; któż go nie lubi? Ja jedna, i to dla dobrych racyj.

Zawsze się to papie chwali, że dba o „grunt“, jaki będę miała „pod nogami“ po jego śmierci, — mogłoby to mu być obojętne. Więc jakaś iskra przywiązania ojcowskiego tleje w nim widocznie. A że tylko tleje, toć moja wina, — czemu się synem nie urodziłam?

Fotelik safianowy oddam Helence, a dlatego Helence, że to ona mówiła mi pierwsza, gdy w nim siedziałam:

— On ciebie kocha.

— Kto?

— Stefan, naturalnie.

— Dlaczego naturalnie?

— Nie mówiłabym ci o miłości innego; — toby cię nie zajmowało.

— Zkąd ten wniosek?

— Bo ty jego kochasz, więc nie możesz dbać o innych.

— Więc tobie się zdaje, że on mnie kocha?

— Nie zdaje mi się, — jestem pewna.

— To tylko dowodzi raz jeden więcej, że niczego na świecie pewnym być nie można.

— Więc ty wątpisz?



— Przeciwnie — pewna jestem... tego, że się mylisz.

Biedna Helenka próbowała się ze inną sprze-  
czać, ale mnie nie przekonała. Jej brat, Kon-  
stanty, Kotek poczciwy, ten mnie kocha, ale  
Stefan, mój narzeczony...

Helenka zabierze mój safianowy fotel, a Kot  
ten drugi, makatą obity. Bo tam siedząc my-  
ślałam, jaka to dobra i nieoceniona rzecz, mieć  
jedno zacne serce na własność, coto za sze-  
rokie królestwo i jak wiele rozkoszy dać może  
panującemu... Wtedy przyszedł mi Kot do głó-  
wy, i rozczuliłam się bardzo, pytając wszystkich  
bogów Olimpu, czemu ja Kota kochać nie mogę,  
albo czemu mnie Stefan kochać nie może.

Helenka wie o tem wszystkiem, więc się  
niczego nowego nie dowie z mego testamen-  
tu. — Jej tak przykro, że się owe „sentymen-  
ta“ tak pokrzyżowały — poplątały niezgrabnie—  
ale obiedwie nie próbujemy rozmotać tego za-  
czarowanego kłębka, — bo gdy raz uczucie  
wezbrało i wylało na zewnątrz, to go nie do  
swego źródła nie powróci.

„Wstecz nie płynie w rzece woda.“ —  
Tylko Bóg może koryto rzeki odwrócić —

ale gdy mu raz inny nadał kierunek — taka widać była wola Jego, a woli swej nie odmienia — nie może... choć Wszchemogący.

Helenka sierota i ja sierota. — To nasz główny łącznik. — Cioci jedyna, ale wielka zasługa w tem, że zatrzymywała ją całemi miesiącami i latami u nas. — W sąsiedztwie mieszkamy. Z nią i z Kotem pierwsze były moje popisy niezależności — w całym znaczeniu tego słowa po głowach ich jeździłam, ale oni, gdy o mnie chodzi, pozwoliliby się brać na tortury, — tyranii, gdy z mojej ręki, nie czują. Poczciwi, jak ja ich kocham!

Pamiętam pana Konstantego, gdy siedział na tym samym fotelu, który mu przekazuję. Ja pisałam list jakiś przy biurku, ale mi nie było składnie, bo czułam wzrok jego na sobie. Doskonale go widziałam nie patrząc na niego, palił papierosa, za specjalnem upoważnieniem z mej strony. To wielka łaska, nawet papa u mnie nie pali, Stefan mógłby, ale że jesteśmy na ceremonialnej stopie, nigdy mnie o to nie prosił.

Kotowi jednak, jak bratu, niejedno wolno.

Siedział tedy, kłęby dymu puszczał, kiwał nogą przełożoną jedna na drugą, i patrzył we mnie, jak w tęczę, głęboko zamysłony.

Denerwowało mnie to, więc raptem głowę odwróciłam i zapytałam:

— Czy mnie pan pierwszy raz widzi?

— Taką jak dziś — pierwszy.

— A to ciekawe..

— Dla mnie więcej smutne, niż ciekawe.

— Czy zbrzydłam?

— Nie, wypiękniała pani — i to tak nagle — tak uderzająco.

— To pana martwi?

— Całkiem egoistycznie. — Powinno mnie cieszyć, widzieć, że pani szczęśliwa i zdrowa. — To pierwsze, mimowoli do melancholii mnie skłania, to drugie czyni mnie bardzo szczęśliwym. Zdrowie pani niepokoiło mnie i Helenkę.

— Jestem znacznie zdrowsza, ale o szczęściu... dotąd nie wiem.

— A jednak...

— A jednak — co?

— Ojciec panią wyda za hrabiego Stefana.

— Co panu w głowie, panie Konstanty!

— Nic — przepraszam, to bardzo niedyskretnie z mojej strony.

— O niedyskrecyi między nami mowy być nie może, pan jesteś bratem dla mnie.

— Wiem — dziękuję pani i...

— I?

— Rezygnuję się.

Ta cała rozmowa tak mi żywo stoi w pamięci. To było na miesiąc przed mojem zaręczeniem. Był to jeden z tych wyjątkowych dni, w których mi się zdawało, że mnie Stefan kocha. Choć się wypierałam mego szczęścia przez wzgląd na Kota, ale byłam bardzo szczęśliwą dnia tego. To mnie tak upiększało widocznie. Jakże mi się zdawać nie miało? Stefan od kilku dni był u nas; a każda chwila jego bytności była zaczarowaną.

Jednego wieczoru siedzieliśmy razem w bibliotece. Ogień się palił na kominku, lampa zdaleka zaledwie oświecała wysoki, poważny pokój. Ponsowe światło abażuru łagodnie i niewyraźnie rozlewało się na wszystkich przedmiotach. Trochę ostry profil Stefana wydawał się w tej chwili prawie promienny spokojem i zadowoleniem; a to tak rzadki widok. Papę odwołano do kancelaryi, ciocia została. Początkowo głos jej ciągle brzmiał w przestrzeni. Nie potrzebuje ona, aby kto słuchał jej opowiadań, można śmiało twierdzić, że w przystępie elokwencyi sama sobie wystarcza. Z początku wiedziałam o co chodzi, była to jakaś długa historia o księżniczce Natalii i jej zgubionym zaręczynowym pierścionku, powoli jednak myśl

moja uleciała bardzo daleko. Stefan milczał jak zakłęty. Gdy się cioci temat wyczerpał, ziewnęła kilka razy i pod pretekstem ważnego listu do napisania, wyniosła się.

Zostaliśmy sami. Milczenie trwało zawsze.

Oboje patrzyliśmy w ogień; raptem równocześnie podnieśliśmy oczy i spojrzeli na siebie. Wzroku Stefana nigdy wytrzymać nie mogłam, czułam, że całą twarz miałam zaczerwienioną, czułam jak krew, nawet czoło mi zarumieniało. Stefan oczu nie spuścił, chwilkę milczał jeszcze. Nareszcie zapytał mnie:

— Bardzo złe pojęcie musisz mieć o mnie Elzo! Przyznaj, że ci się wydaję oryginałem pierwszej próby?

— Nie jesteś tuzinkowym kuzynie, to nie alega wątpliwości.

— Przyznaj się, że masz mnie za fantastyka.

— Nie, zmienność usposobienia twego nie-raz mnie frapowała, ale zanadto wiele masz rozumu, aby takie zmiany bez powodu następować mogły. Przypuszczam, że musisz mieć przyczynę do smutku, kiedy smutny jesteś.

— Zanadto dobrą jesteś kuzynko; więcej pobłażliwą niż na to zasługuję. Mimo powodów do smutku nie powinienem się poddawać przynajmniej zewnętrznie „spleenowi.“ Jestem wiel-

kim egoistą, nie umiem panować nad sobą. Gdy mi wygodnie milczeć, towarzystwo niedźwiedzia byłoby pewnie zabawniejszem od mego.

— Milczenie twoje nie przeszkadza nikomu. Ja przedewszystkiem nie lubię gadatliwych ludzi. Mnie tylko przykro, gdy widzę tyle przygnębienia i zniechęcenia na twojej twarzy.

— Ty jesteś bardzo dobra, bardzo dobra Elzo. Ty jesteś wyższą kobietą. Równiej tobie rozumem i sercem nie spotkałem.

— O Stefanie, nie egzaltuj się, sam nie wierzysz temu co mówisz.

— Nie wierzę? ależ nietylko wierzę, ja czuję co mówię. Ty jesteś świętą dla mnie, doskonałą. Ty stoisz na piedestale, tak wysoko, że ja nie śmiem do tych wyżyn oczu nawet podnieść. Ty jesteś za dobrą na ten świat, mnie upokarza wyższość twoja.

Chciałam mu przerwać, ale daremnie usta otwierałam, głos mi uwiązł w gardle; musiałam być blada bardzo w tej chwili. Słyszałam każde uderzenie mojego serca. Stefan był nienaturalny i rozgorączkowany. On nerwami żyje. Nerwy jego! Boże mój, wieleż mnie one razy w błąd wprowadziły.

— Twoje równe usposobienie imponuje mi, —mówił dalej,— Ja taki szorstki jestem, nie-

cierpliwy, wrażliwy. Gdybyś ty mnie nauczyć mogła tej pogody, tej wyrozumiałości. Mnie wszystko drażni. Tyle rzeczy mnie męczy, nudzi. Na dziesięć zdarzeń w życiu, dziewięć mnie denerwuje, albo dręczy. Żadnej równowagi nie mam w usposobieniu. Sam cierpię i drudzy cierpią przeze mnie. Chory jestem. Stworzony na udręczenie tych, których kocham. Im bardziej ich dręcę, tem więcej się unieszczęśliwiam. Pogardzam sobą. Widzę to, zmienić tego nie mogę.

— Artystą jesteś Stefanie, artyści mają więcej wrażliwości, wszystko w większych rozmiarach widzą, goręcej czują, łatwiej równowagę tracą. To ciebie dużo więcej unieszczęśliwia niż tych, co cię kochają i których ty kochasz; ci wiedzieć muszą, że nie przez brak serca albo złą wolę robisz im przykrość.

— Czy ty się czujesz zawsze szczęśliwa i spokojna?

— Ja? — zdziwionemi oczyma spojrzałam na niego; myślałam, że żartuje.

— Ja cię zawsze spokojną widzę.

— Pozory myślą widocznie. Jestem bardzo buntowniczym duchem; różne przesilenia i ciężkie chwile przechodzę nieraz wewnętrznie. Dlatego tak byłam zdumiona egzaltowaniem się twojem na mój rachunek.

— Nie nie odwołuję, tem większa zasługa jeżeli tak imponująco umiesz panować nad sobą.

— Zasługa nerwów.

Ciocia i ojciec wrócili. Między nami cisza zapanowała.

Po owej rozmowie pamiętnej, bo pierwszy to raz Stefan tak otwarcie mówił wtedy ze mną i taki egzaltowany hołd mi oddał, po owej rozmowie, nastąpiło kilka dni niczem niezmaconej pogody. Taki był dobry dla mnie, taki uprzedzający i taki wesół.

Potem wyjechał. Gdy wrócił, sposób jego bycia był całkiem zmieniony. Szorstki, prawie niegrzeczny był dla mnie. Powiedział mi, że nigdy kochać nie będzie; że jego życie skończone, że o nic nie dba. Ani się zbliżył do fortepianu, dowodząc, że muzyki nie cierpi. Gdy mu przypominałam dawniejsze zachwyty, odparł cynicznie:

— Proszę cię kuzynko, nie łap mnie za słowa, gdy moje nerwy mówią. Jeżeli ci się wydawać będzie kiedy, że się serce we mnie odzywa, to pamiętaj, że serce u mnie milczy. Wszelkie zachwyty moje, porywy, egzaltacje, to wszystko sztuczne, nerwowe. Bo tak na zimno rzeczy biorąc, ja o nic nie dbam, ani



o życie, ani o ludzi, ani o sztukę, ani o majątek. Wszystko mi obojętne.

Pocieszające wyznanie jak na tego, który ma być przyszłym mężem moim. Ale, zdaje mi się, że niema obawy, jeżeli wszystko pójdzie dalej tym samym trybem, to zanim ślub nastąpi, ja już gdzieś daleko bardzo ztąd będę, o setki milionów mil może.

A jednak, to nie pociecha. Jabyam żyć chciała, bo ja go kocham, Stefana. Serce mam przykute do ziemi tak silnym łańcuchem, że strach mnie tylko zdejmuje, czy w ostatniej chwili szamotania się, łańcuch ten zerwać, nie przejdzie sił moich, czy w ostatniej chwili, jak tchórz prawdziwy, o łaskę, o litość zebrać nie pocznę, o przedłużenie tego życia, które mi jednak tak cięży, i tak bardzo cięży.

---

Kwiaty moje oddaję żonie ogrodnika a mojej dawnej bońci. Mam trzy wazonny kwiatów, dwie rzadkie paprocie i lilią japońską wspinała. Gdybym ja po śmierci taką lilią być mogła — i nie czuć więcej — i nie kochać więcej i nie cierpieć więcej. A jednak...

Cobym ja bez mojej miłości tak tu, jak na

tamtym świecie poczęła? To jest rozkosz moja, choć to jest i męka moja, to jest życie moje, choć to jest i śmierć moja. Gdy tu żyć przestanę, kochać nie przestanę, bo żyć sercem także nie przestanę na tamtym świecie.

Czytałam dziś w dalszym ciągu „*Le mariage de Loti*“. „Boski Loti“, jak go Bourget nazywa. W nim mieszka dusza kobieca z pewnością, największe finezye serca, uczucia, on tak odgaduje. Jaki jest smutny, ale i zniechęcający ten ustęp: „Czy jest cierpienie równe temu... kochać i czuć, że głos twój stał się niczem, że to serce, które do ciebie należało, zamyka się, pomimo wszystkich twoich wysiłków. Że ponura i tajemnicza strona natury, znowu nim zawładnęła, pod swe prawo, w swoją moc chwyciła? A jednak kochasz sercem całem tę duszę, która się usuwa zpod twojej władzy... A potem, śmierć także czeka; zabierze prędko tego, którego uwielbiasz, który jest krwią krwi twojej. Śmierć bez zmartwychpowstania, bez nadziei, bo ten, który umiera, nie wierzy w nic co zbawia, i pozwala odżyć.

Gdybyż ta dusza ukochana była całkiem

złą albo zgubioną, może zrobiłoby się z niej ofiarę, jako z rzeczy niedobrej. Ale czuć, że ona cierpi, wiedzieć, że kiedyś była słodką, kochającą, czystą... Niby całun ciemności ją otacza, niby przedwczesna śmierć, która ją porywa i w lód zamienia.“

Tak Loti mówi. A każdy wyraz jego mnie z serca wyjęty. Loti dodaje: „Gdybyż było możliwem ocalić jeszcze tę duszę? Ale trzeba jechać, opuścić ją na zawsze i czas mija i ty nic nie możesz.“

Gdybym ja Stefana ocalić mogła, ale trzeba jechać, jechać gdzieś między miryady światów, i jego opuścić na zawsze. I nic nie mogę.

A choćby mi też danem było żyć dłużej? Czy ja jego ocalę? Czasem mi na myśl przychodzi, że póki nie zerwę tych okowów, które sama na ręce włożyłam, póty będę nieszczęśliwą, tak... ale gdybym je zerwała, byłabym jeszcze nieszczęśliwszą. To prawie na jedno wychodzi.

---

Gdy ojciec przyszedł mi powiedzieć, że się Stefan o mnie oświadczył, byłam prawie przerażoną, choć byłam przygotowaną na to. Nie łudziłam się, czułam, że nie miłość była moto-

rem mego narzeczonego. To też z prawdziwą szczerością odpowiedziałam ojcu:

— Sumienie obowiązuje mnie odrzucić propozycją Stefana. Papa to czuć musi, że on tylko przez poczucie obowiązku chce się ze mną żenić. Jego krępuje myśl, że to, co dziś do nas należy, on zabierze, to pewnego rodzaju restytucya, takie małżeństwo. A potem, papo, proszę mi wybaczyć, ale to taka ważna chwila, muszę być otwartą. Stefan musiał spostrzedz, jak bardzo papa pragnie naszego połączenia, on jest szlachetny i bezinteresowny; chciał papie wynagrodzić przykrość, jaką mu mimowolnie wyrządza. I on się za „uzurpatora“ poczytuje, to go męczy. Czyż papa tego nie pojmuje? Jakże my go mamy chwytać za słowo? To byłoby niegodnie z naszej strony.

— Czy skończyłaś? — Milczałam.

— Zwracam ci uwagę, że nigdy nie „niegodnego“ w życiu nie popełniłem. Wydaje mi się rzeczą całkiem naturalną, że Stefan ma sobie za obowiązek wynagrodzić krzywdę, nie chcąc nam wyrządzoną.

— Nie papo, ja się na to nie zgadzam.

— Rób jak chcesz, wolno ci ssobą rozporządzać, jesssteś pełnoletnia. Rozmówisz się

sama ze Stefanem i zadecydujesz. On się chce widzieć z tobą.

Nieledwie w chwili, gdy papa wychodził, wszedł Stefan. Okropnie był wzruszony, blady bardzo, a głos jego zdławiony z gardła wychodził, jak gdyby mu przychodziło mówić z największą trudnością.

Trudna to chwila była dla mnie. Odrzucać to jedno, to właśnie, co mogło nadawać wartość mojemu smutnemu życiu. Dlatego i ja tak byłam przejęta wewnętrzną walką, że głos mi zamarł w piersiach.

Jednak pierwsza zdobyłam się na odwagę i rzekłam:

— Jesteś znowu strasznie zdenerwowany Stefanie, staraj się uspokoić. Może lepiej na później rozmowę naszą odłożyć?

— Nie, Elzo, lepiej od razu. Ty wiesz o co chodzi?

— Wiem.

— Powiedz mi tylko tak, czy nie?

— Ty wiesz dobrze, że „tak“ powiedzieć nie mogę.

Stefan zbladł bardziej jeszcze, głowę odwrócił, ale widziałam jednak wyraźnie dwie duże łzy, które się stoczyły po jego twarzy. Łzy te kamieniem spadły mi na serce. Ja, ja go

dreczę, kiedy oddałabym ostatnią kroplę krwi z mego serca, aby okupić trochę szczęścia dla niego. Z drugiej strony, nadzieja wstąpiła we mnie, a może jednak on mnie kocha?

Nie śmiałam przerwać milczenia, nie śmiałam go pocieszać, bo te łzy mogły tylko z rozdrażnienia nerwów pochodzić.

— Czy to stanowcza twoja decyzja? — zapytał Stefan.

Zawahałam się -- po chwili odparłam:

— Stanowcza.

Ja siedziałam, on dotąd stał przy mnie, teraz zaczął wielkimi krokami chodzić po salonie. Staął znowu obok mego krzesła i zaczął zwolna, złamanym, ledwie dosłyszonym głosem:

— Przepraszam cię, Elzo, wybacz mi, że śmiałem do ciebie zanieść prośbę tak wielką; spodziewałem się odpowiedzi twojej. Ja nie powinienem szczęścia żądać, bo dla szczęścia nie jestem stworzony. We mnie jest jakaś siła trawiąca, pożerająca mnie; to nie choroba a jednak to gorsze od wolnego konania. Zdawało mi się, że ty jedna mogłabyś być zbawieniem mojem, wyciągnąłem rękę do ciebie, jak do jedyne go ratunku, ale to było szaleństwem. Ty mnie się bać musisz. Zkądże ja do

tego przychodzę, aby od ciebie poświęcenia wymagać?

Urywany, niepewnym głosem mówił Stefan, ostatni wyraz ledwie był dla mnie dosłyszalnym, a w jego oczach taki bezmiar smutku się odbijał. Słowa jego były dla mnie rewelacją. Więc on nie dla obowiązku, nie przez wzgląd na siebie i na mnie tylko, prosił o moją rękę? Więc on mnie potrzebuje? Więc ja mogę być czemś dla niego? To było dla mnie tak niezmierną i tak niespodzianą pociechą, że nie wierzyłam uszom swoim, byłabym chciała, aby powtórzył raz jeszcze to, co mówił z takim bezgranicznem przejęciem się, z takim bezgranicznem uczuciem, jak wtedy myślałam.

— Stefanie — rzekłam — czy ty jesteś pewnym, że byłbyś ze mną szczęśliwszym? czy ty doprawdy mnie potrzebujesz? czy ty mnie doprawdy...

Ale dokończyć nie mogłam — „kochasz“ to mi nie przeszło przez gardło. Dlaczego? nie wiem.

On ukląkł przy mnie, uchwycił obie ręce moje i patrzył na mnie tak smutnie a tak serdecznie.

— Czy ja ciebie potrzebuję? Więcej niż blasku słońca, więcej niż powietrza, więcej

niż życia! Bez ciebie życie będzie dla mnie ciężarem nie do zniesienia. Bez ciebie zmarnieję. Wiary nie mam, ty jesteś, ty byłabyś wiarą moją; nadziei nie mam. To jest okropne. Czy ty wiesz, co to ból bez nadziei ulgi? co to jest niczego, niczego się nie spodziewać, ani na tym świecie, ani na tamtym? Ty byłabyś nadzieją moją!

Chciałam zapytać znowu, czy to nerwy mówią czy serce, ale nie mogłam. Czułam, że onby to wziął za złośliwość, on w tej chwili taki był pewien tego co mówi, tak nie wątpił o szczerości słów swoich. Jak ja mogłam sprwadzać go tak bezwzględnie, tak szorstko na ziemię? To mi się meskineryą wydało, a potem...

A potem ja tak bardzo potrzebowałam wierzyć słowom jego, tak wyraźnie czułam wtedy te dwie osoby we mnie, jedną, która wątpiła, drugą, która wierzyła.

Jako konkluzją krótkiej walki wewnętrznej powiedziałam sobie:

— W każdym razie to pewna, że nie poczucie wyrafinowanego obowiązku nim powoduje.

Więc choćbym tylko chwilami pociechę dla niego być mogła, to dla mnie wystarcza. Gdybym tylko ukoić potrafiła ten ból wewnętrzny,



który go szarpie. Choćby czasem tylko, tak jak Dawid Saula koił w jego szamotaniu się, choćby on mnie też i podeptać miał w chwilach zwątpienia i cynizmu...

— Będę mu Dawidem — powiedziałam sobie — i tak się stało.

Tylko, że pan mój nie rzuca na mnie oszczepem, ale z drugiej strony, Dawid rzadko łaskę w jego oczach znajduje. Pan mój, ja go tak często panem moim nazywam i to mi radość sprawia. Ja nikogo nigdy na świecie nie słuchałam, nie wiem co to zaporą jakaś, gdy chcę czegoś, nie wiem co to bojaźń, nie wiem, co to uległość, co cierpliwość. Mam niepohamowaną, waryacką naturę; jeżeli jestem marzycielką, to tylko jak dawni Kozacy z szerokich stepów ukraińskich marzycielami być mogli.

Nie mam w sobie ani kobiecej uległości, ani słodyczy, ani pokory, ani żadnego z tych przymiotów, które mi się w drugich podobają. Ale gdy chodzi o niego, wszystko się zmienia.

On pan mój. Jego jednego się boję, bo go kocham; przy nim jednym jestem nieśmiałą, bo go kocham — a. gdybym jego uszczęśliwić mogła...

Gdybym! — Boże mój — to jest równie

niepodobne, jak marzyć o promieniach słońca, księżycy i gwiazd, z którychbym szatę chciała mieć utkaną, aby się jemu piękniejszą wydać.

To obłąd i to także wada sercowa; z tej także umrzeć muszę. Muszę, to dekret, to fatum nieuniknione.

Więc piszę testament. Naturalnie, wszystkoby jemu oddać chciała; ale on o tyle rzeczy by nie dbał. O jednego Bechsteina dbać będzie, i to jeszcze nie dlatego, że mój, ale dlatego, że on się więcej kocha w muzyce, w fortepianie moim, niż we mnie.

Muzyka, to wielka moja rywalka, ale ja ją kocham także, mimo że mi zabiera jego serce, uwagę, i tyle, tyle pięknych chwil.

Chociaż gdy Stefan gra, to tak, jak gdyby mi najcudniejsze rzeczy mówił.

---

Obraz Wniebowzięcia Defreggera, krucyfiks mój z kości słoniowej i klęcznik, oddaję Helence. Niech się za mnie modli, gdy mnie już nie będzie na świecie i niech mówi Bogu: „Panie tam jej daj spoczynek, bo tu cierpieniem wielkiem odpokutowała winę, że kochała więcej stworzenie niż Stworzyciela.“

Patrzę nieraz na Ukrzyżowanego i pytam

Go. — Ciągłe go o coś pytam, jak dziecko ciekawe. I jak dziecku ciekawemu na wiele rzeczy odpowiedzi mi nie daje. To jedno tylko chciałabym przeniknąć, co za cel w tem, że myśl moja kręci się błędna w jednym kole zaczarowanym? I czemu myśl ta w ruch puszczoną została, kiedy jej dalej pójść nie wolno. A kiedy jej nie wolno, czemu się nie oswoi z zakazem, tylko się ciągle naprzód wyrывa; przecież ze wszystkim oswoić się można. Czemu myśl jedna wiecznie buntuje się przeciw wyrokowi? Co komu przyjdzie z wewnętrznej walki mojej? Albo z wewnętrznej walki jego? On się nią ani oczyszcza, ani wzmacnia, przeciwnie, wyczerpuje się tylko. Gdy życie wieczne innym jest pociechą, to jego zbuntowanym zostawia, bo cóżby zaniósł na tamten świat, kiedy on w walce zwyciężonym zostaje? Co komu przyjdzie z jego udręczenia moralnego i fizycznego? Jaki cel? Rozumiem cel ziarna każdego, wiem dlaczego ziarnko piasku istnieje, wiem dlaczego każda kropla wody potrzebna, drzewo, trawa, liść każdy ma swój cel widoczny. Dlaczego jednak człowiek cierpieć musi, jeżeli się tem cierpieniem nie oczyszcza? Cierpienie jako pokutę, jako karę, jako zado-

syćuczynienie, rozumiem, ale cierpienie dla cierpienia — bez innego celu?...

Panie, odpowiedz mi na to?

Cioci coś zostawić trzeba. Trudny wybór. Ciocia książek nie lubi, pisać nie lubi, o kwiaty nie dba, modlić się nie umie. Może najlepiej oddaj jej Helenko wszystkie pudełka z memi broszkami, kolczykami, bransoletkami.

Tylko brylanty po mamie tobie zostawiam. Nie nosiłam ich dotąd; po ślubie mam w nich występować, pewnie nie będę miała czasu ich włożyć.

Gdy się znajdę przed Sędzią Najwyższym, dwa brylanty w rękę nieść będę, dwie łzy, które w moich oczach, z oczu Stefana spadły i powiem:

„Błogosławieni, którzy płaczą, albowiem oni będą pocieszeni“.

Innych brylantów nie potrzebuję, te co tobie Helenko zostawiam są mi o tyle drogie, że je moja ukochana matka nosiła. Pamiętam ją, jak przez sen, wyjeżdżała na bal, miała suknię dekolowaną, a ten naszyjnik brylantowy, który ciebie zdobić kiedyś będzie, takimi tysiącami światełek błyszczał. Pamiętam, że się mamy

spytałam czy to są ogniki liliputów — bo tak mi mama mówiła, że liliputy brylanty kują i w środku każdego kamyka ogień rozpalają. Mama się uśmiechnęła. Uśmiech ten wiecznie pamiętać będę, bo to był ostatni, skierowany do mnie, a tak cudnie mama wyglądała; dla mnie pozostanie ona uosobieniem piękna.

Pamiętam, jak na mamę zarzucano dolman niebieski, pluszowy, podbity białem, miękkim, długim futrem, ja się zbliżyłam, aby to futro pogłaskać i przytulić się do mamy. W tej chwili mama jęknęła, zachwiała się, papa ją podtrzymał. Mnie prędko z salonu zabrano, a nazajutrz zobaczyłam mamę na katafalku. Umarła z aneuryzmu serca. Dzieckiem wtedy byłam i odtąd nie zaznałam szczęścia.

Śliczna, urocza, anielska matka moja. Gdy umierała, ja byłam pod względem charakteru woskiem jeszcze; jej delikatne, miękkie, szlachetne ręce, byłyby ze mnie ulepiły coś pożytecznego i lepszego niż jestem.

Ale mnie ciocia wychowała, a raczej nikt mnie nie wychowywał. Bo ciocia więcej zajęta swoją ukochaną papugą, niż czemkowiek innym na świecie. Papugę i bransoletki więcej kocha ode mnie. Cóż ona temu winna? ja jej nie potępiam. Przeciwnie wdzięczną jej jestem, bo

ona mi Helenkę dała — a Helenka dała mi przyjaźń, i przy jej słodkiej duszy moja ułagodziła się trochę. Nauczyłam się przy niej kochać świat cały, począwszy od roślinki i rybki i małego jeziora, od gór niebotycznych, morza i lasów odwiecznych, skończywszy na człowieku, na bosem dziecku każdym, na znękaney wiejskiej kobiecie, dla której razem z Helenką lekarstwa robimy, szarpie skubiąc dla kalek, sukienki ciepłe szyjąc dla chorych, choinkę zdobiąc dla małych zabawnych istotek, ku wielkiemu zgorszeniu cioci, a wielkiej naszej pociesze.

To wszystko Helenki przykład i sprawa. Pocziwa, słodka moja Helenka, onaby lepszym była Dawidem niż ja; ja czuję, że ona bardziej łagodząco ode mnie działa na nerwy Stefana.

Ona umie go zabawić rozmową, gdy widzi na jego czole fałd świadczący o melanholii, jaka go trawi, a ja wtedy milczę, bo nie mam dość lekkiej ręki, boję się zadrasnąć tam, gdzie załagodzić trzeba.

Koszyk mój i kuce, śliczne małeńkie szpaczki moje zostawiam Konstantemu. I jedno i drugie jemu 'zawdzięczam. Dawniej miałam *idee fixe* konno jeździć, z tego powodu rozmaite burze przeszły nad moją głową. Mnie rzeczywiście

nie wolno używać tego sportu z powodu zdrowia, ale źle się wzięto do wybicia mi tego z głowy.

Pierwszy atak do mojego uporu pod tym względem przypuściła ciocia nader niezręcznie:

— Ciebie Elzo tylko to bawi, co dla kobiety jest niepotrzebnem. Na emancypantkę się kierujesz, na *bas-bleu* etc.

Wiele nonsensów w tym rodzaju wysypała ciocia ze swego skarbcza mądrości, korzystając z dobrej okazji, a okazya była znakomita, bo i papę i doktorów miała za sobą.

Owe *bas-bleu* jeżdżące konno, bardzo mnie rozśmieszyły. Uważałam, że na taki argument nie warto jak pogardliwie wzruszyć ramionami; nie jest to znakiem czci, niestety, ale z ciocią często mi się to zdarza. Nie wychodzę z pozorowego spokoju, takim cichym gestem się posługując, wypowiadam nim cały ogrom zgrozy i hałasu nie robię. A dla mnie niema nic trywialniejszego i pospolitszego nad hałas.

Pod tym względem jeszcze z ciocią się nie zgadzamy.

*Nota bene* „*bas bleu*“ nazywa mnie ciocia w chwilach, gdy mi chce bardzo dokuczyć, wie, że ja tego nie lubię, wie, że pod tem mianem wyobrażam sobie jakieś moralne upośledzenie,

połączone z zewnętrzną brzydotą i nieporządkiem.

Niestety jeszcze, ciocia ma wiele meski- neryi, wiedząc o moich uprzedzeniach do nie- bieskich pończoch, zdobi mnie tym tytułem od czasu pewnej dyskusyi, z której się okazało w dość kompromitujący sposób, że ciocia nie ma pojęcia o polskiej ortografii, że zaś ja ją pobiłam na tem polu, ztąd uraza dotąd trwa- jąca; a Bóg mi świadkiem, że dużo więcej wstydu połknęłam przez wzgląd na zacofanie cioci, niż miałam zadowolenia z powodu wła- snej, nieledwie elementarnej wiedzy.

Tak, między mną i ciocią zawsze jakiś dyso- nans brzmieć będzie, zupełnie tak się zgadza- my, jak majorowy akord z minorowym razem uderzone. Wolę miauknięcie wszystkich kotów naraz, nad taki zgrzyt, a gdy zgrzyt ten nie ustaje...

Ale z tem nawet już się trochę oswoiłam; zresztą mam pewne zadowolenie, leżące widać na dnie mej krnąbrnej natury, cioci robić na przekor; otóż jej opozycya co do moich hipi- cznych projektów dodała mi tylko bodźca.

Wtedy papa się wmięszal:

— Niema o czem mówić. Elza konno je-



ździeć nie będzie dla tej prostej przyczyny, że konia nie dostanie.

— Ja nie myślę prosić o dar żaden, ja sobie sama kupię. Już mam na oku wierzchówkę doskonale ujeżdżoną.

Papa spojrział na mnie zimno i ostro.

— Wojny z tobą prowadzić nie myślę, nie mam na to czasu. Chcesz jeździć, to jeźdź, na złamanie karku, byłem ja za to odpowiedzialności nie miał!

Jak na ojca, czule bardzo — ale też nie mniej czule jak na córkę..

Rzecz uważałam za skończoną. — Z doktorem się poróżniłam, odpowiadając jako ostatni argument.

— Pozwól doktorze, że sama sobą rozporządzać będę, niczyich rozkazów nie znoszę — bo już byłam bardzo zirytowana.

W ostatniej chwili, gdy już miałam dobić targu o wierzchówkę, zjawił się Kot pocziwy.

— Panno Elzo — mam do pani wielką prośbę od siebie i od Helenki.

— Słucham.

— Helenka błaga panią, abyś przez wzgląd na pamięć matki, zaniechała tego projektu. Abyś pani oddała pieniądze, jakie na konia przeznaczasz, na nędzę wyjątkową. Czytaliśmy

o takiej rozdzierającej nędzy w pewnej licznej rodzinie.

Zmięklam. Po chwili odparłam:

— Ja mam jeszcze inną sumę do rozporządzenia, więc tę oddam, ale konno jeździć muszę.

— Przez pamięć na matkę.

— Mamaby mi pozwoliła.

— Nie pani, matka twoja nie jeździła konno ze względu na zdrowie, ten sam wzgląd powinien panią powodować.

— A jednak umarła.

— Więc przypuścemy, że to fantazyja z naszej strony, ale kiedy dla nas każda przejażdżka pani byłaby takim udręczeniem, więc aby nas nie dręczyć, niech pani zrobi poświęcenie... dla przyjaźni...

Teraz zmięklam zupełnie; dodałam tylko:

— Ale cóż ja pocznę, mnie spacer piechotą męczy.

— Postaram się dla pani o znakomity kosz i kuce. Mam coś jedyne go na oku, jeżeli już pani pogardza dawnym wolancikiem i pocziwemi mucami.

— Nie pogardzam, ale wolant już roztrzęsiony, a muce ledwie chodzą.

— Zatem zgoda? będzie co innego.

— Zgoda. — I nie żałowałam; taką miał uszczęśliwioną minę poczciwy Kot, to mi satysfakcją sprawiło.

Dzisiaj tym samym koszem i kucami, które będą jego własnością, jeździłam ze Stefanem. Słoneczny, cudny dzień, może słonecznie wpłynął na usposobienie mego pana. Welt-schmercu ani znaku. Wesoły był, różne koncepta przychodziły mu do głowy. Pokładliśmy wieńce z paproci na głowy kuców, i paprociami otoczyliśmy cały zaprząg. Potem i mnie stroił Stefan w koronkowe liście i bawiliśmy się jak dwoje dzieci. Byliśmy szczęśliwi oboje. Ale raptem, gdy spojrzałam na zaprząg nasz cały kwieciami i wieńcami strojny, straszno mi się zrobiło. Prędko, niespokojnie zaczęłam wyrywać gałązki i girlandy, Stefan zdziwiony, patrzył na mnie.

— To wygląda jak karawan, zupełnie podobne do tego, co widziałam we śnie.

I sen mój opowiedziałam panu memu. On posmutniał tak widocznie, że sobie darować nie mogłam tak niezgrabnego zakłócenia kilku chwil pogody.

— Czy ty wierzysz w sny i przeczucia? — zapytał.

— Gdzie tam, przecież mnie ciocia *esprit fort*, a nawet *bas-bleu* nazywa.

— Nie jesteś ani jednym, ani drugim, ale jesteś niepospolitą kobietą i dlatego masz słuszność, że nie wierzysz w baśnie dobre dla starych bab. Ale dlaczego w takim razie, tak cię owe kwiaty zaniepokoiły?

— To było śmieszne i całkiem machinalne z mej strony. Chcesz, abyśmy znowu przystroili nasz ekwipaż?

— O nie, nie! daj pokój.

— Czar prysnął — rzekłam smutnie — już znowu chmury na twojem czole.

— To tylko cień padł mi na duszę w tej chwili, dużo gorzej kiedy ciemności panują.

— Pewnie, że gorzej, ale powiedz mi, jak ty z twoją inteligencją możesz pozwolić na panowanie ciemności w sobie.

— Inteligencja nic z tem nie ma wspólnego. Najmędrsi ludzie, o wiele mędrsi ode mnie z tem na świat przychodzili; tak jak się przychodzi na świat z inną chorobą, chroniczną i nieuleczalną. Ja cierpienie moje tak muszę nosić z sobą jak więzień kulę u nogi, albo piętno na czole; jak potępiony, który nawet nie wie, czemu cierpi i kiedy skończy cierpieć. Życie mnie męczy. Niczego nie nadużyłem, nie

użyłem nawet, a nic mnie nie nęci. Czy to dlatego, że jestem ostatnim z przeżytej już rasy, i że z przeżytego pnia tylko z robakiem owoc się urodzi? Nie wiem. Nic nie wiem, gdybym cokolwiek odgadywał tylko, jużbym mniej cierpiał.

Milczałam, on mi nie nie mówił dzisiaj, że ja jestem, albo będę mu pociechą i oparciem, już sam w to nie wierzy.

— Czy ciebie nie przestrasza taka aberacya umysłowa Elzo? Powiedz szczerze — zapytał.

— Ty wiesz, że nie, ale tego może nie wiesz, że oddałabym chętnie życie w ofierze, aby tobie spokój wrócił.

— Nie mów tego, cofnij twoje słowa, cóżby mnie przyszło ze spokoju bez ciebie.

Czułam, że nerwy mówić zaczynają, więc prędko zwróciłam rozmowę na inny temat.

— Czy dla ciebie nie byłoby to punktem oparcia, gdybyś się energicznie czem zajął, gdybyś sobie cel w życiu postawił? Tutaj na przykład, w tych ogromnych dobrach, które do mego ojca należą dzisiaj, tyle zrobiono w celu utylitarnym. Wszystko jest tak udoskonalone, maszyna tak znakomicie w ruch puszczona, że jeżeli chodzi o ulepszenia w tym kierunku, nie wiele znajdziesz zajęcia, ale niema kościoła na

trzy mile dokoła, niema szkółki, niema żadnego szpitala, schronienia, przytułku. A nędzy dużo, chorych, kalek tyle. Czy ty się tem nie zajmiesz Stefanie? Toby cię może oderwało od tego zagłębiania się w samym sobie.

— To swoją, a to swoją drogą. Nie myśl, że ja u siebie bezczynne życie wiodę. Nieużyteczny, bezczynny mężczyzna, jest dla mnie wstrętniejszym jeszcze, niż leniwa i nieużyteczna kobieta. Tak jak dotąd w moich dobrach budowałem, cywilizowałem i umoralniałem, o ile to było w możności mojej, kąć ziemi mnie oddany, tak w przyszłości tu myślę pracować, ale nawet w pracy, dla mnie zbawienia niema.

Łzy mi się w oczach zakręciły, on to spostrzegł.

— Biedna moja Elzo! czy ja i tobie mam życie zatruwać? Proszę cię nie bierz tego do serca. Ja źle robię, że ci mówię o tem wszystkim. Doprawdy wierz mi, że ja tu oswojony jestem z moim kółcem, on mniej kłuje niż się tobie wydaje.

Czułam, że to był tylko frazes mnie na pociechę złożony, ale argumentów mi brakło na dyskusowanie z nim dalej.

Dzisiaj pan mój raczył dyskutować. I to

dobrze; często się zdarza, że bez ceremonii, szorstko, odepchnie każde słowo moje, gdy przeczuwa, że ja pocieszaćbym go chciała.

Miałam dzisiaj długą rozmowę z adwokatem. Na moje zapytanie powiedział mi, że mam najzupełniejsze prawo rozporządzać majątkiem mamy. Wszystko co wniosła jako posag, mnie jej jedynaczce się należy. Jestem bardzo bogata — strach pomyśleć. Na co mnie to wszystko.

Adwokat powiedział mi, że w razie, gdybym umarła bez testamentu, a nie miała dzieci, to cały mój majątek poszedłby na działły między najbliższych moich krewnych.

Struchlałam.

— Ależ panie — zawołałam z widocznym strachem — oni aż nadto mają... ja im nie zostawiać nie myślę.

— To też niema żadnej obawy — odparł z uśmiechem. — Jesteś pani narzeczoną, pójdziesz za męża, będziesz miała dzieci, i dzieci wszystko zabiorą.

— Mówmy seryo, kochany panie. Pan wie-dzieć musisz, że moja babka umarła na ane-wryzm serca, mama tak samo. Ja tę chorobę

odziedziczyłam. Może być, że nie doczekam się chwili ślubu, więc chcę rozporządzić tem co do mnie należy. Powiem panu pod sekretem, że piszę testament. Ale nie chciałabym, aby po mojej śmierci czytał go ktokolwiek oprócz panny Heleny Wyszomirskiej, czy jej świadectwo wystarczy?

— Nie, pani, stanowczo nie. Jeżeli pani chcesz swem dobrem nie według prawa, ale według upodobania rozporządzić, to musisz mieć dwóch świadków, rejent winien podpisać i pieczęć położyć i u niego kopią dokumentu złożyć trzeba.

Dosyć długo rozmawiałam jeszcze z panem Karzyńskim, i niekontenta jestem z konkluzji.

Więc ten mój testament nie wystarczy. Muszę pisać drugi. Trzeba to jednak zrobić, ale ten w dalszym ciągu pisać będę, dla własnej rozrywki — to pewnego rodzaju uspokojenie, ta ciągła myśl o śmierci. Oswoić się z tem można, i z mniejszą goryczą zapatruje się wtedy na wszystkie niedokładności i meskinerye codziennej egzystencji.

Z Helenką naradzić się muszę nad wielu rzeczami. Chodzi mi o to, aby moim majątkiem jak najwięcej łez otrzeć. Kapitały przeznaczyć trzeba na inny cel, dochody z folwarków na



inny. Kot także pomoże mi w tym względzie, chociaż nie śmiem tej kwestyi zaczynać. Helenka zaraz płacze, kiedy ja o śmierci mówię, a Kot, taki struty, taki nieszczęśliwy, niech mu tylko przypomnę, jakie kruche życie moje...

Trzeba to będzie jakoś dyplomatycznie ułożyć, aby ich nie trapić, a rady ich zasięgnąć.

Stefana o nic pytać nie mogę, nigdy z nim o mojej chorobie nie mówiłam, ale wiem, że on doskonale jest poinformowany, więc nie naruszam tego przedmiotu, nie wiedząc co on o tem myśli.

Tak między nami rzeczy biorąc, to ja choćbym i dziesięć, i dwadzieścia lat żyć jeszcze miała, to nie powinnam wychodzić za męża. Przecież choroba moja jest spadkową, ja wiem dobrze, że nie powinnam.

Naturalnie, że mi pretendentów nie brakło, a jednak mam lat dwadzieścia pięć — i narzeczoną dopiero jestem.

Co dalej będzie, nie wiem, wolę się nad tem nie zastanawiać. Stefan coś kiedyś o ślubie napomknął, ale takie to przykre wrażenie na mnie zrobiło, że błagałam go, aby mnie nie naglił.

On był zdziwiony widocznie, a jednak machinalny, bez zastanowienia był protest mój,

bo przedtem chwila ślubu wydawała mi się tak oddaloną, że nigdy nie zatrzymywałam się na tej myśli, odpędzałam ją. I z drugiej strony i na to odwagi nie mam, aby sobie stanowczo powiedzieć, że nigdy żoną Stefana nie będę.

Więc tymczasem rzeczy w zawieszeniu zostały. Pan mój dał mi do zrozumienia, że nie wspomni o tem więcej, póki ja sama go nie upoważnię, ze względu, że się muszę z nim oswoić, że się nic a nic nie dziwi, iż się waham, zanim nieodwołalnie zwiążę życie z nim, tak anormalnie usposobionym.

Nie śmiałam zaprzeczyć, bo gdybym mu wyznała, iż waham się jedynie przez wzgląd na przyszłość jego, jedynie przez wzgląd na moje zdrowie, to on możeby nalegał, więc już wolę, że tak fałszywie tłómaczy sobie moję niechęć w tym kierunku.

Papa tylko bardzo z tego niekontent, chciałby ostatni akt przyśpieszyć, ale kategorycznie się z nim rozmówiłam. Na pociechę powiedziałam mu, że chcę się leczyć jeszcze czas jakiś, i że najdalej za rok stanie się według jego woli.

Ciocia mnie zlekka prześladuje tą zwłoką. Nie wie o mojej rozmowie ze Stefanem, więc nieraz słyszę aluzye w guście tych:

— Jakoś się twój narzeczony nie śpieszy.

— Zakochanie wyszło już z mody między dzisiejszemi parami.

— Za moich czasów *on etait plus empressé que ça.*

Przywykłam do tych pocisków. Ciocia nie kocha bynajmniej Stefana, a chociaż on tę zwykłą codzienną uprzejmość, uprzejmość dobrego wychowania, doprowadził do zenitu, choć dla każdej kobiety czy młodej, czy starej, należącej czy nie do towarzystwa, jest uprzedzająco grzecznym, ale ciocia czuje dobrze, że to zdawkowa moneta tylko.

Między tem państwem niema sympatyi, ależ bo to takie dwa światy odrębne, — jakaż sympatyja istnieć może między rzepą przypuśćmy i wyniosłym świerkiem?

Ciocia gdyby nie nosiła znanego nazwiska i nie urodziła się w pałacu, toby pewnie ryby na targu sprzedawała z powołania, tymczasem Stefan, gdyby nie był przyszedł na świat z zarodkiem moralnej choroby, to byłby znakomitym i znanym człowiekiem nie tylko w moich oczach, ale w oczach kraju całego; kobietyby za nim szalały, bo rycerskość, hołd dla naszego rodu jest częścią jego natury, — mężczyźni musieliby uznać wyższość umysłu, szerokość poglądów jego. On jest z tego kamienia, z któ-

rego się wykuwają posagowi ludzie, ale ręka Mistrza Stworzyciela włożyła okowy na jego ducha, duchowi jego cierpieć tylko wolno — i poza obręb własnego cierpienia wyjść nie wolno.

Jak bardzo często wina karę za sobą pociąga jako logiczne nieubłagane następstwo. Gdzie wiary niema, tam nie może być nadziei. Wszystko co można było, zrobiliśmy, aby wiarę utracić, zniknęła, z nią zniknęła nadzieja — i zostało mnóstwo takich co smutniejsi od grobu włączają życie za sobą jak szmat nędzny, bo nie mają czego się chwycić, nie mają o co myśli oprzeć.

Wczoraj Helenka ze Stefanem bawili się tak wesoło, a ja na nich patrzyłam z uczuciem matki spoglądającej na dzieci swoje. Oni dwoje, to jest, co mam najdroższego pod słońcem. Kocham ich tą miłością, w której się mieszczą wszystkie uczucia: siostrzane, macierzyńskie, przyjacielskie, dziecka dla rodziców, bo cześć mam dla Stefana i Helenki; kocham ich, jak tylko kobieta kochać może najgoręcej.

Moi ukochani rozweselili się wczoraj. Kazali psom skakać przez obręcz. Tygrys, mój bul-

dog, tak się komicznie wykręcał od tych prób gimnastycznych, że państwo moi oboje w formalną ekstazę wpadali ze śmiechu.

Raptem Tygrys czmychnął, nawoływania nic nie pomogły, wpadł między stado bażantów, które się zwykle na głos dzwonka schodzi przed pałacem, spłoszył wszystkie ptaki, a najmłodsze bażanciątko, niby to chcąc je tylko nastraszyć tak silnie przydusił, że nawpół żywe Helenka mu je wyrwała.

Oryginalna nastąpiła scena.

Helenka nie ma większych faworytów pod słońcem od bażantów, przepada za niemi, w formalnej rozpaczycy była patrząc na zakrwawionego ptaka, oczy miała łzami przepełnione, te cudne, fioletowe, wielkie oczy takie słodkie, z dziecinnym prawie wyrazem.

Stefan wpadł w furję. Gdy raz chwycił za ucho Tygrysa, począł go tak laską okładać, że wycie biednego psa do rozpaczycy mnie doprowadzało.

Ujęłam się za moim faworytem i wyrwałam laskę z rąk Stefana z pewnem oburzeniem, wołając:

— Nie pozwalam, zabijesz psa.

Stefan wyprostował się. Zdziwiony spojrział na mnie i trochę ironicznie powiedział:

— Nie wiedziałem, że masz tak czułe serce Elzo. Przepraszam panią najpokorniej, nie pojmuję jak się mogłem odważyć dotknąć skóry jego książęcej mości buldoga. To zbrodnia *de lèse majesté*.

Zażenowałam się trochę. Gdy tylko się uniosę na chwilę, zaraz tego pożałuję, to już nie leży w moim charakterze widocznie.

W żart obróciłam całą tę sprawę. Mimowoli jednak przez myśl mi strzeliło, że Tygrys nie byłby poczuł tyle razów na swoim grzbiecie, gdyby nie łzy Helenki nad bażantem.

Ale bo też kto może łzom takim obojętnie się przyglądać — nie ja z pewnością, ani Stefan widocznie.

Swoją drogą Tygrysa, gdy mnie nie będzie, zostawiam opiece nie Stefana, ale Kota.

Stefan jest taki gwałtowny. A Kot mego Tygrysa kochać będzie na moją pamiątkę.

Kot taki dobry, miutki, poczciwy, prawdziwy kotek. Gdybyż on był bratem moim!

Gdybym ja brata miała, o ileż byłoby się całe moje życie zmieniło? Papa byłby mnie może kochał, zamiast cioci Loli mielibyśmy może kogo innego jako opiekunkę.

To ostatnie nie jest prawdopodobne, ale to

już takie moje *idée fixe*, że przeróżne kombinacye układam w głowie, któreby mnie mogły w życiu od ciotki uwolnić.

Trudno bardzo przychodzi mi zdecydować się, na co obrócić kapitał. — Mam złożonych w banku 200.000 rubli.

Tyle, tyle projektów przychodzi mi do głowy i tyle jest do zrobienia, że nie wystarczyłoby i dwóch milionów.

Przedewszystkiem chciałabym wyznaczyć stały dochód roczny dla nędzy wyjątkowej. — Przynajmniej jakie 5000 rubli przeznaczam dla tych nieszczęśliwych rodzin, gdzie drobnych dzieci tyle marznie i mrze z głodu w czasie, kiedy matka wdowa i kaleka, albo ojciec pijak i niedołężny, patrzą na nich z uczuciem najzupełniejszej niemocy.

Wyobrażam sobie jak bardzo taka nieszczęśliwa kobieta, matka całej zgłodniałej rzeszy, zazdrościłaby mnie mego losu, gdyby ze swej nędzy mogła wznieść się ambycją na takie wyżyny.

A jednak gdyby na szali zważono bardzo sprawiedliwie miarę jej i mego bólu, kto wie, czyjaby się szala prędzej ugięła?

Zdaje mi się, że z nędzą zewnętrzną, opierającą się na braku fizycznych, materyalnych potrzeb, prędzej oswoić się można. Ciało prędzej do nawyknienia zdolne niż dusza.

Już po śmierci mamy, ale jeszcze dzieckiem byłam, kiedy z prawdziwą zazdrością spoglądałam na wiejskie dzieci, które gęsi albo cielęta pasły w polu.

Czułam, że są szczęśliwsze ode mnie; a jeżeli i one z pożądliwością patrzyły na moje kosztowne suknie i eleganckie buciki, to ja rwałam się do ich wolności, do świeżego powietrza, do tych prostych ubrań, w których wolno im było i po strumieniach brodzić i po trawie się tarzać. Bose ich nogi były dla mnie nosobieniem niezależności od kaprysu bony, wolność zamaczania tych brudnych stopek olśniewała mnie, której, w kaloszach nawet, po błocie chodzić nie pozwalano pod pretekstem kataru.

Dzisiaj niejedna jędrna i prostoduszna praczka albo ekonomówna pewnie spogląda na mnie nieraz okiem zawiści.

— Szczęśliwa panienka! takie ma piękne futra, kapelusze, zaprzęgi, takiego ma ślicznego narzeczonego; — taki pan, mój Boże!



Gdybyż owa naiwna Kasia albo Basia wiedziały, jak tej szczęśliwej pannie życie cięży!

Okropnie jestem zniechęcona dzisiaj. — Stefan źle na mnie oddziaływa; — niestety nie czuję się lepszą, odkąd on mnie trzyma w swej władzy.

Dzisiaj władza ta bunt we mnie wywołała. Czemu on mnie chce tyranizować? Czemu on wszystko chce mi zabrać, gdy sam tak mało mi daje?

Nie kocha mnie, a nie znosi, abym kimkolwiek innym na świecie zajętą była oprócz niego.

Chciałby zmonopolizować każde spojrzenie i uśmiech nie dlatego, aby mu to wszystko drogiem było, ale poprostu dla jakiejś egoistycznej fantazyi.

Podoba mu się rola samowładnego pana nad stworzeniem, tak mało zdolnem do noszenia jarzma, jak ja. To dogadza jego miłości własnej, i z dziecinnem samolubstwem nie pozwala nikomu korzystać choćby z najdrobniejszego przywileju swego.

Gdybym mogła przypuścić, że to wszystko z miłości, może byłabym szczęśliwa z tego despotyzmu. Dawniej despotyzm ten miał dla mnie wiele uroku, a teraz, gdy widzę codzien

lepiej, jak dalece nie ma on nic wspólnego z uczuciem, buntować się zaczynam.

Kilka miesięcy temu — w parę dni po naszych zaręczynach — odebrałam list od kuzyna Kazia, — wesołego, zacnego chłopca, jednego z mych ex-wielbicieli, — który przestał mnie wielbić po otrzymanym koszu, ale pozostał przyjacielem.

Otóż dla bliskiego pokrewieństwa i zażyłych stosunków, pozostawaliśmy w korespondencji.

Stefanowi dałam list Kazia do przeczytania. Zaczynał się od słów żartobliwych:

„Pani piękna i doskonała — a dana mi za kuzynkę przez łaskawych bogów“ etc.

— To musi być półgłówek ten twój Kazio — pogardliwie wyraził się Stefan.

— Przeciwnie; bardzo sprytny chłopiec.

— Z tonu tego listu nigdybym tego nie przepuścił. Nie powinnaś Elzo pozwalać na takie spoufalanie się. Dziś, kiedy jesteś moją narzeczoną, to nie jest stosownem. Czy mogę cię prosić, abys przerwała tę korespondencją?

Zgodziłam się naturalnie; — niewielka to była ofiara, ale nie pierwsza. Od tego czasu ile razy jesteśmy w liczniejszym towarzystwie, tyle razy muszę być poważną i zimną jak statua marmurowa, inaczej pan mój nie omieszka zro-

bić aluzyi, która mi przypomina, że nawet głos mój, każde spojrzenie moje do niego należy.

Nie lubi wzmianki o wszystkich dawniejszych tak zwanych sukcesach moich; wystarcza, abym kogo serdeczniej pochwaliła, — już ten ktoś wydrwiony i ośmieszony zostaje przez Stefana.

Wszystko prędeej pojnę niż zazdrość retrospektywną; — to jest dla mnie tajemniczem zjawiskiem psychologicznem. Jeszcze więcej niepojętem się to staje, gdy zazdrość taka oparta jest nie na wielkiej miłości, ale na fantazyi tylko.

Dzisiaj jednak otwarcie się zbuntowałam. Poszło to ztąd, że w obecności Kota i Helenki Stefan począł sarkazmami sypać, a ja zostałam obrana za przedmiot sarkazmów. — Gdy jest w drwiącem usposobieniu, najczęściej „Panią“ mnie nazywa z ironiczną ceremonialnością.

— Pani dzisiaj bardzo zadumana. O czemże to? O Flamarionie i o kanałach, które na Marsie przekopał?

— On dotąd kopie, tylko w umysłach ludzi, aby je trochę użyźnić; może, gdy się czegoś dokopie, to uwierzą, że my nie jesteśmy jedynym celem wszechświata.

— O! wszechświata — jak się pani pięknie wyraża. Nie radziłbym tak często po gwiazdach

chodzić; to nie praktycznie, szczególnie dla kobiety. Gdy się tak pani wyrywa ponad zwykłych śmiertelników, to stanie się dla nas zupełnie niezrozumiałą. Kobiecie najładniej gdy po ziemi stąpa.

— I słucha w milczeniu praw, które jej mężczyzna dyktuje.

— Naturalnie. Pani się na to oburza, ale cóż począć. Wszystkie ludy i wszystkie wieki i wszyscy mędrcomie zawyrokowali, że kobieta jest czemś niższem od mężczyzny. Na to rady niema. Przecież jeden z najslawniejszych, Platon, grozi mężczyźnie, że jeżeli upadnie, to w drugim życiu zostanie na kobietę zamieniony; to najwyższa kara.

— O, że kara, o tem nie wątpię; nie jest to wcale do pozazdrosczenia być kobietą; to prawie synonim nieszczęścia.

— Tylko gdy kobieta jest egzaltowaną i po gwiazdach chodzi. Platon nie grozi tą transformacją mężczyzny na kobietę jako nieszczęściem, tylko upokorzeniem. Hipokrates jeszcze niżej kobietę stawia; on mówi, że kobieta to choroba, a święci uczeni jeszcze gorzej. Św. Tomasz dowodzi, że kobieta jest tworem przypadkowym i chybionym. Św. Jan Chryzolog, że jest źródłem złego, twórcą grzechu, kamie-

niem grobowym, fatalizmem naszych nędz. Św. Grzegorz, że nie ma zmysłu moralnego.

Wszystko to wypowiedziane było żartobliwym tonem, ale zawsze w celu drażnienia mnie; więc trochę zirytowana zapytałam:

— Czemuż nie cytujesz i Św. Jana z Damaszku i Erazma, kiedyś już takim erudytem na tem polu?

— Tobie stanowczo palma erudycyi się należy *o! femme docte*. Cóż oni powiedzieli ci mądrzy ludzie?

— Pierwszy twierdzi, że kobieta jest złą oślicą, która się rozsiadła w sercu mężczyzny; a drugi, że jest ograniczonem zwierzęciem, ale w gruncie dość ładnem i zgrabnem.

— Ależ Elzo! nigdybym się nie ośmielił powiedzieć coś podobnego. Ci dwaj panowie stanowczo trywialnie się wyrażają; nie pójdę w ich ślady.

— Czy tylko dlatego, że trywialnie?

Kot widocznie spostrzegł, że się zanosi na zanadto ożywioną dyskusyą, więc ze swym zwykłym wrodzonym taktem przerwał:

— Nie oczerniaj się Stefanie; wszyscy wiedzą, że jesteś czcicielem najpokorniejszym płci pięknej, i że nikt nie hołduje więcej od ciebie temu, co Goethe *das ewig weibliche* nazwał.

— Niestety! to coś zniknie z powierzchni ziemi razem tak, jak zniknęły przyłbice, pancerze, krosienka i wspólnie śpiewane kolendy. Pozostanie razem z elektrycznością *das ewig gelehrte*, — co mniej ma uroku, jak dla mnie.

Ten pocisk zanadto był twardy. Aby się nie rozplakać, zaśmiałam się może trochę wymuszonym śmiechem i wzięłam pod rękę Kota mówiąc:

— Chodźmy; już mi się znudziło siedzieć i dyskutować, jak starzy scholastycy. Stefan dziś kaprysi; nie pierwszy to raz. Najlepiej nie uważać na kapryśne dzieci.

I poczęliśmy krażyć wokoło wielkiego trawnika, zdobnego essami i floresami ciętych roślin.

Pod wpływem wesołej i naturalnej gawędki z Kotem ułagodziłam się trochę, choć bardzo byłam podniecona w gruncie. Dzięki temu podnieceniu, z wielkiem ożywieniem rozprawiałam o tem i owem. Nareszcie zapytałam:

— Czy i pan masz tak pesymistyczne pojęcie o kobietach?

— Ja, pani? Już to wystarcza, że mam szczęście znać takie dwie kobiety, jak pani i Helenka, aby głosić z przekonaniem zasadę, że kobieta z ziemią niebo sprzęga. Pamięta

pani wiersz Krasińskiego: „Do kobiety“? —  
Jabym mógł do pań obydwóch zastosować osta-  
tnią strofkę, lekko ją zmieniając:

„Bo na twem bladym, marmurowym czole,  
W wieniec się mocy splotły życia bole:  
Jesteś Pięknością, — jesteś Idealem“.

Mnie się łzy w oczach zakręciły. — To, co  
mówił Konstanty, mówił z takim przekona-  
niem.

Chodziliśmy chwilę jeszcze. Pod koniec  
rzekłam:

— Muszę panu podziękować, żeś rozerwał  
czarne myśli moje.

— To ja podziękować muszę za kilka chwil  
bardzo drogich dla mnie.

To mówiąc, pocałował mnie w rękę. Ja mu  
drugą podałam do pocałowania, mówiąc:

— A to na znak wdzięczności z mej strony.

Mogłam przewidzieć, że ruch ten srodze  
skrytykowanym zostanie przez Stefana. — Cze-  
muż on zrozumieć nie chce, że Kot jest bra-  
tem moim?

Gdy mu to tłumaczyłam, odparł szorstko:

— Braterstwo takie jest bardzo wygodną  
ekskuzą dla niestosownej poufałości.

To ostatnie mnie zbuntowało; — trwam w buncie dotąd.

Dochód od 100.000 rubli zostawiam dla dziewcząt biednych, nieuleczalnie chorych. — Kilka dni temu mówiła mi bońcia, żona ogrodnika, że zna młodą dziewczynę, niezdatną do ciężkiej pracy, którą rodzice i rodzeństwo dręczą od rana do wieczora, wyrzucając jej kawałek gorzkiego chleba dlatego, że na niego zapracować nie może.

Pytałam się bońci, czyby się podjęła czuwać nad takimi nieszczęśliwymi ofiarami. Mówiłam jej, że chcę dom wystawić, gdzieby 20 dziewcząt pomieścić można; chcę, aby się tam zajmowały lżejszemi robotami, ogrodnictwem, o ile to się dla nich stosownem okaże, wyrobem sztucznych kwiatów etc.

Może się dom ten powiększy z czasem, — może po mojej śmierci inni się znajdą, którzy go poprą, ale wystawić go trzeba na moim gruncie, w Korowódce naprzykład, bo tu nie jestem u siebie.

Bońcia chętnie się zgadza na moją propozycyą, choć bierze to za żart, i dowodzi, że ją dziesięć razy przeżyję.



To wielka filantropka moja ex-bońcia; dzieci nie ma, młoda jeszcze, ruchliwa. Mąż jej się na to zgodzi, bo on już stary; łaskawy chleb w Korowódce pewnie mu się uśmiechać będzie.

Żał mi tych wszystkich, co cierpią; — i tak tu źle i tak tu smutno na świecie, że chciałybym już coprędzej pożegnać się z życiem, byle mieć czas przed śmiercią jak najwięcej dobrego zrobić.

Wczoraj siedziałam z Helenką w saloniku. Ja czytałam, ona robiła robotę, jakąś kołderkę, dla biednego dziecka.

Wszedł Stefan. Spojrzał na nas.

— Jedna zawsze umysłem zajęta, druga zawsze sercem — zawyrokował i usiadł przy fortepianie.

Już ten wyrok niesprawiedliwy serce mi zadrasnął boleśnie.

Stefan grać zaczął; z początku improwizował na temata różnych melodyj. Gra jego robiła wrażenie spowiedzi smutnej; spowiadający się był w tej chwili zrezygnowany widocznie. Cicho, łagodnie wydobywał skargę po skardze z duszy, ale co mówił, nie rozumiałam; rozumiałam tylko, że smutny.

Raptem, po chwilowej pauzie, gwałtownie obydwoma rękoma uderzył akord fałszywy, stra-

szny, gorszy od piekielnego zgrzytu; szarpnął kilkanaście strun naraz tak silnie, że zadźwięczały jakby z bólu.

Ja się zerwałam przerażona z krzesła — tak się nie spodziewałam po owych, do sennego marzenia podobnych melodyach, takiego szatańskiego dysonansu.

Helenkę dreszcz wstrząsnął i obiedwie spojrzaliśmy osłupiale na Stefana.

On się już zerwał od fortepianu i śmiał się nerwowo z naszego przestachu.

— Obudziłem panie z hypnotyzmu; chciałem was poprzednio zahypnotyzować muzyką, i prawie mi się udało.

— Szkaradne przebudzenie, panie Stefanie. Prosimy złagodzić to niemiłe wrażenie i zagrać coś, co ja najwięcej lubię. Bardzo, bardzo pana proszę — odezwała się Helenka.

— Chopina naturalnie? Może balladę?

Przekorny duch we mnie wstąpił; — chciałam wiedzieć, która z nas zwycięży. Więc z niezwykłą żywością zawołałam:

— Nie, nie chcę ballady, graj Schumana Stefanie, *Etudes symphoniques!*

Helenka Schumana nie lubi; więc nie przypuszczając, jak wielką wagę przywiązuję do

tryumfu mego, prosiła znowu, ręce składając i w oczy tak słodko Stefanowi patrząc.

— Nie, nie; balladę! Ja błagam o balladę; to takie cudne!

— Nie lubię tego. Oklepane i sentymentalne frazesy. Graj symfoniczne etudy; ja chcę je słyszeć dzisiaj koniecznie.

To, co powiedziałam, było nieprawdą i bluznierstwem nawet. Antypatycznie siebie nie cierpię; znieść nie mogę czasem, kiedy na mnie wiatr piekielny powieje. To wiem także, że Helenka najniewinniej w świecie przybrała minkę i pozę anioła w modlitwie; bo że ma anielską twarzyczkę, ona temu nie winna, ale ja w owej chwili posądziłam ją o kokieteryą.

Stefan stał między nami i spoglądał to na jedną, to na drugą. Nareszcie na mnie wzrok zatrzymał, jakby chciał mnie nawskrós odgnać.

Potem zbliżył się do fortepianu i uderzył spokojnie uroczyste *adagio*, jakim się pierwsza ballada Chopina zaczyna.

Gdybym ja w tej chwili spowiedź odbyć miała, musiałabym się przyznać do bardzo brzydkich uczuć, jakie mną owładnęły w czasie, kiedy anioł najpiękniejszej muzyki roztoczył nad nami swoje skrzydła.

Stefan był natchniony. Fizyognomia jego była zmieniona i uszlachetniona — to zwykle obserwowałam, gdy mój pan przy fortepianie siedzi. Ale w owej chwili mnie się zdawało, że nie muzyka, tylko Helenka go natchnęła; że choć na nią nie patrzy, jej oczy fijołkowe widzi w tej chwili przed sobą, błagalnie ku niemu wzniesione. Zazdrosna byłam okropnie. Żaden potępieniec zazdrośniejszym być nie mógł, bo ja nie umiem ani złych ani dobrych wrażeń połowicznie odczuwać.

*Je suis entière dans mes sentiments.*

Upokorzona byłam; — moja miłość własna strasznie cierpiała. Każdy akord, każde uderzenie klawiszów zdawało mi się, że mną szarpie, że we mnie uderza.

We mnie każde uczucie, gdy mu tylko pozwolę owładnąć sobą, przybiera olbrzymie rozmiary. To już nie rzeczywistość; to, co ja widzę przed sobą, to jakaś wizya, koszmar. Chwyta mnie to za gardło i miota mną póty, póki krew wzburzona gwałtownie nie wzbierze, i póki jej w sercu zbyt ciasna żyła krwionośna drogi dalszej nie zatamuje.

Wtedy następuje walka życia ze śmiercią.

Tak i wczoraj — już, już myślałam, że przychodzi atak, który i przejściem na inny świat

być może — i złąkłam się, bo nie chciałam pójść przed Sędziego zbuntowana jak szatan.

Czułam, że blednę; ręce mi opadły, prawie zdrętwiały.

Przerażonemi oczami spojrzałam na Helenkę, ale ona nie patrzyła wtedy na mnie.

Zanim jednak zaniósłam do Boga modlitwę o litość, krew krążyć zaczęła swobodnie, a mnie siły wróciły.

Trwało to kilka sekund zaledwie i oprzytomniło mnie. Złe widziadło pierzchnęło, — wróciłam do równowagi.

Muzyka Chopina nie rozdrażniała mnie więcej; rezygnacya wstępowała we mnie i apatya.

Stefan skończył, a zwracając się ku mnie; zapytał:

— Czy teraz prosisz o Schumana?

Mnie wyraz „prosisz“ podkreślony, zastanowił.

Spojrzałam zdziwiona na mego tyrana. On kończył:

— Bo kobiecie zawsze ładniej, gdy mówi: „proszę“, niż gdy woła: „chcę“. Ślicznie było pannie Helenie z prośbą na ustach, dlatego zastosowałem się do jej życzenia, za co pokornie panią moję przepraszam.

Ja milczałam, bo znowu czułam powiew wiatru piekielnego w mej duszy.

— Powiedz: „proszę“, Elzo. Powiedz, zrób to dla mnie. Powiedz: „proszę“ i spojrzysz ładnie, serdecznie; ja nigdy słodkiego spojrzenia w oczach twoich nie widziałem.

Odwróciłam głowę. Wymówka drugi raz powtarzająca się odnośnie do braku serca we mnie, oburzyła mnie. Porównanie spojrzenia i prośby Helenki nową zazdrość we mnie wzbudziło, — prąd złego znowu mnie porwał. Zimnym, obojętnym głosem, głosem podobnym do tego, którym się ojciec posługuje w swych złych godzinach, odparłam:

— Tylko tych uniem prosić, którzy umieją spełniać moją wolę gdy ja chcę.

Cisza zaległa mój salonik, tylko Helenka łagodnym swoim, śpiewnym głosem wyszeptwała: „O Elzo!“ z wymówką.

Stefan nie odrzekł ani słowa. Uderzył jeszcze kilka poważnych akordów i wyszedł.

Od owej chwili chłód widoczny zapanował między nami.

Gdy sama z Helenką zostałam, ona zbliżyła się do mnie, chciała mnie za szyję objąć i pocałować. Widocznie jakąś prośbę i do mnie zanieść miała, ale ja w jej oczach zobaczyłam tę

słodycz, która się tak Stefanowi podoba; więc zanim mogłam zapanować nad ruchem moim, odsunęłam ją od siebie prawie szorstko.

W tej samej chwili zdałam sobie sprawę z mego postępku, ale już było za późno. Byłam wtedy stanowczo złemu oddana; więc duma, najbrzydsza duma, jaka się w człowieku mieścić może, nie pozwoliła mi przyznać się do winy i o przebaczenie prosić.

Jakże nie mam dziś być zniechęconą i przygnębioną. Nie cierpię brzydoty moralnej, a sama jej podlegam. Niekontenta z siebie jestem — to mało; pogardzam sobą, nienawidzę siebie, a wszystkie anatema, jakie Stefan przytaczał, rzucone na kobietę, jeszcze mi się zanadto łagodnymi wydają.

Najbardziej mnie upokarza, kiedy się dam unieść zewnątrz gniewowi. To takie pospolite i trywialne to objawianie na zewnątrz wszystkiego, co się w duszy dzieje. Moja ambicya zasadza się na tem, aby nikomu nie dać poznać tego, co mnie drażni albo boli, albo nawet co cieszy. Nie lubię demonstracyi czy to w gniewie, czy w oburzeniu, czy w uczuciu. Przedewszystkiem upokorzoną jestem wobec siebie samej, że się tak idiotycznie uniosłam. A potem — jakim ja poświęceniem, jaką ceną

okupię te niskie uczucia, jakie mną przeciw Helence na chwilę owładnęły? Czem ja jej nagrodzę tę wielką krzywdę? Jak ja odkupię moją winę, że odepchnęłam ją, to jedno serce, w którym ani goryczy, ani egoizmu, ani cienia niedoskonałości żadnej dojrzeć nie mogę, — to serce, które mnie tak kocha i które ja tak gorąco, tak serdecznie Kocham?

Helenko! — ty to przeczytasz kiedyś — to jest akt skruchy najgłębszej, na jaką się zdobyć mogę. Ja cię nie proszę o przebaczenie, bo ty nie zdobyłabyś się nawet na żal do mnie, ale cię proszę o twoją czystą modlitwę anielską. Choćby to jedno wczorajsze przestępstwo zasługuje na ciężką ekspiacyą.

Dziś też choć zmęczona życiem jestem Panie, to je z ręki Twojej przyjmuję i cierpienie przyjmuję. Rezygnuję się...

Na cele naukowe przeznaczam 50.000 rubli. Nie wiem jeszcze jak niemi rozporządzę. Chciałabym, aby mężczyźni a nie kobiety z zapisu tego skorzystali.

Jak na mnie, przeciętnie wykształconą i cywilizowaną kobietę, dosyć to oryginalny rezultat. Co do tej kwestyi, często już zmieniałam zdanie. Był czas, kiedy hołdowałam zasadzie równouprawnienia, — nie pojmowałam, dlaczego



kobieta ma być uważaną za mniej zdolną, dlatego ma być zepchniętą na drugi plan.

Teraz przyszedłam do innego przekonania. Kobieta ma zupełnie inny rodzaj umysłu od mężczyzny. W wielu rzeczach jest bystrzejszą, ma prędsze objęcie, elastyczniejszą, giętszą inteligencyą. Dzieje się to kosztem głębokości i siły. A potem, kobieta jest przede wszystkim bez porównania wrażliwszą. Nawet rzeczy czyisto umysłowe wstrząsają nią dużo silniej, niż mężczyznę. Czytałam gdzieś, że nadużycie mózgu, to wielka choroba. Mężczyzna mając większą siłę fizyczną, odporną, więcej używać może, mniej łatwo nadużyje. Kobiecie nauka i wielkie wydoskonalenie inteligencyi, nie dają szczęścia, albo bardzo rzadko.

Serce jej kształcić, aby dobrze czuć umiało, charakter jej wyrabiać, aby się życiu nie dała zwyciężyć, albo przygnębić, ale umysł tylko o tyle uprawiać, o ile to potrzebne do wyrobienia rozsądku i taktu. Książek dawać jej mało, aby się z nich uczyła żyć dobrze a nie szukać „południa o czternastej godzinie“, jak się Francuzi wyrażają.

Nie dawać jej powieści psychologicznych, aby jej nie zaprawić do zgubnego śledzenia samej siebie i nie doprowadzić jej do zabląka-

nia się w samej sobie, bo nasza dusza to labirynt i laboratorium. Zostawmy ją w spokoju o tyle, o ile udoskonalać jej nie potrzebujemy. W tem laboratorium tyle się rzeczy gotuje, waży, przemienia, parą pokrywa albo wyjaśnia, bez żadnej widocznej i zrozumiałej przyczyny, że gdy koniecznie przyczyny tej szukać chcemy, to giniemy w labiryncie, a życie pożytku z nas nie odniesie.

Nie będziemy nigdy głębokimi myślicielkami, — zostawmy tę pracę silniejszym od nas.

Zanadto nas uczą. Mnie nauką zamęczali, ja się nią sama zamęczałam, bo ją lubiałam.

Pozwalali mi całymi dniami w formalnym *tutti frutti* przedmiotów się zagłębiać. Umiem mnóstwo rzeczy, ale niedokładnie, snuły mi się i plątały po głowie daty z nazwiskami, liczby z teoryami, urywki poezyi z urywkami filozofii. Spać mi to nieraz nie pozwalało, kładłam się rozgorączkowana, wstawałam podniecona. Nerwy systematycznie bywały rozstrojone, a za to charakter mój rozwijał się jak sam chciał. Serce porywało się zanadto, albo milkło z obojętnością, jedną tylko fantazyą albo nerwami powodowane.

Ze jestem taka a nie gorsza, to tylko dzięki Helence i myśli o śmierci, która nadała jakiś trochę poważniejszy kierunek mojej naturze.

Mam wszelkie dane na kobietę upartą, wyniosłą, zarozumiałą. To wszystko we mnie drzemie tylko, siłą woli przytłumione, a mogło być wykorzenionem z gruntu, gdyby zamiast mi dawać *gallimatias* naukowy do rozpamiętywania, dano mi w swoim czasie jak najłagodniej, słodko i rozumnie treść życia do rozważania, życia, jakim ono dla kobiety być powinno.

Wystarcza mi spojrzeć na Helenkę, — nikt jej naukami nie przeładował. Inteligencya jej powoli i racjonalnie życiem więcej, niż lekcyami się rozwinęła.

Taka w niej cisza, równowaga. Nerwy nigdy u niej głosu nie mają; zdrowa, wesola, swobodna, aż zazdrość patrzeć.

Stefan powiada, że na nią spoglądać można z równem zadowoleniem dla oczu i zmysłu estetycznego, jak się patrzy na piękny, różowy hijacynt. Hijacynty, to ulubione kwiaty mego pana. Ją poznać i w nią się wsłuchać, to równie doskonałej a prostej harmonii się dopatrzeć można, jak w symfoniach Haydna.

Haydn, to mistrz mego pana.

Odczytuję to, co kilka dni temu napisałam. To wszystko elukubracye, sensu nie mające.

Jestem taką, jaką jestem. Przychodzi się na świat dobrym albo złym. Ja przyszłam złą i złą pozostanę.

Teorye się tylko zmieniają, tak jak kwiaty i liście na drzewie, stosownie do pory roku, do blasku słońca, do wiatru mniej lub więcej silnego, ale korzeń zostaje ten sam.

Zazdrosna jestem i poniża mnie we własnych oczach zazdrość moja, a dumna jestem jak Lucyfer.

Jak to dobrze, że jemu nigdy nie okazałam miłości mojej, że mu nigdy naoścież serca nie otworzyłam.

Teraz przynajmniej mogę grać rolę obojętnej, on się ani domyśla, że cierpię. Boże! jak cierpię....

Gdybym ja go mogła nie kochać.... A to jest tak niepodobne, zupełnie jak gdybym pragnęła nie potrzebować powietrza do oddychania, — ależ gdy mi go tylko zabraknie, to umieram. Gdyby mi zabrakło Stefana, byłoby zupełnie tak samo.

Cierpienie moje zaczyna się już zrastać ze mną; tylko czasem gdy dotkliwiej zaboli, to syczę.

Ja jednak nie rozumiem tego człowieka. Czemu ja się czasem łudzę, że on mnie kocha? I on się łudzi widocznie. Zapomina o tem, że mnie ostrzegał raz na zawsze mówiąc:

— Gdy ci się wydaje, że to moje serce mówi, wiedz, że nerwy mówią; ja o nic nie dbam.

Czemu on tem fatalnem wyznaniem zamknął sobie na zawsze drogę do zaufania mego?

Jabym mu tak ufać chciała!

Czemu on mi tak często brak serca wyrzuca? O, nie! Tej satysfakcyi mu nie zrobię, aby mu pokazać, jak bardzo to serce cierpi z jego powodu. Możeby niem gorzej jeszcze poniewierał.

Jutro Stefan wyjeżdża.

Wczoraj w budoarku cioci byliśmy wszyscy zebrani. Z początku rozmowa była ogólna, ciocia naturalnie pierwsze skrzypce trzymała, rej wodząc. Helenka i Kot spędzali z nami prawie cały dzień. Deszcz padał, pochmurno było, wietrzno, straszno; pomimo to humory wesoło były nastrojone.

Ciocia z Kotem sprzeczała się zawzięcie, bo Kot pasyami lubi jej się sprzeciwiać; koniecznie chciał jej dowieść, że papież skazał na spalenie

na stosie wszystkich magnetyzerów i hypnotyzerów, tylko cesarzowie i królowie wstawiają się za nimi, nie chcąc ich oddać.

Cioci można wszystkie banialuki podać za fakta *elle gobe tout*.

Pomimo tego sprzeczka szła żwawo, bo ciocia bardzo naseryo wzięła tę sprawę i powstawała na Charcot'a, Richet'a, Ochorowicza i innych jako na słusznie potępionych. Kot zaś z największą powagą bronił uczonych a potępiał bezwzględność papieża.

Audytorjum złożone z Helenki, Stefana i mnie śmiało się *à gorge déployée*. Jednak wkońcu znudziło to Stefana widocznie, bo zaproponował nam partya bilardową. Ja tej gry nie cierpię, więc odmówiłam, ale on nie zważając na mnie podał ramię Helence i zaprowadził ją do sąsiedniej sali, gdzie wkrótce odgłos bil uderzających o siebie dał się słyszeć.

Portyery między budoarem a salą bilardową nie pozwalały mi obserwować przebiegu gry, ale tak Helenka jak Stefan często się przesuwali przed memi oczyma, czasem jedno obok drugiego.

Gdzie wejdzie Helenka, tam wchodzi wesołość. Nosi z sobą snop promieni słonecznych, wszystkich ogrzewa i ożywia.

Po chwili usłyszałam wesoły śmiech obojga. Dobrze im było razem, a ja tu sama siedziałam i za dumna byłam, aby się z nimi złączyć.

Tymczasem cioci głos ucichł, nie wiem jak się zakończyła dyskusya, bo pod koniec nic nie słyszałam.

Raptem ciocia odezwała się:

— Patrz Elzo jak ci państwo wesoło się bawia, nie im do szczęścia nie potrzeba.

Właśnie w owej chwili Stefan zawołał:

— Przegrana, więc proszę o rączkę do pocałowania; tak, tak, nawet obiedwie; miss Sunbeam bardzo źle grała dzisiaj.

Miss Sunbeam, bo Stefan nazywa Helenkę „panną promień słoneczny“; z jakiejś angielskiej powieści, której bohaterka bardzo mu się podobała, wziął ten tytuł.

Otóż miss Sunbeam chciała usunąć ręce, ale je Stefan pochwycił i jedną po drugiej pocałował, mówiąc:

— Warto być zwycięzcą za taką cenę.

Ciocia mu przerwała.

— Uważajcie, Helenko, Elza cię zasztyletuje oczami, moglibyście przynajmniej tak blisko nie flirtować.

Gdyby mnie kto był w twarz uderzył, nie

byłby może oburzył i zbuntował więcej jak ciocia tym niesmacznym żartem.

Kot interweniował zaraz ze swoją zwykłą poczciwością.

— To odwet za rączki, które mi pani dała do pocałowania.

Ale już było za późno. Słowa cioci poruszyły całą krew moje.

Stefan ironicznie odparł:

— Panna Helena może być spokojna, choćby innie nawet i wykradła, to jej Elza sztyletować nie będzie; gdyby jej Loti'ego albo Bourget'a wykradli z biblioteki, toby może sztyletowała. Zimnej krwiby nie brakło.

To ostatecznie mnie dobiło, ledwie ciocia czas miała wyjść z pokoju, kiedy mnie powietrza zabrakło.

Okropnie wyglądać musiałam, bo wiem od cioci, że wtedy oczy moje nabierają osłupiałego, straszego wyrazu, i że blednę jak mur. Ja sama wiem tylko, że cała drętwieję, sekunda dłużej i zasłona spaśćby musiała.

Widziałam jednak doskonale twarz każdą wkoło siebie, Helenka pochwyciła mnie za serce, Kot pobiegł po ratunek, a Stefan patrzył na mnie. Sam zbladł także okropnie, oczy prawie nieprzytomnego wyrazu nabrały, raptem schwy-



cił się za głowę oburącz i jak szalony wybiegł z pokoju.

Trwało to kilkanaście sekund, może minutę, może dwie, dłużej jednak niż zwykle, bo już mi żyły nabrzmiały, zsiniałam, jak mi to później ciocia wyznała.

Ale zaraz prawie po wybiegnięciu Stefana, przytomność i siły zaczęły mi powracać.

Kot stał pochylony nade mną, a w oczach jego tyle było niepokoju, tyle przywiązania. Helenka klęczała przy mnie i rozcierała ręce moje, ciocia skronie kolońską wodą tarła.

Tylko papy nie było i jego nie było.

On uciekł, — to za silne wrażenie na jego nerwy, — pierwszy raz mnie taką widział.

A jednak, — czy ja wiem co myśleć? Nie trzeba drugich własną miarą mierzyć. Ja pewnie nie byłabym jego w takiej chwili opuściła, — byłabym razem z nim umarła, — ale nikomu nie byłabym pozwoliła ratować go, — to byłoby mojem prawem.

On, choć mnie opuścił, zdaje się jednak, że musiał bardzo cierpieć, bo gdy powrócił, patrzył na mnie oczyma tak pełnymi miłości; wzrok jego wszędzie za mną chodził gdzie się ruszyłam.

Błagał mnie o spokój, i kilka razy powta-

rzał cichym głosem: „Ty musisz być zdrową, musisz żyć dla mnie. Ja ciebie otoczę taką miłością, taką troskliwością, że nigdy emocyi żadnej mieć nie będziesz; a wtedy będziesz zdrowa. Moja pani jedyna, błagam cię, szanuj się dla mnie, ochraniaj się, musisz, musisz żyć dla mnie“.

Czemu on zabił we mnie ufność? Czy i tym razem nerwy mówiły? Czy od wczoraj, od tej smutnej chwili ciągle jeszcze jest pod wrażeniem nerwów, gdy mi mówi, że mnie kocha bezmiernie, że jestem wszystkim dla niego?

Na jak słabym gruncie opiera się życie nasze całe? — na jednym wyrazie czasem. Bo gdy wyraz ten zabija w nas wiarę serca naszego, wszystko się skończy, nie żyjemy już, wegetujemy tylko. Dlaczegoż chwytam się znowu tej wiary?

Wolę prawie wegetować niż konać tak często; wolę już raz śmierć nareszcie, niż czuć znowu uderzenie ostrza w sercu.

Dlaczegoż on wtedy chciał mnie tak na zawsze, nieodwołalnie złudzeń pozbawić? Jeżeli wolałam być ślepa, dlaczegoż mi wzrok gwałtem oddawał? Abym spoglądała na co? na próżnię? — to jest nieciekawy widok, — ale można się do niego przyzwyczaić, byle tylko

trwał. Ale dlaczegoż on mi spokoju zostawić nie chce?

Dlaczego te sprzeczności, które się ciągle powtarzają?

Doszłam do tego, że dziś tak jego zapewnienia, jak i zaprzeczenia, mają tę samą wartość w mych oczach.

Zdaje mi się, że jestem zanadto skomplikowana; zanim mnie ktoś oddecyfruje, znuży się.

Zanadto we mnie umysł rozprzestrzeniono, w zły sposób.

Człowiek, to tak jak maszyna, im bardziej wykończony, wypolerowany, wykombinowany, tem więcej śrubek, kółek, sprężyn, składa jego moralną, wewnętrzną stronę, tem wrażliwszym go to czyni.

Jedno szarpnięcie losu, albo ręki niedelikatnej, a wszystko się płacze, chaos się wkrada; każda sprężyna, każde kółko, już nie *unisono*, ale *zosobna* drgać poczyna i smutny nieład panuje w tem niby najdoskonalszem dziele stworzenia.

Zbyteczna wrażliwość prawie zawsze idzie ręką w rękę z inteligencją egzotyczną.

Im prostsza natura, im mniej ociosana du-

sza, tem większy spokój, tem większa równowaga moralna.

Im więcej ognia i polotu w duszy, tem łatwiej harmonią w niej zakłócić, tem częściej burze w niej goszczą.

Czemu tak jest, kiedy wprost przeciwnie być powinno?

Mój złoty, mój jedyny pojechał, — a mnie tak tęskno — tak smutno!

Czarne przeczucia mnie dręczą, — a to byłoby straszne, żebym go zobaczyć już nie miała. Chociaż mogę żyć jeszcze, mogę żyć długo nawet; przecież z tą chorobą długo bardzo żyje się czasem.

Pojechał mój pan, — tak pusto dokoła, — dusza ożywiająca dla mnie wszystko uleciała. Ostatnia rozmowa nasza nazawsze zostanie mi w pamięci. To nie może być, onby tak nie mówił, gdyby mnie nie kochał.

Byliśmy sami. Ja pracowałam nad dywanem strzyżonym, jaki dla niego wykończam, a on opowiadał mi, jak myśli dom urządzić na moje przyjęcie.

Tym razem nie prosiłam go, aby o tem

więcej nie wspominał — tylko mimowoli wyrwało mi się z ust:

— Czy ty jesteś pewnym, że my dla siebie jesteśmy stworzeni, Stefanie?

On widocznie nie spodziewał się pytania tego. Spojrzał na mnie zdziwiony, — chwilę na odpowiedź czekać musiałam. — Na stoliku obok mnie leżały poezye Krasińskiego, — on machinalnie książką tą bawić się począł, głowę spuścił, tak że nie mogłam dojrzeć wyrazu jego twarzy.

Gdy ją podniosł, oczy jego znowu łzami napełnione były.

— Czy tobie cięży słowo mi dane? powiedz Elzo. Jeżeli się boisz, jeżeli nie jesteś pewną siebie, ja ci to słowo zwrócę.

— Nie, mój drogi, ja się tylko boję, że nie jestem taką, jaką ty mnie sobie wymarzyłeś, że teraz dopiero spostrzegasz pomyłkę i że żałujesz może.

— O! Elzo, czy ty doprawdy przypuszczasz coś podobnego? To być nie może, abyś tak dalece była niedowierzającą; więc ty jeszcze o mojej miłości wątpisz?

Milczałam.

— Ależ moja jedyna, ja od czasu jak ciebie kocham, tylko toba żyję. Spokój nocy moich

i dni moich od ciebie, od słów twoich zależy, od spojrzenia, od uśmiechu twego. Że się dręcę często, to pewnie już moja a nie twoja wina; że ciebie dręcę wtedy, to już tylko moja wina. Ale, ty może nie wiesz, że ty czasem...

Urwał i nie dokończył. — Mówił to nie patrząc mi w oczy; nerwowo tylko kartki w książce przewracał. Ja nie śmiałam pytać, a jednak o tyle rzeczy pytać chciałam.

Zaczętej myśli nie sformułował, -- zato zatrzymał się na jednej stronie poezyi Krasińskiego — i smutnym głosem czytać zaczął:

„O! nie mów o mnie, gdy mnie już nie będzie,  
 Że ciebie tylko goryczą zraniłem,  
 Bo ja goryczy kielich także piłem  
 Zawsze i wszędzie.

O! nie mów o mnie, gdy mnie już nie będzie,  
 Że tobie tylko los życia popsulem,  
 Bo własną dolę ja także zatrulałem  
 Zawsze i wszędzie.

Umilkł. — Mnie się ciężko na sercu zrobiło, a nie śmiałam mu przeczyć. Byłabym chciała zapewnić go, że mnie goryczą nie zranił — a nie mogłam, — bo byłabym skłamała. — On tak potrzebował pociechy w tej chwili, tak głęboko czuł, co mówił, — to było widocznem —

i głos jego i wyraz oczu jego taki bolesny, złamany odcień miały w sobie.

Byłabym chciała powiedzieć mu, że mi losu życia nie popsuł; to mogłam powiedzieć, i szczerze, z najgłębszem przekonaniem; — bo jakież byłby los mój bez niego? On mnie przecież kochać nauczył — a choć cierpiałam przez miłość moją, to i rozkosz niezrównaną miłości zawdzięczam i okupiłabym jedną chwilę szczęścia, jaką on mi daje, całym pasmem nowego cierpienia.

Mogłam mu to powiedzieć, — ale ja im głębiej czuję, tem mniej mówić mogę. — Uczucie moje jest tak głęboko w sercu ukryte, że mu się trudno na wierzch wydobyć, — a zdaje mi się, że krwią serdeczną powinnam opisywać dzieje miłości mojej.

Stefan wziął ręce moje, przycisnął je silnie do piersi i mówił:

— Elzo, pani moja słodka, ja ciebie męczę nieraz, ale czy ty nie rozumiesz dlaczego najczęściej? Ja ci nie chcę wymówek robić; ty musisz wiedzieć, że żalu do ciebie nie mam. To byłoby z mej strony bezczelnością, gdybym ja do ciebie śmiał mieć pretensye jakie. Przecież powinienem zrozumieć, że ty dla mnie tylko współczucie mieć możesz, że tylko

poświęcasz się wychodząc za mnie, ale widzisz, taki jestem szalony, że mi to nie wystarcza. Ile razy upewniam się w przekonaniu, że mnie nie kochasz tak, jakbym chciał być kochanym, to od zmysłów odchodzę. Nie mogę się z tą myślą pogodzić; chcę więcej, gdy mi już tak dużo dajesz. Z drugiej strony wiem także, że gdybyś mi wszystko oddała, całe serce i duszę twoją, gdybyś była moją własnością, wiem, że wtedy miałbym chwile upojenia i szalu i szczęścia, jakie zwykłemu, normalnemu człowiekowi nie są przystępne, ale wiem i to, że dla mnie radykalnego lekarstwa niema. Duch ciemności, rozpacz, tęsknoty za czemś, czego nie znam i czego widać niema na świecie, duch ten powieje na mnie znowu. Wtedy straszno mi jest, dla siebie i innych zły jestem, i wtedy gdybyś mnie nawet kochała tak jak tego pragnę, czy miałabyś odwagę znieść mnie złego, niesprawiedliwego? *Je suis possedée de temps en temps.* Ciebie to musi zrażać do mnie, ja się temu nie dziwię i powtarzam, jesteś wolną Elzo, jeżeli tylko nie masz odwagi znieść mnie takim jakim jestem.

— Ja mam odwagę, bo ciebie kocham Stefanie.



— Nie, moja jedyna, nie mów mi tego na pociechę tylko; wolę nie wierzyć temu jak później znowu wątpić. Nie mierz mnie zwykłą miarą. Ja umiem być szczęśliwym nad miarę, ale umiem też cierpieć nad miarę, a ty nie wiesz jak cierpię kiedy wątpię o tobie.

— Więc widzisz Stefanie, ja dlatego pytam czyśmy dla siebie stworzeni? Myśmy z nadto do siebie podobni, z nadto wrażliwi i z nadto dumni oboje. Przyznaję, że mnie dręczysz często; że niesprawiedliwym jesteś często, ale z tego co mówisz okazuje się, że i ja mimo wiedzy i woli, ciebie unieszczęśliwiam. Jestem okropnie zniechęcona; to jakieś koło zaczarowane, z którego wydobyć się nie możemy. Śmierć tylko może nas z niego wyprowadzić. Tyś zaczął wiersz Krasińskiego. Czy pamiętasz ostatnie dwie strofki? Ja ci je powtórzyć powinnam:

„Ale mów o mnie, gdy mnie już nie będzie,  
„Że Bóg jest dobry, że mnie schował w grobie,  
„Bo byłam sobie nieszczęsną i tobie  
Zawsze i wszędzie.

„Ale mów o mnie, gdy mnie już nie będzie,  
„Żem żyła tutaj gorzkim serca szalem;  
„Bo z serca ciebie — choć gorzko kochałam:  
Zawsze i wszędzie.

Ostatnie wyrazy mówiłam wolno, nacisk na nie kładąc i włożyłam w nie całe uczucie, jakie wydobyć mogłam z serca.

Stefan patrzył na mnie jak gdyby chciał mnie do głębi odczytać. Potem ręce moje całował długo, gorąco — nareszcie wyrzekł:

— Teraz już wierzę, że mnie kochasz. Boże mój! Gdybym ja ciebie mógł uszczęśliwić, jabym się już zgodził na całą wieczność cierpienia, byle twoje życie opromienić, byle ciebie nigdy smutną nie widzieć.

— Nie mów tego — zawołałam wystraszona. — Ty nie wiesz co mówisz. Moje życie.... moje życie tak niewiele warte.

On pocałunkiem usta mi zamknął — i pił łyżę moje — a ja pierwszy raz przy nim łkałam ze wzruszenia i ze szczęścia, — pierwszy raz wobec niego serce me otwarłam. — On musiał jechać — właśnie teraz, kiedy mi się stał droższym jeszcze. — Tak długo czekać zanim powróci! — Mówił mi, że gniazdo jedzie usłać — ja mu nie broniłam, kiedy mu to przyjemność sprawia. — Czy mi Bóg pozwoli w gnieździe tem zamieszkać?

To mój testament — a ja w nim ciągle do jednego tylko skarbu wracam — do mojej miłości.

Czy mnie też za wielki grzech tam, gdzieś, poczytają tę miłość moją?

Jeszcze kilka rzeczy pozostaje do rozporządzenia. — Moją bibliotekę podzielić muszę. — Oddam encyklopedyą, dzieła poważnej i filozoficznej treści, Kotowi. — On się w tem wszystkim kocha. — Czytałam całe grube tomy różnych wytworów umysłu ludzkiego. Olśniona byłam niejednem, pobałamuconą często, zniechęconą często. — Pełna zarozumiałości, opierałam się na mojej wiedzy i rozumie także często bardzo, — ale to wszystko były chwilowe wrażenia, wywołane cudzą wymową. — Spencer, Comte, Spinoza, Leopardi, — o każdym z nich mam pojęcie, i przychodzę do wniosku, że oni sami dla siebie mogli wystarczać, — ich teorye może do potrzeb ich ducha były zastośowane, wystarczały im.... może. Ale były to duchy w każdym razie wyjątkowe, kto wie czy nie z natury wypaczone. Ich zasady i przekonania przeflancowane na inny grunt, najczęściej zgubny tylko wpływ wyrzeć mogą; bo zamiast dać oparcie, wyrrywają z ręki to jedno, jakie jest całym szczęściem naszym, — wyrrywają naiwną, prostą, ślepią wiarę.

Ja mimo wszystkich zwątpień moich zawsze do tej wiary powracałam i wtedy tylko znaj-

dowałam spokój, — dziwię się, że mi jej nie odebrano za tyle dobrowolnych narażeń się z mojej strony na jej utratę. — Ale Bóg jest bardzo, bardzo dobry.

Możeby warto spalić to, co mi spokój ma- ciło, albo rozum odbierało? — Nie — szkoda, — zawsze to owoc ducha i pracy ludzkiej, — są ludzie, którzy potrafią z truciznami się obcho- dzić, — do tych Kot należy.

Jemu moich filozofów zostawiam.

Poezye wszystkie zabierze Helenka. Mam najpiękniejsze rzeczy, — klasyków, romanty- ków i innych. Nie zważałam nigdy pod jakim sztandarem występują geniusze i do jakiej szkoły należą, — wystarcza mi, gdy pieczętą jest piękno.

Pod tym względem jestem panteistką. — Shakespeare, Mickiewicz, Goethe, Słowacki, Corneille, Hugo, Krasiński, wszyscy są półbo- gami dla mnie.

Helenka zaś jest uosobieniem poezyi, — mogłaby każdego z moich półbogów natchnąć, — jej więc oddaję to, co mam najpiękniejszego.

Zostają powieści, — mam wiele tuzinko- wych, banalnych romansów, — te może zabrać kto zechce. — Ale mam także całego Korze- niowskiego, Rzewuskiego, Sienkiewicza, mam

stosy Dickensów, Walter Scottów, Thackerayów, Eliotów, i moich ukochanych: Daudet'a, Bourget'a, Loti'ego, Flamariona, etc. etc. Są to moi przyjaciele.

Gorżkie łzy lałam nad Jack'iem i Petit chose, Alfonsa Daudeta. — On mnie nauczył nie spoglądać obojętnie na żadną sferę ludzi. — Biedny druciarz albo introligator może większe dramata w duszy przechodzi, niż niejeden książę udzielny, albo magnat.

Loti zabierał mnie z sobą w najcudniejsze kraje. Zżyłam się z mglistą Bretanią. Polubiłam nawet brzegi Islandyi, rozmarzona byłam wyspami Tahiti, Konstantynopolem. Wzruszałam ramionami nad śmiesznością Japończyków. Nie potrzebuję jeździć wszędzie. Zamykam oczy i z Lotim najcudniejsze, najpoetyczniejsze podróże odbywam. — Niebezpieczny to jednak towarzysz.

Nareszcie Bourget — to rywal Stefana. — Nie jest on autorem dla panien, — ale któż mnie kiedy pytał co ja czytam, — skorzystałam z tego aby się zakochać w Bourgecie. — Znam go od deski do deski, i aż mnie wstyd nieraz, że on mnie tak pochłania. — Gra na moich nerwach, — wyczytał każde drgnienie serca mego, każde drgnienie serca Stefana, —

on sam zna wszystkich, którzy kochamy i cierpiemy i słabi jesteśmy, — ale tacy godni pożalowania.

Nieraz się zastanawiam, dlaczego u nas tak się wielkie talenta wyczerpały. — Jedna gwiazda pierwszorzędnej wielkości — poza nią mierność, mierność i jeszcze mierność. — Czemu to przypisać należy? — Czy temu, że leniwi jesteśmy? że talentu pracą nie wzbogacamy? Czy krytyce stronnej i niesprawiedliwej, która nie sądzi ale kasa nieraz, rządząc się osobistymi względami, albo uprzedzeniami.

Gdybym ja pisała, a nieraz miałam ochotę do tego, to takie zajadłe przedrwiwanie moich najlepszych chęci prędkoby mnie pozbawiło zapалу a nawet zaufania do siebie samej. Z drugiej strony trafiłabym może na tak bezwzględne pochwały, że zamiast szukać kierunku i dobrej rady w sądzie ludzi kompetentnych, prędkoby mi się w głowie przewróciło. Nigdzie tak jak u nas krytyka od fantazyi nie zależy. Częściej jednak z błotem mięsza i prawdziwe nawet talenta zniechęca, z punktu. Powinna jednak zachęcać jak najwięcej, — boć jeżeli któryś ze starożytnych mędrców powiedział, że trudno być głupszym aniżeli ogół, to według mego zdania u nas trudno gorzej pisać aniżeli ogół

literatów naszych; ztąd tytuł do śmiałego bratania się z piórem.

To mnie męczy, — ta mierność dzisiejszej literatury naszej. — Mnie każda niższość w kraju moim upokarza. — Jabym chciała, żeby był pierwszym, — najmędrszym, — najcywilizowańszym, żeby choć pod względem umysłowym wszyscy się z nim liczyć musieli, skoro nikt się już pięści jego nie boi.

Jestem arystokratką — tak; — ale chciałabym, aby rozumiano ten wyraz jako oznaczający „najlepszych“, pierwszych szerokim sercem i umysłem. — Kraj mój chciałabym widzieć arystokratą między krajami.

My jednak niby dążymy do wielkich celów, te wielkie cele tak nas pochłaniają, że w każdej nowelce, powieści, wierszyku, bajce, jak szydła z worka wychodzą, — niestety, tak wszystko do owych celów nagięte, wyprężone, że biała nieć fastrygi wszędzie na wierzchu.

Tendencyjność zabija naturalność, — nikt się widocznie nie trzyma zasady aby pisać w celu zadowolenia siebie samego, — swego estetycznego zmysłu. Wszyscy o tem myślą, aby olśnić publiczność wielkością wytkniętego celu. — Obrok duchowny tu, obrok duchowny tam, — nauczka na prawo, natarcie uszu na

lewo, — a suchy, drewniany drogoskaz swoją pomalowaną zgruba, niezgrabną rękę wyciąga z frazesu każdego. Ztąd też naturalności mało, — indywidualności mało — a takie wszystko oschłe, że się mimowoli sięga po George Eliot albo Maxime Ducamp, Taine'a etc. aby odpocząć; — to mnie upokarza. — Nauczono nas po polsku czytać, — ci co nas nauczyli pomarli — czy nauka ta ma pójść w las znowu? — Czemu nam nie dają rodzinnego pokarmu dla umysłu, kiedyśmy do niego nawykli? — Czy nas nie stać na to?

Odczytuję moją dygresyą literacką. Gdyby to Stefanowi wpadło w ręce, kto wie, czyby nie powiedział: „Pedantka. Kobiecie najładniej, gdy się na tem wszystkim nie zna. Dostyc, gdy umie kolory rozróżnić. Dostyc, gdy sama jest kwiatem tylko“.

Swoją drogą książki wszystkie, oprócz powyżej przytoczonych, oddaję mojemu panu. On lekceważąco wyraża się o moich faworytach, choć ich nie zna. Zamknął się cały w kilku klasykach i w Mickiewiczu, — poza nimi świata nie widzi, dowodząc, że najbardziej interesująca książka to człowiek. — W samym sobie i w drugich czytać, to wystarcza, aby się uczyć i nieraz zaciekawić do najwyższego stopnia.



On jednak w drugich źle bardzo czyta, nawet sylabizować nie umie, — gdyby umiał, dawnoby wiedział, jak wielkimi literami imię jego w sercu mojem wyryte, — jak litery te oplatają to serce dokoła, — pochłaniając je, nie zostawiając miejsca na nic innego, — coraz głębiej i głębiej wpijając się w treść życia mojego.

Miałam list od Stefana. — Prosi mnie, abym stanowczo oznaczyła dzień ślubu naszego. — Do papy z tą samą prośbą się odnosi. — Z tego powodu miałam z papą długą rozprawę. — Mówiłam mu dlaczego się waham — mówiłam mu, choć mnie to wiele kosztowało, że boję się dalszym pokoleniom przekazać chorobę moją. — Wyśmiał mnie, dowodząc, że babunia miała kilkoro dzieci, a z nich jedna tylko mama była chorą, — że babunia sama umarła w późnym wieku.

Ależ w gruncie rzeczy czy to życie tyle warte aby zgóry zaprzętać sobie głowę, że ktoś kiedyś umrzeć może?

Przecież umrzeć musi w każdym razie, — nie z aneuryzmu, to z suchot, albo paraliżu, albo tyfusu — wszystko jedno.

Faktem jest, że nie mogę dłużej zwłóczyć, — ojciec mi postawił *ultimatum*, — albo zerwać, albo dzień ślubu oznaczyć. — Ale ojciec jest *fine mouche*, — o! co sprytu, to mu nie braknie.

Wiedział dobrze, że dziś już nie zerwę. — Na jego argument: „*On ne peut laisser Etienne le bec dans l'eau et le pied dans l'étrier*”, odpowiedziałam spokojnie:

— Rzeczywiście to bardzo niewygodna pozycja jak na zwykłego śmiertelnika -- i zdecydowałam się na czerwiec, -- to mój ukochany miesiąc.

Trzeba widzieć ciocię, jaka zajęta. — Całą wyprawę na jej głowę zdałam; nie mogłam jej zrobić większej satysfakcyi, — zdaje mi się, że mnie więcej od tego czasu kocha. — Mnie to bawi, gdy widzę ją taką zaabsorbowaną; — jestem przekonana, że Cezar zanim przeszedł przez Rubikon, o wiele był spokojniejszy. — Próbki bez liku przychodzą z Paryża, z Wiednia, z Wrocławia, — całe stosy.

Małeńką sprzeczkę miałam z ciocią z tego powodu. — Prosiłam ją, aby w Warszawie i Krakowie zaopatrywała mnie we wszystko. — Ale jej się to pomieścić w głowie nie mogło. —

Od Krakowa rzeczywiście odstąpić musiałam, — znowu z wielkiem upokorzeniem mojej dumy narodowej. — Czemu nie moglibyśmy się zdobyć na gust, mogący zadowolić najwybredniejszy zmysł estetyczny? Podobno my bogaci i przodujący czy to historycznem nazwiskiem czy majątkiem i stanowiskiem ogółowi, podobno my temu winni jesteśmy. — Nieufni gustowi własnemu, protegujemy tylko to, co za granicą, przez zagraniczne powagi uznane jest za piękne albo modne.

Ztąd to, niewiele pieniędzy co mamy, z bogaca kupców po obcych stolicach, a nasi nie mają na czem się oprzeć, ani na kogo liczyć. — Jeżeli tak jest, to mnie upokarza dla nas przodujących.

Warszawa podobno mogłaby zadowolić nasze wymagania, — ale papa dowodzi, że kupcy po większej części nie są rzetelni, — że nie cenią rzeczy podług ich prawdziwej wartości, ale podług kieszeni kupującego, wyzyskując gdy się da, bez sumienia.

Więc pobita zostałam, a teraz już się do niczego nie mieszam. — Ciocia pod pozorem wyprawy, chciała mnie do Paryża i Wiednia zaciągnąć, ale jej się nie udało. — Ona i owszem — daję jej krzyżyk na drogę, — ale ja?

Przedewszystkiem mnie podróże męczą, potem nie cierpię miast, — nienawidzę sprawunków, — a z ciocią stać w otoczeniu bandy kupeczyków, bijących japońskie pokłony — i przymierzać płaszcze — i zastanawiać się czy herby mają być czy monogramy na chustkach, — czy *à jour*, czy *en relief* — nie! to nie przemawia do mojej imaginacyi. — Ciocia chciała wybadać gust mój co do koronek, — stare weneckie ją tentują. — Ja jej odpowiedziałam, że mogą być nawet stare chińskie albo arabskie — o tyle, o ile mnie to dotyczy.

Widocznie to już było za aberacją umysłową z mej strony poczytane. Ciocia spojrzała na mnie z pewnem niedowierzaniem, jakby wysondować chciała, czy z niej nie żartuję; gdy się przekonała, że mówię seryo, wtedy wzruszyła ramionami, dodając w słowach niemniej pogardliwie: „oryginalna dziewczyna“.

*Je ne dis pas non.* Nie jestem tuzinkową, ale też nie cierpię ogółu śmiertelników na tuziny podzielonych. Swoją drogą uważam, że od chwili gdy cioci dałam plenipotencyą na zajęcie się moją wyprawą, od tej chwili już mnie ciocia *bas bleu* nie nazywa. To dowód, że jest łaskawiej dla mnie usposobioną.

Dochód od 20.000 rs. przeznaczam na wyposażenie piętnastu najbiedniejszych dziewczyn, z trzech folwarków do mnie należących. Kto się tem zajmie, nie wiem jeszcze. Chciałabym to powierzyć miejscowemu proboszczowi, pragnę aby on następcy swemu zajęcie się wyszukaniem najbiedniejszych przekazał.

Jeżeli dziś — żyjąc, nikogo uszczęśliwić nie potrafię, to przynajmniej po mojej śmierci chciałabym aby pamięć moją błogosławiono.

Nie — widocznie nie jest mi danem uszczęśliwiać nawet tych, których szczęście okupiłabym chętnie, własnym cierpieniem. Nawet Helence życie zatruwałam w ostatnich czasach, Kota biednego też dręcę, byłby o wiele szczęśliwszy, gdyby mnie nie znał. A i Stefan cierpi nieraz z mego powodu.

Od owej chwili, w której Helenkę odepchnęłam od siebie, jakaś zapora stanęła między nami.

Ona mnie nie prosiła o wytłomaczenie — a ja nie śmiałam dotknąć tego przedmiotu, byłabym musiała wyznać jej moje obawy, wyznać cierpienie, jakim mnie nieufność do Stefana przejmuje, a na to zdobyć się nie mogłam.

Od chwili gdy jestem jego narzeczoną, nigdy nikomu nie wyznałam, że nie jestem pewna miłości jego, — to także byłoby mnie upo-

karzało, a ja się upokorzenia boję więcej niż dyabeł wody święconej.

Jeżeli jest inny świat podobny niedoskonałością do naszego, na którym więcej jeszcze niż tu cierpieć trzeba, a gdzie się pokutuje za winy tutaj popełnione, to ja tam pójdę pewnie na pokutę i spełniać tam będę ostatnie posługi, będę tam ulice zamiatać albo myć brudne naczynie — a ludzie będą ze mnie drwić i szydzić całymi dniami, palcem mnie sobie pokazując.

Zasługuję na to wszystko za szaloną pychę moją, i za to, że tak się boję nędznej strony życia, gdzie brud, brzydota i zgniłe powietrze łączą się na utrapienie biednych ludzi. Nic mnie więcej nie kosztuje jak wejść do chaty, gdzie choroba i nędza walkę muszą z sobą staczać; brak mi oddechu — odrazę budzi we mnie taki obraz nędzy. Czemże sobie zasłużyłam, że mnie losy w złote oprawiły ramy, zamiast na taką samą nędzę skazać?

Więc dlaczegoż to buntowanie się wszelkich wychuchanych instynktów na brzydką, ale tak smutną stronę życia, tylu milionów nędzarzy?

I za to pokutować będę.

Ten mój testament to prędzej rachunek sumienia. Ależ i jedno i drugie konieczne jako przygotowanie do śmierci, a ja takbym się przygotować chciała. Takbym pragnęła, aby owa śmierć nie była dla mnie straszliwym widziałem gdy nadejdzie. Takbym chciała patrzeć na nią jako na spokojnego, uśmiechniętego anioła, który nie po to po mnie przychodzi aby się znęcać nade mną. Ja ją tak widzę; ja nieraz już do niej ręce wyciągałam nawet, tylko mnie to oczekiwanie męczy i nuży.

A czego się boję, to walki życia ze śmiercią, boję się, aby mimo mego zaufania do lepszych światów i lepszych losów, nie przyszła na mnie chwila trwogi strasznej, gdy się ze śmiercią oko w oko spotkam. Jużbym wolała aby się to nagle odbyło.

Różne wrażenia odczuwam. Czasem buntu przeciw temu fatum co ciąży nade mną, szczególnie gdy pomyślę, że się ze Stefanem rozstać przyjdzie, może nazawsze. Czasem strachu przed tem co mnie tam czeka, czy nie ciężka pokuta za grzechy moje. Czasem znowu spokoju, ciszy, zaufania, wiary w wielką litość Tego, który nas stworzył przecież nie na to, aby przez całą wieczność znęcać się nad nami.

To dziwna rzecz, że miłość, która jest moją

alfą i omegą, poza którą nie widzę na świecie, ta sama miłość tak często mnie nie zadawała — tak mi się niedoskonałą wydaje.

Kiedyś — kiedy nie znałam jeszcze tego uczucia, zdawało mi się, że gdy mnie ogarnie, to tak wszystko opromieni, wygładzi, ulepszy, że świat z pewnością innym mi się wyda. — Marzyłam o zaufaniu bezgranicznem, — o harmonii niezmaconej, — marzyłam o wielkich rzeczach, jakich we dwoje dokazać będziemy mogli, ilu ludzi uszczęśliwimy, — ile zrobimy dobrego, — jak szczęściem naszym opromienimy wszystkich dokoła.

Marzyłam, że pan mój wszystkie moje myśli, wszystkie ideały dzielić będzie, — że echem w jego duszy każde pragnienie moje odbijać się będzie.

O czem ja nie marzyłam?...

Ale od dawna już *Monsieur de la Palisse* nawet zawyrokował, że marzenia ludzkie ziścić się nie mogą.

Trzeba się było przygotować na to, że i moje się nie ziszcą. Ja też teraz spostrzegam, jak w marzeniach moich nawet, moje „ja“ na pierwszym planie stawiałam. Pragnęłam nie tego, aby mnie danem było odgadnąć myśli



przyszłego władcy mego, tylko aby on do moich pojęć nagiąć się potrafił.

Wykroiłam go sobie w mojej fantazyi według mego widzimisię — i jestem jako owa *Perette au pot au lait*. — Płaczę nad stłuczonym dzbankiem — ideałów — ale jednak skrupy zbieram i chowam skrzętnie jak relikwie, — bo one składają miłość moję, — a choć nie taką, o jakiej marzyłam, niemniej wielką i silną jednak.

Może zanim naszą duszę na ten świat wyszła, kąpią ją także w jakiej letejskiej wodzie zapomnienia, aby nie tęskniła zanadto za rozkoszami, jakie były jej dawniejszym udziałem. Jeżeli tak jest, to moję źle i niedokładnie bardzo wykąpano, — bo wszystko co tu jest pięknego i dobrego na świecie, mnie się wydaje, jakbym to już gdzieś, kiedyś widziała, znała, słyszała. Tylko doskonalsze, wznioślejsze, piękniejsze.

Może to dlatego, że jakiś niesumienny „Bademajster“ z przestworzy, nie zanurzył mnie dostatecznie w źródle zapomnienia, popsuł mi tak bardzo wszelkie przyjemności mniejsze i większe, dostępne zwykłym, przeciętnym śmiertelnikom.

Może gdyby nie on, potrafiłabym się cie-

szyć z toalet, jakie mi ciocia u Laufer obsta-  
lowała, — a koronki stare weneckie, nie byłyby  
mi obojętne.

Wypłatał mi figla — bo dzięki tej niedo-  
kładnej kąpieli źle mi było, źle mi jest i źle  
mi będzie na świecie.

Nareszcie przyszło do porozumienia i zu-  
pełnej zgody z Helenką.

Co to za szlachetna a prosta dusza w tej  
kobiecie. — Gdy po długiej walce z sobą, wy-  
znałam jej, co mnie spowodowało do takiej  
szorstkości, ona z największym zdziwieniem  
wysłuchiwała spowiedzi mojej.

— Na chwilę żalu nie miałam do ciebie —  
odpowiedziała. — Przeciwnie, zła byłam tylko  
na siebie, bo przecież widziałam, że byłaś  
wtedy rozdrażniona, a wiedząc że nie lubisz  
demonstracyi, powinnam ci była ich oszczę-  
dzić. Przecież ja ciebie znam dobrze, wiem,  
że nieraz gdy najgoręcej czujesz, najgłę-  
biej kryjesz to w sobie. Naprzekór samej  
sobie, nieraz chcesz się wydać gorszą niż je-  
steś, drwiąc z tego co cię rozczuła, dla-  
tego właśnie, że cię rozczuła. Ja to wszy-  
stko wiem. Nie myśl, że to wymówka Elzo,

ale przecież nie pierwszy to raz odepchnęłaś mnie wtedy od siebie. Jeżeli nie ruchem, to słowem często już byłąbyś mogła mnie zranić, gdybym cię nie znała.

— Dobrze że mi to przypominasz Helenko; ja wiem, że złą jestem bardzo nawet dla tych, którzy najlepsi są dla mnie. Tylko i ja tobie wymówkę zrobić muszę. Czemu ty, mając wpływ na mnie, nie skorzystasz z tego, aby we mnie niejedno złe wykorzeńić? Przecież tobie wszystko mówić wolno; nigdy nie buntowałam się, gdyś na mnie powstała. A ty zamiast korzystać z tego, psujesz mnie zbytkiem wyrozumiałości. Wiesz przecie, że gdy widzę złe, chętnie chciałabym temu zaradzić. Czemu mi go nie wskazujesz? Jabyś cię posłuchała.

— Nie wskazuję dlatego, że ty wszystko egzaltujesz, w ogromnych rozmiarach widzisz i zanadto przejmujesz się byle czem. To cię niepokoi, a ja dla ciebie tylko spokoju pragnę, bo twój spokój, to twoje zdrowie. Dlatego też dajmy pokój tej rozprawie; już jesteś wzburzona, a ja panu Stefanowi obiecałam, że cię pilnować będę i od wszelkich silniejszych wrażeń ustrzeżę.

Mimowoli trochę ironicznie zapytałam:

— Czemu on tego zadania nie spełnia?

Wtedy Helenka z wyrzutem spojrzała na mnie.

— Niesprawiedliwa jesteś Elzo — rzekła — Ty od niego nie powinnaś żądać tej samej wyrozumiałości co ode mnie, bo miłość ma inne wymagania niż przyjaźń, a potem on ciebie tak nie zna jak ja, i nareszcie on sam jest niezmiernie nerwowy, wrażliwy, więc to co mnie nie zadrażni nawet, jego do głębi duszy przejmuję.

Uważnie spojrzałam na Helenkę. Oczy jej świeciły niezwykłym blaskiem, rumieńce silniejsze wystąpiły na jej twarzy i z niezwykłym zapalem pana mego broniła.

— Przepraszam cię Elzo — mówiła dalej — że ci tak jasno wypowiadam myśl moją. Ale przecież to prawo przyjaźni — i warunek nawet. Nieraz byłabym skorzystała z tego prawa, gdyby nie wzgląd na zdrowie twoje, ty wiesz, że się obawiam emocyi dla ciebie.

— A... nie mów mi już o tej obawie. To moje nieszczęście, te wasze obawy. Gdyby nie one, byłabym może lepszą i szczęśliwszą niż jestem. Papa i ciocia tylko nie obawiali się niczego, a jednak nie zabili mnie dotąd. Wy, którzy mnie kochacie i którzyście mieli wpływ na mnie, wiecznie kierowaliście się obawami,

począwszy od nianiek, nauczycielek, skończywszy na tobie Helenko. Toż lepiej byłoby dla mnie, abym króciej żyła a była lepszą i szczęśliwszą. Póki innych unieszczęśliwiam, póty sama sobie spokoju nie daję, a nie wiem, jak się wziąć do uszczęśliwiania tych, którzy mi są najdrożsi.

— Przeciwnie Elzo, nie wyobrażaj sobie tego. Ja nieraz bylam szczęśliwą i dumną z przyjaźni twojej; ty potrafisz być dobrą, gdy w grę nie wchodzi wygórowana ambicya twoja. Widzisz, mnie chodzi o Stefana, mnie jego żal czasem.

I znowu żywszy rumieniec wystąpił.

— Ty jego kochasz — mówiła dalej — ale go nie znasz i nie starasz się poznać. On potrzebuje bardzo delikatnej ręki, bo w chorej, zbolelej duszy każde nieostrożne dotknięcie wywołuje jęk długi a czasem nawet zgrzyt, który ty za brak przywiązania z jego strony bierzesz. Bo przyzwyczaiłaś się do naszego spokoju i nie pojmujesz, że można kochać i zranić głęboko, choć sama tak dobrze potrafisz tego dokazać. Ty jesteś niewyrozumiała. Oboje stanęliście nieledwie od pierwszego spotkania się na jakimś dziwnym, niepewnym gruncie. Jakaś siła nieprzeparta ciągnie was ku sobie,

oboje duchem jesteście sobie równi, oboje potraficie bujać po wyżynach, po których jabym was doścignąć nie mogła. Ale oboje macie jakiś zapas niedowiarstwa, nieufności w sobie, oboje jesteście wrażliwi prawie chorobliwie. Na mnie robicie wrażenie, jakbyście siedzieli na dwóch końcach dziecinnej huśtawki, gdy jedno wybija się w górę, drugie właśnie wtedy na dół opada, i tak naprzemian. Nie umiecie zastosować waszych chwil uniesienia albo zniechęcenia do jednego momentu albo do tego samego przedmiotu. Potem Elzo, mojem zdaniem, to rola kobiety wybaczać. Nawet gdy go doprawdy zniechęconym albo niesprawiedliwym widzisz, pociesz go, złagodź słodyczą gorycz jego. To takie piękne zadanie i takie pełne uroku, gdy się go kocha — dodała spuszczaając oczy.

— Masz słuszność — odparłam — ale to jedno mnie powstrzymuje w spełnieniu tego zadania, że on sam nieufność raz nazawsze w sercu mojem zaszczeplił. Czemu mi powiedział kiedyś, że gdy posłyszę rozczulenie w jego głosie, gdy serdeczne wyrazy ma na ustach, to mam zgóry być pewną, że to nie on, ale jego nerwy mówią?

— Jeżeli tak dosłownie wzięłaś te słowa, to

najlepszy dowód, że go nie znasz. Gdybyś go znała, wiedziałabyś, że właśnie owo zdanie nerwami było podyktowane. Jeżeli go kochasz, to powinnaś mu wybaczać paradoksy takie, to są chwilowe wybryki, z którymi jego serce nie wspólnego nie ma. Jeżeli go kochasz, to powinnaś być przygotowana na zniesienie niejednej goryczy; to taka rozkosz cierpieć dla ukochanej osoby cicho, w skrytości ducha, i nigdy nie dać jej odgadnąć, że się z jej powodu cierpi.

Cisza zapanowała między nami.

Mnie się wtedy oczy otworzyły. Coś było w głosie i w słowach Helenki, co mnie oświeciło. Nie ją Stefan ale ona Stefana kocha.

Tylko to jedno chciałabym wiedzieć, czy ona wie o tem? Czy sobie zdaje z tego sprawę?

Tak — śmieszna była moja ambicya, abym ja rolę Dawida przy Saulu panu moim spełniać potrafiła. Okazuje się, że nie mam danych na Dawida w usposobieniu mojem. Helenka potrafiłaby uciszać niepokój jego. Ale ja — nie.

Śmiesznem jest także, że ja go panem moim nazywam. Gdzież i kiedy buntowniczy, pyszny mój duch pana zniesie? Raz w liście do niego

tak Stefana zatytułowałam jak to wobec siebie samej nieraz czynię.

To go niezmiernie zabawiło i rozśmieszyło.

— Ja panem twoim? — pisał. — Jakże to być może, kiedy ty w takim rozległym znaczeniu tego słowa panią moją jesteś. Ty jesteś stworzoną na władczynią, jesteś z natury i z postawy królową, ty ludzi uważasz tylko za podnóżki nóg twoich — i masz słuszość. Ja podnóżkiem takim będę chętnie, byle tylko mojej pani dobrze z nim było na świecie.

I jabym się zaśmiać mogła. Stefan podnóżkiem! *ça a l'air d'une mauvaise plaisanterie*. Że oboje nie jesteśmy stworzeni aby po nas dep-tano, to fakt.

W gruncie jednak my w tylu rzeczach jesteśmy do siebie podobni, tak bardzo grzeszymy temi samemi wadami, że to mnie uspokaja nawet w obawach moich o wieczność.

On widocznie wraca z tego samego świata, z którego ja pielgrzymkę dalszą odbywam; on też pokutować powinien na tym samym świecie, na który mnie poszła. Więc może się spotkamy? — Może jesteśmy na wieczność dla siebie stworzeni?

A może przeciwnie? On aby się udoskonalić, potrzebuje żywiołu wręcz przeciwnego,



może w miłości, cnoty ukochanej osoby dopełniać powinny niedoskonałości naszych, może tak dopełnione jedno przez drugie, stajemy się dopiero całością zupełnie harmonijną i jedno jestestwo tworzymy tam, gdzieś, gdzie nam już nie do szczęścia nie potrzeba? Jeżeli tak, nie ja tą całością uzupełniającą Stefana będę. Nie ja. Prędzej Helenka.

I jabym miała innej, choćby jej nawet, odstąpić prawa nad jego duszą? Oddać go? Odstąpić?

Nie — tego Bóg nie może wymagać ode mnie.

Cudowny dzień dzisiaj, cały z promieni słonecznych. Gdzie ich niema? Na listku każdym, w każdym kwiecie, na trawce, między gałęziami. Powietrze pełne zapachu, wszystko się w zapachu tym mieści, począwszy od oddechu ziemi świeżo skopanej, od łąk kwiatem okrytych, skończywszy na kwitnących czeremchach i świeżych liściach topoli. Takie życie, szalone, wybujałe, pełne życie dokoła.

Jednak o śmierci zapomnieć nie można; wiosna w całym blasku, a już deptać trzeba po opadniętem kwieciu leszczyny. Na to jednak

nikt pewnie nie zwraca uwagi, tylko ja z moją *idée fixe* wszędzie obrazu śmierci szukam.

Dziś odebrałam list od Stefana; uciekłam z nim do ogrodu, siadłam na najgęstszej, bujnej trawie; za mną bzy w ogromnych bukietach lekko się kołysały, tak jakby się chciały rojom pszczoł opędzić. Oparłam się o pień brzozy i z rozkoszą każdy wyraz pana mojego sercem czytałam. Poiłam się całą melodią słów zawartych w liście jego. Zaczynałam — kończyłam i zaczynałam znowu, to go składałam, to rozwijałam. Wyciągnęłam się na trawie, leżąc na wznak, niebo było cudownej czystości, powietrze tak lekkie, że zdawało się łatwym bardzo, wzbić się wysoko — wysoko...

I znowu brałam list mój, szukając zdań najśłodszych dla mnie; upajałam się nimi, z całą świadomością szczęścia, jakie mi dawały.

To była jedna z najpiękniejszych chwil mego życia. Zdawało mi się, że wiosna jest dla mnie tylko, aby stosowne tło tworzyć do moich uczuć. Miałam ochotę motylom i bżom opowiadać o mojem szczęściu. Coby na to ciocia powiedziała — ja, *bas bleu* w rozmowie z motylami i kwiatami!

Byłam tak dalece upojona, że już sobie wkońcu sprawy nie zdawałam, czy to sen, czy rzeczywistość, byłam inną, zupełnie inną niż zwykle. Myśl nie pracowała, kołysana uczuciem serdecznem, pozwalała mi tylko wiedzieć, że mi w tej chwili nic do szczęścia nie brakuje.

Puściłam cugle tej nagłej skłonności do sielanki i zerwałam liść koniczyny; szukałam czterolistnej, chcąc na niej przesłać pocałunek Stefanowi, szukałam daremnie, choć z coraz większym uporem poszukiwania moje odbywałam. To nawet przerwało urok godzin zaczarowanych. Ja sobie wszystko popsuć muszę. Cemuż było mi się upędzać za tym dziecinnym symbolem szczęścia? Zmęczyło mnie to wkońcu, schyliłam się raz ostatni, chcąc poprzestać na zwykłym listku, trafiłam na pięciolistną koniczynę i tę zerwałam. Bońcia mówiła mi kiedyś, że to nie dobra wróżba pięć liści. Ale ta mi w ręce wpadła — tę pocałowałam i włożyłam w kopertę, pisząc do Stefana.

Helence oddaję moją książkę do nabożeństwa. Znajdzie tam dwie modlitwy, które codziennie odmawiam, zużyte kartki świadczą o tem. Jedna za nią, druga za niego.

Nigdy słowa jednego z modlitw tych nie odmówiłam obojętnie, ani z roztargnieniem; całą duszę kładłam w wyraz każdy.

Smutno mi dzisiaj. Okropnie się zżęskniłam za Stefanem, a on dopiero za tydzień przyjedzie.

Dzień mego ślubu oznaczony. Jabym tak chciała, aby się wszystko cicho odbyło, ale papa, ani ciocia, zgodzić się na to nie chcą; dowodzą, że zrazilibyśmy sobie całą familią i przyjaciół!... Przyjaciół!... jak gdyby oni w przyjaźń tych różnych osobistości wierzyli. To wszystko dla ostentacyi.

Trzeba znowu salony pokazać, trzeba przepychem olśnić, ja i pan mój jesteśmy przecież ostatni z rodu naszego; nie możemy bez rozgłosu się połączyć. Trzeba aby o tem mówiono i tem głównie ma być zajęta cała prowincya, o ile możliwości kraj cały.

Stefan został uprzedzony o tych szumnych projektach; w najgorszym humorze z tego powodu, mnie robi w liście wymówki, jakbym ja temu winną była.

Suknia ślubna już obstalowana. Dziwne rzeczy, to mi się w głowie pomieścić nie może, abym ja w sukni tej białej, powłoczystej, z we-

lonem na głowie, mogła iść przez kościół — do szczęścia.

Ja siebie widzę nieraz w sukni białej — w kościele także, ale nie idę, tylko mnie wnoszą. Widzę się tak i oczy zamykam, jakby zamknięcie oczu mogło odpędzić mrozące widmo.

Wrócił Stefan, ale czarno usposobiony. Mało mówi, za to gra godzinami całemi a ja słucham.

Nieraz on, ja i Helenka siedzimy kilka godzin zrzędu w moim saloniku i głosu ludzkiego nie słysząc. Każde zatopione w myślach swoich; my z robotami albo książką w rękę, on przy fortepianie. O czym oni dumać mogą każde z osobna? Wieleż jabym dała za to, aby znać jakie „Sezam otwórz się“ do ich myśli. W chwili gdy Stefan taki przygnębiony, co jemu przychodzi do głowy? Czy on mnie wtedy kocha, czy nie kocha? A Helenka? Czy ona cierpi i milczy, bo mnie jednej tajemnicy swej powiedzieć nie może, a nikomu innemu nigdy się nie zwierza? Czy też ona kocha go tem uczuciem dziwnem, dla mnie niezrozumiałem, ale któreby się prawie zgadzało z jej usposobieniem, czy go kocha bez żadnej pretensyi do

losów, że miłość jej podzieloną być nie może, cicho, spokojnie, bez goryczy, bez przymieszki zazdrości — duchem tylko?

A może mnie się to wszystko zdaje?

Nie — nie zdaje mi się. Ja widzę nieraz oczy Helenki wpatrzone w niego, gdy za nią chodzą, gdy w niego wsłuchane; gdy on gra a twarz jego tak dziwnie się mieni. Ja widzę to wszystko, choć ona nie domyśla się tego.

Teraz rozumiem co to jest dusza artysty. Stefan gdyby nie był bogatym, byłby wirtuozem zdobywającym wieńce, oklaski i wiele złota po wszystkich stolicach świata. Czytałam nieraz i słyszałam o losach żony albo ukochanej przez artystę kobiety, lituję się nad niemi, prawie zawsze kobieta jest nieszczęśliwa, jeżeli całą duszę swą odda temu, który jej tylko połowę duszy oddać może. Bo on nie może dać więcej, to niepodobna; on dawniej kochał sztukę, niż ukochał kobietę.

Mnie jednak w marzeniach moich chodziło właśnie o ujarzmienie całej takiej buntowniczej natury, bo wiedziałam, że tylko niepospolitego człowieka pokocham. Zgóry przygotowaną byłam na rywalizowanie ze sztuką, to taka szlachetna rywalka; ale w marzeniach moich zdawało mi się, że ją łatwo pokonam.

Nie z tego. Całej duszy Stefan mi nigdy nie odda, choć dziś jeszcze mówił mi:

— Taka jest różnica między muzyką a tobą, że gdy mam ciebie, nie myślę o muzyce, a gdy mam muzykę, myślę zawsze jeszcze o tobie.

Ale to tylko iluzya z jego strony, albo frazes. Ja dobrze widzę, że tak nie jest.

Dzisiaj fantazyował Stefan na temat marsza pogrzebowego Beethovena, słyszałam dzwony, widziałam kondukt — przypomniiał mi się mój sen. I gnębiąca myśl przyszła mi do głowy.

Nie chciałabym aby na moim pogrzebie była zanadto piękna muzyka, bo Stefan gotów byłby się w nią wsłuchać i zapomnieć o wszystkim, zapomnieć nawet o tem, że umarłam.

Biedny Kot bywa coraz rzadziej, i Helenka także mniej często niż dawniej mnie odwiedza.

Żal mi strasznie ich obojga. I to się nazywa, że my mamy wolną wolę, a przecież gdydym najgoręcej pragnęła, nie mogłabym oddać serca Kotowi. Gdybym najgoręcej pragnęła, nie mogłabym zdobyć się na ofiarę serca Stefana i na oddanie go Helence.

Biedna moja Helenka! Od pewnego czasu

powzięła zamiar wstąpienia do sióstr miłosierdzia, dowodzi, że to zawsze było jej powołaniem.

To sensu nie ma. Ona nie ma powołania.

Pamiętaj Helenko, szarytko moja najdroższa, że jeżeli mnie zabraknie, to chcę aby 10.000 rs. oddano siostrom miłosierdzia do rozporządzenia, wedle ich własnego upodobania. Wolno im to obrócić na ozdobienie kaplicy, albo na dokończenie jakiej budowli, albo dla biednych, jak zechcą.

Ale ty między niemi nie będziesz. Kto wie, może ci rzeczywiście przeznaczono być szarytką, ale gdzieindziej, nie wśród murów klasztornych, tylko w salonie, w budoarze — w pałacu.

Ruch coraz większy wkoło mnie, zaproszenia się rozsyłają, paki przychodzą z różnych stron świata, ciocia wróciła ze stosami bielizny, sukien, błyskotek.

Dziwna rzecz, jak bardzo Stefana toaleta moja interesuje. Muszę się dla niego stroić coraz inaczej i coraz piękniej. Obrażony jest na mnie, gdy nie dość elegancko jestem ubrana.

Nigdy jeszcze nie byłam tak próżną, jak od czasu, gdy on każdemu szczegółowi toalety mojej się przygląda. Interesuje go krój, kolor, ozdoba każda.



Zna się na tem, jak najbardziej wyrafinowana eleganka, nic nie ujdzie jego uwagi.

Kapelusze krytykuje, kilka sukien moich wysortował zupełnie; co ja mam kłopotu z tego powodu, to niktby się nie domyślił nawet. On nie lubi obojętności mojej na tym punkcie; więc się już do niej nie przyznaję.

Ciocia dogodziła mu zupełnie, wszystko oglądał i wszystko pochwalał; pierwszy raz wielka harmonia panowała między nimi.

On mnie tak bawi, gdy rozprawia poważnie nad krojem kołnierza albo kamizelki. *J taki me być, nie*

Za dwa tygodnie ślub mój. Jaby m chciała przed ślubem testament ukończyć; tamten urzędowy też powinnam zrobić — ale nie mam prawie odwagi zabrać się do niego. Tyle formalności! Mówić o tem będą, a mnieby przykry był rozgłos taki. *propozycyjn*

Oddaję dochód z majątku mego Radkowiec na przytułek dla sierót, dochód z drugiego folwarku Wysokie z przyległościami, przeznaczam na kształcenie wybitnych talentów w muzyce; jaby m chciała, aby cały świat był muzykalny.

Gdybym zapomniała czem rozporządzić, oddaję do uznania Stefana i Helenki, oni niech się naradzą a ich wola ma być wykonaną.

Pan mój po kilkodniowej nieobecności dziś

powrócił. Miał zamiar raz jeszcze przed ślubem naszym być u siebie, ale go uprosiłam, aby tego nie robił.

Zostanie już; to taka dla mnie pociecha.

On taki teraz dobry dla mnie. I we mnie się coś zmieniło. Staram się ciągle mu okazywać, jak bardzo go kocham. On mi już wierzy, widzę że nieufność minęła.

Boję się szczęścia mego. Gdyby tak dalej trwać miało, to zbuntowałabym się w chwili, gdy mi się z życiem pożegnać przyjdzie.

Coraz piękniej na świecie, tyle blasku słonecznego, tyle kwiatów, tyle śpiewu, harmonii w naturze.

Dzisiaj cudowny spacer zrobiliśmy. Helenka, Kot, Stefan i ja. Na moje żądanie pojechaliśmy na cmentarz. Cudnie położony, na pagórku, w środku gotycka kapliczka, przez mamę postawiona w pierwszym roku po ślubie. Jest tam nasz grób familijny, ale tam nie chciałabym leżeć, tak ciemno i straszno w tym sklepionym, ciasnym, zimnym grobowcu.

Jabym chciała spoczywać pod gołym niebem — a gdyby nie chodziło o tradycję i ziemię święconą, to chciałabym być pogrzebaną

gdzieś w ogromnym lesie, albo na rozległym stepie, sama jedna, albo przy nim tylko — przy Stefanie.

O tem jednak mowy być nie może; pochowają mnie obok babek i dziadów, których ani znałam, ani kochać mogłam, a wieniec obcych grobów otaczać mnie będzie.

Raz, kiedyś, zwiedzając cmentarze w dalekich krajach, zdaje mi się, że w Nicei, zobaczyłam niski, biały krzyż marmurowy, na nim piał się bluszcz. Jedne gałązki na krzyż zarzucił, drugimi grób pokrył. Mnie się tak cichym, uśmiechniętym, pełnym nadziei, szczęścia nawet, wydał grób ten ze swym krzyżem białym i bluszczem zielonym; białość marmuru lśniła, świeciła od słońca, i bluszcz taki świeży, pełen życia miał kolor. Takbym kiedyś leżeć chciała.

Niestety, u Stefana także grobowiec rodzinny się wznosi, nie uniknę już mego przeznaczenia.

Wszyscy mieli zwarzone miny, gdy im ten cel spaceru zaproponowałam, ale nie śmieli się opierać. Powoli jednak zaraziłam ich moją wesołością, mnie tak dobrze było dziś na świecie...

Kot ze Stefanem pierwszy raz swobodnie i serdecznie rozmawiali, Helenka prześlicznie wyglądała w swej jasnej sukni.

Usiedliśmy na jakimś starym grobie i gawędzili — o życiu. Oni nigdy o śmierci przy mnie nie mówią, myślą może, że ja tego nie zauważyłam.

Ja zrywałam rozchodnik, listki piołunu i macierzanki, robiłam z nich bukietiki maleńkie; każdemu z nich dałam po bukietcie. Brzozy, świerki i modrzewie szumiały łagodnie, tak było cicho, spokojnie w naturze, tak cicho i harmonijnie między nami, że trudno mi było wyobrazić sobie wtedy burze, gniewy, bitwy, zatargi — wogóle cały niepokój wstrząsający światem...

Gdyśmy wstali aby ruszyć z miejsca, mnie żal było zgniecionych roślinek; razem z Helenką podnosiłyśmy je z ziemi, cuciały, orzeźwiały, aby im życie powrócić.

Za dziesięć dni ślub mój. Czy to być może? Mamo, mammo, jeżeli jesteś w niebie, uprosz mi, abym tej chwili doczekała, abym żoną Stefana zostać mogła. Nam tak dobrze razem; ale tylko gdy razem jesteśmy. Poza tem czuję jakiś ciężar, potęgujący się zwolna, coraz mi trudniej oddychać. Czuję to prawie od dnia naszego ostatniego spaceru na cmentarz. Może się

zanadto zmęczyłam, a mnie się męczyć nie wolno. Takbym żyć chciała, że mnie wszystko trwoży co życiu zagraża.

To pewnie te przedślubne emocje sprawiają, że krew tak nierówno krąży w żyłach, ale to wzrasta — powoli — jednak codzień gorzej. Dzisiaj były chwile, gdzie zdawało mi się, że mi serce pęknie, to taki ból okropny. Czemu nie przychodzi kryzys zwykła, tak jak dawniej; straszne to ale przynajmniej prędko mija i znowu jestem zdrowa. A teraz — to mnie niepokoi. Ja widzę, że i Stefan zaniepokojony, Helenka i on nie pozwalają mi się ruszać, pilnują mnie jak dziecko małe. Czemu pan mój takimi niespokojnemi oczyma ciągle za mną wodzi? Ten jego niepokój widoczny, mnie bardziej jeszcze wzrusza. Boże mój! Boże! Czy to już koniec?

Czytałam wczoraj książkę o chorobach sercowych, którą na moje żądanie z księgarni mi przysłano. Więc wiem co mnie czeka; kilka dni żyć jeszcze mogę. Dziś widziałam się z doktorem; on mnie pociesza, ale sam nie wierzy.

Stefana żal mi okropnie, on już widocznie uprzędzony, że żyć nie mogę. Rozpacz maluje się w jego oczach i ja go pocieszać muszę. Długo pisać nie mogę; ręka mi drętwieje co chwila. Chcę aby Helenka przeczytała cały ten testament, aby mi przebaczyła, aby powiedziała cioci, że żałuję — i ojcu także. Ja ojca kocham, ale za późno widzę, że nie byłam dobrą córką, niech mi przebaczy.

Stefana — to okropne! Ja przecież Stefana opuścić nie mogę.

Prosiłam aby moją ślubną suknię odpakowano, leży w moim saloniku, a ja tam dzień cały siedzę, bo chcę patrzeć na nią, a chodzić już nie mogę.

Trochę mi lepiej w tej chwili; ale to tylko złudzenie, godziny moje porachowane.

Straszną walkę przeszłam z sobą. Teraz spokój wrócił. Już zrobiłam dobrowolną ofiarę z życia mojego. A teraz — oddać muszę to, co mam najdroższego na świecie. Helenko — tobie Stefana oddaję; pamiętaj, że ci go oddaję chętnie, bez cienia goryczy.

Pamiętaj, że masz mu mnie zastąpić, że to jest ostatnia i najgorętsza wola moja. Pamięć

taj, że gdybyś od niego stroniła, gdybyś nie starała się osłodzić mu każdej chwili, żal miałabym do ciebie na tamtym świecie.

Tylko pierścionek mój zaręczynowy zostawcie mi na palcu.

Ubierzcie mnie w moją ślubną suknię — i welon włóżcie mi na głowę; i włóżcie mi do trumny ten bukiet na cmentarzu zerwany.

Już kończę, bo chcę umrzeć trzymając rękę Stefana w moim ręku, tylko nie mogę patrzeć na łzy i rozpacz jego. Słodko mi umierać, wiedząc, że on mnie tak kocha.

Ale straszno pomyśleć, że on cierpieć będzie. Helenko tobie go oddaję. Taka jest ostatnia wola moja...







M E A.

OBRAZEK KANADYJSKI.

---

Włodziami G.

Esteja.

— Widziałam dziś szczęśliwego człowieka, rzadkie zjawisko.

— Czy wolno wiedzieć, kto jest tym szczęśliwym?

— Nasz dobry znajomy, bardzo sympatyczny chłopiec, pan Naulet.

— Ba, Francuz! Wielka sztuka!

— Jakto, wielka sztuka?

— Francuzi wszyscy szczęśliwi. Zwykle gdzie głowa pusta, tam wesołości dużo.

— Niezawsze się to sprawdza. Naprzykład ty...

— Cóż ja? Ja przecież tak bardzo wesołym nie jestem.

— Otóż to właśnie — ty nie jesteś wesoły, więc powinnaby być głowa pełna, tymczasem...

— Jest pusta?

— No, ja tego tak wyraźnie nie mówię...

— Ale „myślę“, to na jedno wychodzi. Po-

chlebne zdanie wyrobiłaś sobie o mnie, niema co mówić.

— Takie, na jakie sobie zasłużyłeś. Może kryjesz jakie skarby przede mną i może uważasz, że nie warto się z niemi popisywać. W takim razie nie miej mi za złe, że o nich nic nie wiem.

— Nie dopatrzyłaś się nic innego jak pustej głowy? Bardzo to szczęśliwie wróży o naszym przyszłym pożyciu małżeńskim...

— Nie przemawiaj tak ironicznie. Ja wcale nie dowodzę, aby to szczęśliwie wróżyć miało, przeciwnie...

— Smutne to bardzo Meo, ale od pewnego czasu spostrzegam, że coś się psuje między nami.

— Ja więcej spostrzegam, że się „zepsuło“.

— Meo!

— Cóż ja temu winna? Nie pasujemy do siebie. To jeszcze bardzo szczęśliwie, żeśmy się przed ślubem spostrzegli. Ja nigdy z tobą nie byłabym szczęśliwą, ani ty ze mną.

— Pozwól, że o mojem szczęściu sam wyrokować będę.

— Wyrokuj *my dear*, wyrokuj, ale prosz Boga, aby się twoje wyroki nie spełniły, bobyś sobie gryzł palce z żalu — zapóźno.

— O ile wiem, to „gryźć palce“ jest ulubionem wyrażeniem Naullet, dobre dla Francuza, ale dla Angielki... *quite shocking*.

— Nie jestem Angielką, tylko Kanadyjką, nie mogę przyjmować niezasłużonego tytułu, choćby tak pochlebnego, jak nazwa „Angielki“. Zwracam ci go, szlachetny Angliku.

— Jesteś Kanadyjką, a więc poddaną angielską.

— Mało mnie to obchodzi. Z Anglią nie chcę mieć nic wspólnego.

— Niestety, słowo dane. Podobno wiele wspólnego mieć musisz?

— Musisz? Kto powiedział, że muszę? Otóż wiedz, że nikt nigdy do niczego mnie nie zmusi. Słowa danego mi nie przypominaj, ono mnie tylko o tyle obowiązuje, o ile całego życia nie narażam na pewne *fiasco*. Ty wiesz dobrze, że od tego jest się narzeczonym, aby się móżdż cofnąć zawczasu, jeżeli się spostrzeże, że ten ktoś, kogo się brało za słowika, jest wroną. Inaczej nie rozumiem, dlaczego ta ceremonia „narzeczectwa“ długo trwająca a nudna, toż prościej byłoby odrazu pójść do ołtarza. Nie potrzebujesz się skandalizować, wiem dobrze, że nietylko w Ameryce, ale i w Anglii kobiety narzeczonych jak rękawi-

czki zmieniają — i to słuszne; — póty szukam, póki nie natrafę na stosowny numer.

— Więc dziś spostrzegasz, że ja jestem nieodpowiednim numerem?

— Wybacz, ale my nie jesteśmy dla siebie stworzeni.

— Kto ci to powiedział? Czy pan Naulet?

— Ja umiem sama za siebie sądzić. — Pomyśl tylko jakbyśmy razem wyglądali? Zupełnie jak muł sprzęgnięty z folblutem.

— Tak, ja rzeczywiście uparty nie jestem... ale jednak nie mam pretensyi, abyś mnie do folbluta porównywała.

— Jeżeli myślisz, że impertynencyami naprawisz twoją sprawę, to się mylisz. Nigdyby Francuz na podobną odpowiedź się nie zdobył. Nigdy! Na to trzeba być takim barbarzyńcą jak Anglicy. Nie cierpię Anglików! patrzeć na nich nie mogę! Nie rozumiem doprawdy, jak mogłam być tak szalona, jak ty mi się mogłeś kiedykolwiek podobać. Oczu nie miałam. Nic w tobie niema. Spójrz w lustro, czy ty możesz się kobiecie podobać? — Powinieneś być żyć przed potopem, kiedy mamuty po świecie chodziły. Wielkie zero z ciebie. Poto żyjesz, aby ludzi nudzić. Ile razy patrzę na ciebie, tyle razy ziewam...

— Zbytek szczerości. Czy mam do końca wysłuchać tych uprzejmych zwierzeń? Co prawda, wolałbym oddać się, póki burza nie minie.

— Oddał się! Oddał nazawsze. Ja tylko tego pragnę. Ty nie masz ambicyi. Inny mężczyzna, gdyby setną część usłyszał z ust kobiety tego, co ja ci w oczy rzuciłam, wybiłby ją, utopił, zabił! A ty co? tobie to wszystko jedno. Ty się nawet zirytować nie umiesz! Głazem jesteś — owcą — babą! Zupełnie taką samą masz minę gdy zakupujesz drzewo na handel i targujesz się z handlarzem, jak w chwili gdyś mi się oświadczył. Ty się nie umiesz gniewać, nie umiesz kochać, nic nie umiesz. Idź sobie, idź! To nieszczęście być tak uwięzionym na jednym statku. Jabym się chętnie w rzekę rzuciła, aby na ciebie nie patrzeć!

— Nie radzę, bardzo głęboka a pan Naulet zajęty w tej chwili bawieniem pań, nie mógłby cię ratować. Żegnam, do widzenia.

I cofnął się mister William Simpson w głąb kajuty, a wzrok, który za nim posłała miss Mea Sidney był tak przesycony elektrycznością, że każdego innego śmiertelnika byłby na miejscu trupem położył, ale nie jego, tę owcę, czy ten głaz.

Więc miss Mea w braku tak miłej rozrywki, jaką byłby dla niej w tej chwili widok zgładzonego ze świata mister Williama, zwróciła się ku balustradzie obejmującej niby białym wieńcem pomost statku „Montreal“ i zatopiła swoje wyraziste spojrzenie w nurtach św. Wawrzyńca. Długo wzburzona wpatrywała się w ciche fale, ale stopniowo wewnętrzny uragan przycichał. Chwilami tylko szum jakiś złowrogi podnosił się w sercu młodej miss.

W szumie tym dzwoniła myśl „Poczekaj! Dam ja ci!“

Powoli i to ucichło.

Oczy, z ciemnych, czarnych prawie, pełnych wiru i odmętu, rozjaśniały się, o! już tak prawie jasne jak lazur nieba, który się w nich odbija.

Silne rumieńce na twarzy owalnej, cudnie modelowanej, ustępują kolorom tak delikatnym, tak niepochwytnym, w swym blasku, jak owe różowe, miękkie, nikłe obłoczki, na stropie lazurowym.

Niewiadomo, co wpłynęło łagodząco na nerwy miss, czy przeświadczenie, że znajdzie zemstę stosowną, że owo groźne „Poczekaj, dam ja ci“, zamieni łatwo w fakt dokonany? A może też natura taka spokojna, pogodna, łagodna,



uśmierzyła zbuntowane żywioły w pięknej Kanadyjce.

W tej chwili na pokładzie nikogo niema. Godzina siódma, pasażerowie zeszli na obiad. Ale miss Mea niegłodna, nakarmiła się własnym gniewem. Otóż znowu oczy jej złowrogo spojrzały. Przypomniała sobie, że Will niewzruszony z apetytem zajada supę z ostryg i popija „pale ale“. Myśl ta gradową chmurą przyćmiła piękne jej czoło, ale w zerwanej nawałnicy niby echo odezwało się znowu „Poczekaj, dam ja ci.“

Groźba ta musiała się łączyć z poczuciem stanowczego zwycięstwa, bo uśmiech rozpromienił twarz młodej bohaterki. A co za uśmiech! Jakie rzędy pereł mignęły przy rozwarciu się cudnych ust jej, w falach rzeki odbite. Słońce zachodząc, opromienia tycyanowską główkę miss Sidney i na promieniach znosi jej obraz do wody. Stary św. Wawrzyniec niejedne czary odbijał już w nurtach swoich, ale takiej uroczej „Miss“ może jeszcze nie widział. Więc zatrzymał oddech swój; fale nie karbują jego grzbietu. Cały w lustro się zamienił, gładkie, olbrzymie. W nim odbija się klasyczna główka Mei i ów statek, na którym Mea płynie, pra-

wdziwy pałacyk piętrowy, cały w bieli i w złocie, lśniący, eteryczny...

Miss Sidney w zamysleniu spogląda na wybrzeże. Może nie widzi tego, na co patrzy? a szkoda, bo tak pięknie dokoła.

Wzgórza piętrzą się jedne nad drugimi, pokryte klonami o wspaniałym liściu. Już jesień pendzła swego użyła, aby wszystkimi kolorami, wszystkimi cieniami, jakie się w naturze znajdują, pokryć owo drzewo ulubione kanadyjskie. Zdała wzgórza wyglądają niby olbrzymie płyty mozajkowane, gdzie od karmazynu, purpury i barw topazowych, do fioletu, błękitu i tonów jutrzeńki, wszystkie cienie zmieszane, zlane, złączone, tworzą tło niezrównanie harmonijne dla oka, dziwnie wesołe i urocze.

Między lasami klonowemi tu i ówdzie willa albo domek drewniany, rzucony niby przypadkiem, to w dolinie jak w gnieździe przytulony, to na szczycie wzgórza królujący okolicy i lekceważący burze.

Niema tam ani skał olbrzymich a dzikich, niema wierzchołków niebotycznych; wszystko przystępne i dostępne, nie zdumiewa, nie wzbudza zachwyty i uwielbienia, ale napełnia spokojem i ciszą.

Natura taka dziwnie łagodzące wrażenie wywiera.

Sam św. Wawrzyniec, choć tak niezmiernie szeroki i majestatyczny, choć najcięższe parowce z łatwością unosi na grzbiecie, zdaje się spokojnie być usposobionym.

Poważny, czuje swoją potęgę, ale jej nie nadużywa, nie szaleje, nie huczy, nie grozi. Może dlatego, że cały zasób olbrzymiej, tytanicznej siły swych wód wyczerpał w piekielnym szumie Niagary, wysapany, strudzony przychodzi do równowagi w jeziorze Ontario, aż wkońcu wyżłobiwszy sobie właściwe koryto, wygodne, rozległe, przestronne, płynie już bez łoskotu i szaleństw do oceanu.

Gdybyż to i panna Mea chciała brać przykład z niego. Gdybyż, wezbrane fale gniewnych uczuć wylawszy raz bez żadnej tamy, chciała się wkońcu zdobyć na równowagę i nie knuć już żadnych zdradzieckich zamiarów.

Ale, niestety, miss ma naturę dziwnie nieposkromioną. O uragan u niej łatwo bardzo; gdybyż to można zaręczyć, że gdy pogoda nastąpi, to już trwała i pewna! Gdzie tam!

W tej chwili w oczach jej tak promienisto, na ustach taki błogi uśmiech, ani chmurki na horyzoncie, zdawałoby się. Jednak dla uwa-

żnego i wprawnego oka spokój ten jest pozornym tylko.

Nozdrza klasycznego noska pięknej miss, niby chrapki u rasowego konia, rozdęte, poruszają skrzydełkami prędko, nerwowo, a to zły znak. O! bardzo zły znak.

Główkę wsparła na obu rękach pokrytych długą duńską rękawiczką, łokcie na balustradzie spoczywają — tylko tą wążutką zaporą od głębin rzecznych przedzielona.

— Poco ja mam koniecznie wychodzić za mąż? — duma sobie. — Czy to jest taki niezbędny mebel ten mąż utrapiony? To śmieszne takimi starymi przesadami się rządzić. Ludzkość dzieląca się na pary i jeszcze na pary, jest idyotyczną.

Nato mi natura dała dwie nogi i dwie ręce i dwoje oczu, abym sobie sama starczyła. Gdybym czterech nóg i czworga ocz potrzebowała rzeczywiście, to pewnie byłabym niemi zgóry obdarzoną. Więc naco to łączenie się i nieodstępne towarzystwo dwojga osób? Dla utrapienia obojga. Bo przecież nikt sobie iluzji nie robi, że im tak we dwójkę rozkosznie będzie na świecie.

To wszystko razem sensu niema.

Naco ja mam za mąż wychodzić? Kto mi

każe? POCO? Dlaczego? Może dlatego, aby się dowiedzieć, gdy już będzie późno, że mój mąż tyle o mnie dba, co o zużyty pantofel? Może dlatego, aby samej wieczory spędzać naprzeciw pustego krzesła w czasie kiedy mąż w klubie gra w karty, albo pije? Żeby dni całe spędzać samotnie, w czasie kiedy mąż pod pretekstem najrozmaitszych interesów łobuzuje się w tyśiączny sposób. Żeby się dowiedzieć, jak dalece gusta nasze się różnią, że on lubi mało mebli w salonie, symetrycznie ustawionych, gdy ja lubię wiele i w nieładzie, że on lubi ostrygi gotować, gdy ja lubię surowe, że mąż lubi włosy moje gładko uczesane, gdy ja lubię grzywkę fryzowaną i wysoką fryzurę. Bo gdybyż oni się tylko mięszali do swoich własnych wąsów, bród i tużurków — gdzietam! Oni wszyscy maniacy; na jedną manią interwencyi w sprawy żony cierpią. Gdyby na tę jedną tylko; tyśiące manij mają. Mięszają się do tego, co żona mówi, co robi, czego pragnie; nie aby te pragnienia zaspokoić, o! bynajmniej. Tylko w celu, aby zgóry obmyśleć zręczny planik na postawienie stanowczej przeszkody w jej zamiarach. Ja ich znam! Wszyscy do siebie podobni. Takie same miłe usposobienie cechuje czarnych i białych, żółtych i czerw-

nych. Cel ich życia, to pakować palce między drzwi, a jaki gwałt, gdy im je przycisną. Niby żaby podstawiają nogi gdy konie kuja, niby bociany świat kobiecy czyszcza i naprawiają. Aroganci, despoci, egoiści, wszystko chcieliby dla siebie zagarnąć, nam nic. My mamy ogniska pilnować, gdy oni na pohulance poza domem. Gdy raczą wrócić, otworzyć im ramiona, uścisnąć serdecznie. Przygotowane „grzanki“ nasmarować świeżem masłem, podać herbatę zalaną własną ręką; aby czasem nie spostrzegli, że nam niemiłe jest ich postępowanie, bo wtedy *take care* jeszcze gorzej będzie. Biedna Europo! niewolnice europejskie, i wy się na to zgadzacie? I wy to znosicie? To jest po prostu niegodnie, płasko, idiotycznie z waszej strony. I tu niewiele lepiej. Pan stworzenia pilnuje swoich starych przywilejów, ciekawa jestem tylko na jakim pargaminie i jakie bóstwo mu ich udzieliło. Jednak w Ameryce lepiej się dzieje, jarzmo mniej ciężkie. Ale iść za Anglika, za tyrana podwójnego, 1-mo dla tego że mężczyzna, powtóre dlatego że Anglik, to byłoby szaleństwem z mej strony. Zrobiłam mu scenę, zasłużoną, zupełnie zasłużoną. On ma taką minę jakby sobie ze mnie nic nie robił, jakby sobie drwił ze świata całego; zoba-

czymy! Co ja mu właściwie zarzucałam? Mnóstwo rzeczy. Niewiadomo od czego zacząć. Ale najważniejszy zarzut głośno wyrażony był ten, że jest babą, no, to źle zrobiłam, w uniesieniu zawsze człowiek coś niepotrzebnie wybąknie, bo gdybyż był babą! Cóż? baba, to zawsze kobieta. Jakże ja mu to mogłam zarzucać, kiedy właśnie zarzucam mu, że jest mężczyzną? Trudno! już powiedziane! Może nie zmiarkował... Co dalej? Że jest owcą, głazem. Niekoniecznie to samo, ale ja siebie rozumiem; on mnie też pewnie rozumie. Że jest mułem, i to się od owcy różni do pewnego stopnia, ale też on odrzucił mi ten pocisk, więc tak, jakby go nie było. Co to jednak za barbarzyńca! Kobięcie powiedzieć że jest mułem, *shocking!* Krew wszystka burzy się we mnie na takie ohydne postępowanie. Ale o co poszło? O tego nieszczęśliwego Naulet, t. j. szczęśliwego chciałam powiedzieć, bo Naulet jest szczęśliwy, wszyscy za nim giną. Ta mania dobierania się parami i wędrowania po świecie we dwójkę powinna mieć swój koniec. Wszystko nią przesiąkło, nawet ja; poco ja zabierałam z sobą tego nieznośnego Willa? Czyżby mi nie było o wiele lepiej samej? Niby opiekun! Bardzo potrzebny opiekun, ja tu sama

a on *Irish stew* się rozkoszuje. Raczył mi nawet dać do zrozumienia, że gdybym się w wodę rzuciła, onby mnie nie ratował. Poczekaj! Ten Naulet ani wie jakie szczęście dla niego się gotuje; już to i on niewiele wart pewnie, ale zawsze lepszy od tego nieznośnego Anglika. Jeżeli Will taki dziś, to ciekawa rzecz, jakim byłby po ślubie? O — ani myślę próbować! Nie składam jeszcze homagialnej przysięgi mojemu władcy, długo będzie czekał, aż ją złożę. Nie on jeden na świecie. Jeżeli już jarzmo pakować na kark, to niechże mnie mój tyran choć kocha i poważa. Gdybym miała córki, to bym im od najmłodszych lat wbijała w głowę, że małżeństwo jest niepotrzebną instytucją i że samopas chodzić na świecie, to jedyna wolność dobrze zrozumiana. Każda inna, to chimera. Chciałabym mieć dziesięć córek, sto tysięcy, aby je przejąć temi zasadami. Ach! gdybyż to córkę bez męża mieć można! To właśnie jest wielką niedokładnością na świecie, to powinno być zmienione. Mieć dzieci co innego, mieć męża też co innego. Dzieci mieć dla rozszerzania propagandy. Ja rozumiem propagandę, rozumiem misye, wszystko rozumiem, gdy o wielki cel chodzi. Sama zostałabym misyonarzem, gdyby chodziło o uczenie ludzi no-



wych zasad, o wyrwanie z ich głowy przestarzałych teoryj jak te, że mężczyzna kobiecie potrzebny i *vice versa*. To takie nałogowe, wkorzenione głęboko przesady, które się zmienić powinny. Już czas na to.

Wszystkie te myśli tak prędko fruwały po głowie pięknej miss, że trzeba by wprawniejszego pióra, aby je skreślić z wszelkimi odzieniami, aby je umieścić w takim porządku a raczej nieładzie, w jakim rozbujane krążyły w jej główce. Mniej więcej jednak skupiały się one wkoło jednego tematu „bunt przeciw mężczyźnie“, pogarda dla niego. Ogół mężczyzn teraz koncentrował się dla niej w jednej osobie niewzruszonego Willa.

— Miss Simpson, proszę z rzeką nie flirtować — odezwał się w tej chwili obok niej głos pana Naulet.

Ohydnie mówił po angielsku, ale miss Mea Sidney jeszcze ohydniej po francusku, więc pan Naulet łamie sobie język w komiczny sposób. Pannę Meę bawi to niepomiernie i każdy wyraz młodego Francuza wywołuje wesoły uśmiech na jej cudną twarzyczkę.

W tej chwili spogląda na swego interlokutora z pod oka, t. j. z ukosa. Spojrzenie takie zostało nawet specjalnie ochrzczone i ma

prawo obywatelstwa w świecie pod nazwą „amerykańskiego oka“.

Kto tego nie widział na gruncie, niech żałuje. Kto nie widział miss Mei, uprawiającej ten sport ojczysty, niech żałuje. To, co u nas praktykują w tym zakresie, jest słabem naśladownictwem, połączonem albo z affektacją, albo z efronterią, albo z zyzem; a prawdziwie amerykańskie oko miss Mei śladu w sobie nie miało żadnego z tych trzech dodatków.

Ale jaka też z niej artystka! Ba, moje piękne panie, jedźcie do Montreal, albo do Washingtonu. Tam wam się uczyć.

Wracając jednak do naszej miss, spojrzała ona tym swoim klasycznym wzrokiem zukosa na Francuza, on zaś choć Francuz, a więc bynajmniej nie skłonny do dziewiczych rumieńców, jednak mu się i uszy i czoło i białka nawet zaczerwieniły, takie to piorunujące wrażenie wywołuje „amerykańskie oko“.

Prędko, niby błyskawica, prędzej nawet, źrenice miss ku rzece znowu się skierowały. W niej ujrzały obok siebie, czarny wąsik francuski junacko w górę zakręcony i oczy w nią wlepione z takim wyrazem, że się aż stary św. Wawrzyniec rozgrzał od ich wymowy. Mea

się nie rozgrzała, bo jej serce zimniejsze od wód rzeki nawet kiedy się w lód zamienia, ale ją przyjemnie usposobił niemy hołd cudzoziemca, więc mu odpowiedziała z minką dziwnie rozkoszną:

— Wolę z rzeką flirtować niż z ludźmi, bo mnie za słowa nie łapie i wolno mi się cofnąć gdy mi się podoba.

— A czyż ludzie swobodę pani ograniczają?

— Mało powiedzieć ograniczają. Gdyby mogli, okuliby i ręce i nogi i język i oczy w kajdany!

— Żartuje pani, to być nie może, paniby na to nie pozwoliła.

— Ja też nie pozwalam, ale mnie gniewa, że próbują.

— Masz pani słusność, nie trzeba nawet na próby zezwalać. To do niczego nie prowadzi.

Tu przypomniała sobie Mea okropne postępowanie swego narzeczonego, żywo jej stanął w pamięci jego stoicyzm nieledwie barbarzyński, gdy się winien był ukorzyć — i znowu w oczach jej foforyczny blask zajaśniał. Odwróciła się nagle od balustrady, prosto w oczy panu Naulet spoglądając, tupnęła nóżką o po-

most. zacisnęła pięści maleńkie ale groźne i wyraźnie syknęła przez zęby:

— Ja go nie cierpię!

Aż się pan Naulet przestraszył i cofnął o krok jeden.

Miss Mea jednak nie zwracała uwagi na jego nieco skonfundowaną minę i powtórzyła, silniejszy nacisk kładąc na wyrazie „Nie cierpię.“

Sekunda wystarczyła panu Naulet, aby się zorientować o co chodzi. Zrozumiał, że piękna miss nie cierpi narzeczonego, co mu się nawet dość naturalnem wydało w tej chwili. William Simpson nie zrobił na nim wrażenia bohatera zdolnego obudzić serce tak pięknej osoby.

Miss Mea stała z opuszczonemi rączkami i głową zwieszoną nieco, jak gdyby pogrążona w zadumie.

Pan Naulet schwycił jedną rączkę i rozpoczął badanie.

— Coś przykrego zająć musiało. Niech mi pani powie dear miss Sidney. Taka pani zdeenerwowana... To niegodziwie kobietę do takiej irytacyi doprowadzać. Co się stało? Czy on pani uchybił? Słowo jedno a zdepczę go jak, jak...

I począł się troszeczkę jąkać, bo po an-

gielsku unieść się gniewem przyzwoicie i patetycznie, dość jest trudno, a miss Mea czekała co z tego będzie i zamiast litościwie podsunąć porównanie panu Naulet, rozśmiała się głośno, srebrzystym śmiechem niepohamowanym.

Ktoby temu uwierzył? Tylko co zaciskała pięści, a teraz się śmieje. I radź tu sobie z kobietami, zanim zdążysz śmiechem im zawtórwać, one już łzy ronią. I śmiech twój jest nie w porę i łzy twoje nie w porę; — wszystko źle!

Pan Naulet o ile był skonfundowany owem „Ja go nie cierpię“, o tyle do reszty stracił przytomność umysłu, na ten wybuch śmiechu. Mocno zdziwiony zapytał:

— Z czego się pani śmieje?

— Bo to byłby ciekawy widok patrzeć na pana gniotącego Willa jak... jak... — I znowu śmiać się zaczęła naśladując owo jąkanie Francuza w wielce komiczny sposób.— Will jest dwa razy wyższy i cięższy od pana; takby to wyglądało owo gniecenie, jak gdyby komar jastrzębia chciał zadusić.

Mister William Sidney był niezmiernego wzrostu, dość otyły i zdawał się wiele siły fizycznej posiadać; gdy tymczasem pan Naulet wyglądał przy nim jak brelok od jego zegarka,

maleńki, drobny, szczupły; to mu urody nie ujmowało, bardzo był zwinny, proporcjonalny i zupełnie z siebie zadowolony.

Nie podobała mu się uwaga pięknej Miss, byłby miał wielką ochotę okazać jej to jakoś godnie, poważnie i skarcić ją za niestosowność takich porównań, ale instynktem wiedziony czuł, że jedynym wyjściem z tej nieco fałszywej sytuacji jest śmiać się razem z nią — a choć śmiech jego brzmiał trochę fałszywie, ale pokrył chwilowe zaambarasowanie.

— Więc nie chce pani, abym go zgniótł, starł na proch?

— Nie, nie chcę, ale, ale to co panu mówiłam to prawda, że go nienawidzę; — i znów złowrogiego wyrazu źrenice miss nabrały.

— Czy wolno wiedzieć zaco?

— Może pan myślisz, że nie zasłużył? Co? Niech pan powie szczerze, proszę, proszę się nie krępować!

— Ależ przeciwnie, pewien jestem, że zasłużył, tylko myślałem, że pani zechce mi wszystko opowiedzieć, że pani lżej trochę będzie na sercu po takiej spowiedzi.

— Nic nie mam do wyznania. Powiedziałam panu, że William jest nieznośny, słoń cię-

żki, do niczego, że go niecierpię, nienawidzę, to wszystko... ale myślę, że to dosyć.

— Naturalnie, że dosyć. Ale czyż pani myślisz wychodzić za niego w tych warunkach?

— Ani mi w głowie. Zerwałam z nim na wieki, nazawsze. Niech mi się na oczy nie pokazuje.

Ale właśnie w tej chwili, jakby zpod ziemi, zpod mostu wychyliła się głowa pana Williama. Spojrzał obojętnie na parę stojącą przy balustradzie, rozłożył się na długim krześle, nogi w „plaid“ zawinał, zapalił cygaro, ziewnął głośno i począł dumać, czy drzemać, niewiadomo.

W miss Mei krew zawrzała; ale nie dała tego poznać po sobie. Wsunęła rączkę pod rękę pana Naulet, cudownie główkę na bok przechyliła i poczęła Francuzowi to jakieś arcykomiczne rzeczy opowiadać, bo się śmieli oboje coraz częściej i coraz głośniej, to znowu w oczy mu spoglądała z taką filuterną minką, że biedny pan Naulet topniał niby wosk na ogniu.

Zwykł był tryumfy odnosić nad uczuciami niewiast. W zaufaniu komuś opowiadał, że gdyby miał nizać na sznurek serca kobiece, to miałby już czem bramę tryumfalną przybrać,

niby wieńcami. Wszystko to prawda, jednak tak bajecznego tryumfu na tak szybkie tempo, nie odniósł dotąd w życiu.

Miss Mea zaproponowała przechadzkę wzdłuż i wszerz pokładu; pod rękę tedy defilowali tam i napowrót. Czasem wiatr poruszył fałdami fularowej sukni miss i fałdy te potraçały o „plaid“ Willa. On wtedy oczy zwolna podnosił ku swej niewiernej bogdance, ale tak jakoś spokojnie, bez cienia goryczy, lub wyrzutu, że miss Mea złapawszy jedno z tych spojrzeń, z najwyższą pogardą rzekła do swego towarzysza:

— Will obiad trawi, to bardzo ważna chwila w dniu dla niego.

Spacer tam i napowrót trwał dość długo, nareszcie pan Naulet zauważył, że się zimno robić zaczyna, wtedy to miss Mea prosiła go, aby na nią poczekał i znikła mu z oczu. Po chwili wróciła z dwoma szkockiem i szalami; wyciągnęła dwa wykładane krzesła, panu Naulet poleciała usiąść na jednym i „plaid“ mu podała, nakazując starannie nim się okryć, sama zaś na drugim, nóżki wyciągnęła, tak samo plaidem się otulając. Wszystko to o kilka kroków od posterunku Williama, ale na niego najzupełniej w tej chwili nie zwracała uwagi —



nie więcej dla niej znaczył co dym komina wznoszący się ciemną smugą znad parowca, ku sklepieniu niebios.

Zaczęła znowu rozmowę z cudzoziemcem:

— Cudowny wieczór; szkoda, że niema tu niebotycznych gór i ruin starych zamków. Kanada to taki prozaiczny kraj.

— Obmawia pani swoją ojczyznę. Ja zachwycony jestem wybrzeżami św. Wawrzyńca.

— To świadczy o złym guście pana. Ja nie cierpię Kanady i-gdy tylko zdarzy mi się sposobność, wyjadę ztąd natychmiast.

— Czy do Anglii?

— O! co to, to nie! Byłoby to z deszczu pod rynnę. Niema brzydszego kraju, jak angielski, antypatyczniejszego ludu, jak Anglicy; wołałabym mieszkać w Laponii, jak na tej idiotycznej wyspie.

Biedny Will! czemuż się uragan nie zerwie, któryby zagłuszył słowa okrutnej miss, które mu cisza wieczorna tak wiernie do uszu zanosi.

Pan Naulet spojrział nieznacznie na Anglika, ale uspokoił się jego zachowaniem całkiem biernym, bo odparł:

— Francyi pani nie zna?

— Nie, to kraj moich marzeń! Nie umrę spokojnie, aż go ujrzę.

— To jednak łatwe.

— Nie tak łatwe, jak się panu zdaje.

— *Vouloir c'est pouvoir*, a gdy się w dodatku jest wolnem dziecięciem wolnej Ameryki.

— To humbug, ta cała wolność. Po kraju pozwalają mi rodzice samej podróżować, ale gdybym się do Europy sama puściła, to tak jak między ludożerców; myśleliby, że mnie tam połkną.

— Dlaczego miałaby pani sama jechać? Towarzysz znajdzie się na skinienie palca.

— Panby ze mną pojechał?

Zanadto szczęśliwy był ten wieczór dla pana Naulet, tylko zbyt obfitujący w emocye. Ostatnie zapytanie pięknej miss, tchu go pozbawiło. Z największą nieśmiałością, nawet nieco trwożliwie spojrział znowu w stronę Williama, ale ten albo nie uważał, albo nie słyszał, drzemał może, bo ani się poruszył, ani popatrzył — nic! Jak mumia zawinięty w plaid, leżał nieruchomy.

To dodało otuchy panu Naulet, a z drugiej strony niezmiernej otuchy dodawała mu pewność, że miss Mea jest jedynaczką milionowego kupca. Spojrzął więc na nią w tej chwili tak wymownie, tak płomiennie, ale ona nie widziała ani jego pierwszego spojrzenia, skierowanego w stronę Williama, ani drugiego, którem

ją obdarzył; patrzyła w dal, czekając na odpowiedź. Teraz powtórzyła raz jeszcze jakby w półsenna, w zamysleniu:

— Panby ze mną pojechał?

— Do antypodów pani, i do biegunów i poza bieguny, na księżyc, w głąb morza, gdzie pani rozkaże!

Chwilowa cisza nastąpiła, nie słychać nie było, tylko rytmiczne uderzanie pletw okrętowych o fale ciemne, tylko posuwanie się kół rącznych po gładkiej wód przestrzeni. Mea wsłuchiwała się może w cichy plusk fali, albo w szept tajemniczy wiatru z nad wybrzeża, który purpurowe liście klonów dotykał zlekka, obrywając delikatnie zwarzone fiolety i topazy z drzew prastarych.

Pan Naulet czekał, aż się Mea odezwie. Ciekawy był wrażenia, jakie wywarły energiczne słowa jego.

Czekał niedługo, Mea zawsze tym samym, w półsennym, rozmarzonym głosem, jakby sama sobie odpowiadała, rzekła:

— Dobrze, to pojedziemy, ale dopiero jak się pan po angielsku lepiej mówić nauczy.

To znowu zbiło z tropu upojonego powodzeniem tryumfatora. Głos pięknej miss tak poetyczny, a słowa takie jakies niewyraźne, niby

żart, niby szyderstwo, a niby zachęta; co to znaczy?...

— Czy znajomość gruntowniejsza języka angielskiego jest konieczną? — zapytał nieco urażonym głosem.

Mea zdawała się powracać z dalekiej krainy, bo w tej chwili dopiero uważnie spojrzała na pana Naulet.

Rozśmiała się znowu z jego widocznego zakłopotania, ale rozśmiała się bez życia i werwy, rączką nawet przytłumiła ziewnięcie, mówiąc:

— Przepraszam pana, ale spać mi się chce okropnie. Co to ja powiedziałam? bo już nie pamiętam....

Francuz nie wiedział, czy kłać, czy się rozplęwać w zachwycie. Mea nawet śpiąca i ziewająca mogła oczarować każdego przeciętnego śmiertelnika.

— Mówiła pani, że aby jej towarzyszyć, muszę biegle po angielsku mówić

— A tak, prawda — rzekła, podnosząc się zwolna z krzesła — prawda.... musi pan....

— Czy wolno wiedzieć dlaczego? bo przecież we Francyi na mój akcent angielski nie będą zwracać uwagi....

— Ale ja będę zwracać; gdyby mi pan powiedział, że mnie kocha i „circonflexe“ posta-

wił za *I love you*, to wszystkoby przepadło; z drogi bym się wróciła i nigdy bym Francji nie ujrzała. Bo widzi pan, w mężu śmieszności bym nie zniosła.

Tu, pan Naulet, dość domyślny człowiek, szepnął sobie w duchu: „Aha, to ma znaczyć przetłómaczone na francuski język, że teraz jestem śmiesznym; no winszuję.“

Głośno jednak z najwyższą uległością odparł:

— Ma pani zupełną słuszność, nauczę się po angielsku. W tej chwili miss znowu się wsparła o balustradę, zawieszając na niej plaid swój, ale niebacznie posunęła łokciem fałdy jego i zanim zdołała go zatrzymać, już się dostał w ciche fale rzeki.

Mea aż ręce załamała.

— Plaid mój, mój piękny plaid z wielbłądziej szerści.

Pan Naulet zakłopotany, wychylał się poza balustradę, ale wychylenie to mogło być tylko pożegnalnym ukłonem dla szala, bo uratować go nie było w stanie.

Równocześnie plusk dał się słyszeć w sąsiedztwie plaيدا; jakaś ciemna masa wpadła do wody ciężarem swoim kroplisty deszcz tworząc w powietrzu.

Po chwili głowa Willa z fal się wynurzyła a ręce obejmowały ulubiony szal pięknej panny.

Ruch się zrobił na pomoście; niewiele już osób było, bo noc dość zimna do salonów zwabiała podróżnych, jednak tu i owdzie zaczęły się wydobywać zapyłone, zasinolone głowy maszynistów i marynarzy.

Will krzyknął zpośród fal, o linę się upominając.

Podano mu ją w mgnieniu oka i w kilka sekund z najspokojniejszą miną w świecie znalazł się na pokładzie, plaid składając na krzesło, mokry, ale w całości.

Na Meę nie spojrział, na zapytania rozliczne odpowiedział zwięźle, że próbował czy potrafi na balustradzie równowagę utrzymać i wpadł w wodę. Dodał, że przebrać się musi i zamieniwszy *shake-hands* z dwoma osmolonemi indywidualami, którzy mu linę ratunkową spuścili, uklonił się i zniknął.

Powoli wszyscy pasażerowie rozeszli się na nocleg.

Księżyc wypłynął niby olbrzymia krwawa tarcza zpoza wzgórków klonowych, oświecając blaskiem swym tylko Meę i Francuza.

Pan Naulet milczenia nie śmiał przerwać. Pierwszy raz w życiu zdało mu się, że istotnie

jest bardzo małym, zanadto małym, a olbrzymi Anglik w oczach mu stał jeszcze, gdy z zimną krwią z wody plaid wynosił.

Mea blada była i usta miała zacięte. Tylko oczy świeciły więcej niż srebrna łuska rzeki, głaskana promieniem księżyca.

Nieruchoma spoglądała na swój plaid uratowany. Raptem pochwyciła go w obie ręce i zanim się pan Naulet spostrzegł, rzuciła go na powrót w nurty rzeki; popłynął.

— Co pani robi miss Sidney *for goodness sake?*

— Nie cierpię go! — odparła piękna miss, głowę do góry podnosząc. Chrapki rozdęte, ząbki migające w napół rozwartych ustach, czyniły ją podobną w tej chwili do mitologicznej Medei, ale piękna była, niebezpiecznie piękna.

Francuzowi nie ukłoniła się nawet na dobranoc i znikła w progu do swej kajuty.

O szóstej rano, nazajutrz, ruch na całym statku zwiastował zbliżanie się do kresu podróży.

Mea świeża, wypoczęta, zdaje się swobodna i rozkosznie usposobiona, spoglądała z zachwytem na widniejące zdala mury forteczne, które na obronniejszym murze skalistym, przez naturę

postawionym, półkołem, z jednego boku Quebec otaczają.

Całe miasto na pagórkach rozsiane tu kopułami licznych kościołów, tam świecącemi dachami will i pałacyków zpoza mgły porannej się wychylało.

Rzeka coraz szersza, coraz majestatyczniej ziemię z posad wypierała, aby się prędzej i łatwiej dostać do morza, toż tak daleką podróż odbyć musi zanim wody swe jako wierna holdownicza królowi Atlantykowski zaniesie.

Tuż za miastem olbrzymia płaszczyna nurtów srebrzystych, przecudne tło stanowi dla tego gniazda, które zdala groźnem i nieprzystępnem się wydaje. Tak forteca, jak poszarpane skały, jak pagórki kopułami ukoronowane, nadają mu minę hardego rycerza, który dumnie głowę nosi wobec świata.

To tylko pozory; rycerz ten futrami i drzewem handluje spokojnie, przylbicy dawno się pozbył; tarczą nie myśli się osłaniać, obu rąk potrzebuje, aby światu ciepło sprzedawać, bobry i klony ładując na barki św. Wawrzyńca.

Przybito do portu. „Montreal“ stęknął, chrapnął, odsapnął, po tak przyzwoicie odbytej służbie ósmnastogodzinnej jazdy; zachwiał się kilka razy z boku na bok i przystanął, a z jego wnę-



trzuności poczęły się wydobywać figury przeróżne. Yankesi w żółtych kraciastych „inexprimablach“ z ponsowymi krawatami, w cylindrach; Niemcy flegmatyczni, opaśli; Anglicy w mniejszych niż yankesowe kratkach z niebieskim fularem na szyi i Murzyni i Żydzi i Włoch i nasz znajomy Francuz, pan Naulet, prowadzący pod rękę piękną miss Sidney. Wszystko tłoczyło się ze statku na wybrzeże, brudne, zdobne skórkami pomarańcz, zepsutemi jabłkami i odpadkami ryb.

— Gdzie się udajemy? — pytał pan Naulet towarzyszki.

— Do hotelu „du Nord“.

— Pani głodna być musi?

— Byłabym w stanie połknąć całego kajmana.

— Czy weźmiemy dorożkę?

— Nie warto, to blisko.

Więc szli krętami, wąskimi uliczkami, i po schodach i ze schodów drewnianych, czasem przez ząb czasu nadgryzionych, po trotoarach z desek. Pięli się z górki na górkę, spuszczaali, wdrapywali, ale choć pan Naulet dobrze się zasapał, nie śmiał się odzywać, bo miss Mea zawyrokowała, że to blisko.

O kilka kroków za nimi dążył elastycznym

krokiem wielkolud, znajomy nasz także mister William Simpson, ale oni go albo nie widzieli, albo nie chcieli widzieć.

Bagażę zostały na statku, bo tam się na noc towarzystwo wybierało, a tylko worek podróżny miss Mei biedny pan Naulet dźwigał w prawicy, co mu nie ułatwiało marszu pod górę.

Nareszcie otwały się przed nimi gościnne podwoje hotelu du Nord, Murzyn odźwierny, zęby białe pokazał gościom na wstępie, serdecznie się do nich uśmiechając.

Po pół godzinie miss Mea siedziała naprzeciw pana Naulet, elegancka, świeża, jak z igły zdjęta. Między nimi piętrzył się stos ostryg baltimorskich, delikatnych, maleńkich, najbliższych sąsiadek Kanady.

To też ostrygi grały ważną rolę i jako marynowane i w zupie i w potrawce i w naleśnikach i *au naturel* przedewszystkiem. Obok stolika młodej pary stał drugi stolik, a przy nim mister Simpson, także nad stosem ostryg, a panna Mea skorzystała z tej okazji, aby zwrócić głośno uwagę pana Naulet na niestosowność wzajemnego tępienia się w tem samym pleminiu.

— Nie rozumiem — odparł niedomyślny Francuz.

— Nie pojmuję, jak ostryga może pochłaniać ostrygę.

— Nie wiedziałem o tem. Czy tak jest w istocie? — zapytał — bo Francuzi nie są biegli w zoologii.

— Niech pan patrzy na prawo, to pan zrozumie.

Na prawo siedział nieszczęsny Will, teraz pan Naulet zrozumiał, że on to jest ostryga wedle miss Sidney; Wiliam jednak mimo tej dosłyszanej uwagi z rozmysłem sybaryty tępił w dalszym ciągu owe mięczaki, do których plemienia należał.

— Jakie wino pani pić będzie? — pytał pan Naulet.

— Ja tylko szampana piję.

— *Perle d'or!* — zakomenderował Francuz, i wnet z hukiem korek wyskoczył.

Miss Mea widocznie szampan uważała za płyn najniewinniejszy, szklanki wychylała swobodnie i naturalnie. Pan Naulet z boku spoglądał, jak ona manewruje zręcznie i wdzięcznie szklanką nektaru i podziwiał, chcąc jej sprostać, ale o ile na twarzy miss nawet rumieniec się nie powiększył, o tyle oczy Francuza coraz mglistsze i więcej rozmarzone się robiły.

Za to Will całą karafkę *claretu* wypróżnił i swobodnie spoglądał dokoła, od czasu do czasu wzrok zatrzymując na Francuzie. Słusznie Mea twierdziła, że w jego wzroku nie nigdy wyczytać nie było można.

— Co pani ma zamiar robić po śniadaniu?

— Przeprowadzić się na drugą stronę rzeki i w starym Quebecu szukać przygód po skałach i jarach; tylko poto tu przyjechałam.

— Czy pani pozwoli sobie towarzyszyć?

— Naturalnie, jeżeli pan niema nic lepszego do roboty.

— Czy to tylko bezpiecznie tak się puszczając samopas w nieznaną okolicę?

— Jeżeli się pan boi?...

— Ale gdzież znowu?

— Bo uprzedzam pana z góry, że czerwonoskórzy i węże i niedźwiedzie zejść nam mogą drogę.

— Tylko o panią chodzi, co do mnie chętniebym się z czerwonoskórym spotkał.

— Więc w drogę!

— W drogę.

Wkrótce znaleźli się na drugiej stronie rzeki dzikiej i górzystej, między jarami i skałami, do których to miss Mea taki miała pociąg.

Strome wzgórze okryte jodłami, piętrzyło

się z widocznym zamiarem królowania okolicy. Jodły spoglądały ztamtąd w dalekie strony, a pierwsze szunem swoim zwiastowały Quebekowi zbliżanie się olbrzymich żaglowców i parowców, bo wierzchołkiem całą zatokę z tej wyżyny objąć mogły. Mea postanowiła dostać się na sam szczyt, a Naulet pomyślał sobie: Ciężka służba czeka mnie u mojej Amerykanki, ale że miliony coś warte, a także i oczy Mei, więc Francuz postanowił nieść krzyż swój w milczeniu, z jasną twarzą.

Pięli się tedy nad brzegiem strumienia, który w gwałtownych podskokach zrywał się czasem i wodospadem po kamieniach się toczył, póki mu przeszkody z drogi nie ustąpiły i nie dozwoliły cicho ku dołowi się spuszczać.

Francuz myślał wtedy, że natura pięknej miss dziwne z tym strumykiem ma podobieństwo. Niby to słodka, cicha, uśmiechnięta czasami, ale niechno się ktoś nawinie nie w porę, to taki szum, taki łoskot, taka zawierucha się zerwie, że najbezpieczniej jeszcze usunąć się i zdała tym dziwom przyglądać, tak jak się usuwał, gdy strumień po nad sterczącymi głazami się rozbryzgiwał z hukiem dokoła.

Myślał także, że mister Simpson, narzeczony pięknej miss, to niby ów głaz, który strumie-

niowi niepotrzebnie w drogę wchodzi, ale też jak głąz obojętnie łoskot znosi, nie lękając się tych szalonych wybryków humoru.

Ale jak to on na tem wyjdzie, on, zwykły śmiertelnik a nie głąz żaden? Sam nie wiedział, co o tem myśleć.... Jadąc do Ameryki, przygotowany był na różne oryginalności, których w kraju nie napotykał. Jednak najbardziej rozgalopowana fantazya nie nasuwała mu równie dziwacznej sytuacji. Oświadczyła mu się milionerka, najwyraźniej w świecie, taka piękna panna w dodatku.

A oświadczyła się dla dobrej sprawy, o tem nie wątpił. Tę Kanadyjkę tylko o poważne zamiary na przyszłość mógł posądzać, dziś ręki jej dotknąć nie śmiał.

Co gorzej, nie wiedział, jak się względem niej zachować, czy on rzeczywiście objął urząd narzeczonego po zdymisjonowanym Willu? Z jej słów możnaby to wnosić, ale z jej sposobu bycia.... doprawdy niewiadomo....

Tak się z nim obchodziła, jak ze swoją parasolką na laskę w tej chwili zamienioną. Jeszcze póki tamten, ex-narzeczoney, patrzył na nich, to się do niego uśmiechnęła czasem, słodko spojrziała i z ukosa, ach! tak po amerykańsku, że aż się serce do niej rwało. Odkąd zostali

sami, ani na niego uwagi nie zwraca, rozgląda się dokoła, czasem mu coś pokaże ciekawszego na co spojrzeć warto, ale on czuł dobrze, że gdyby miała pieska z sobą, to w ten sam sposób robiłaby mu swoje uwagi.

To się panu Naulet nie podobało i nic dziwnego. Każdy ma swoją ambicyą, mianowicie w takich razach, gdy będąc samnasam z uroczą miss na stropach gór, gra się rolę bierną kija do podpory, w razie potrzeby. Toż i jodeł wstyd nawet....

Raptem Mea się zatrzymała. Odwróciła się spieszenie i pochyliła ku dołowi, jak gdyby coś bardzo ciekawego spostrzegła, zdziwienie, a powoli i irytacja pojawiła się na jej twarzy.

— *I say* — zaczęła niedowierzającym głosem, jakby do siebie samej — albo mnie oczy mylą, albo to ten niedźwiedź pnie się tu za nami.

Pan Naulet pochylił się również w tę samą stronę spoglądając, nareszcie i on dojrzał coś, co go zadziwiło, bo rzekł:

— A tak, rzeczywiście....

— Co rzeczywiście? — zapytała miss zimno i zgóry na Francuza spoglądając.

— Rzeczywiście.... to on — trwoźliwie powtórzył pan Naulet, bo czuł, że boginią miał

nieszczęście czemś podrażnić, ale nie wiedział czem.

— Kto, on?

— Mister William Simpson.

— A, to co innego, bo ja mówiłam „nie-dźwiedź“, ale pan nie miałbyś żadnego prawa tak samo odzywać się o człowieku, który.... — tu się miss zatrzymała, a głos jej nieco ostry złagodniał i nawet dziwnie prędko po tem surowem *avis au lecteur* uśmiech wesoły na ustach jej się pojawił. Właśnie w tej chwili mister William Simpson głowę podnosząc do góry, obserwował młodą parę.

Zbliżali się do punktu, z którego najrozleglejszy widok się roztacza; ale punkt ten ciasny, na małym *rond point* się ograniczał. Miss Mea wydobyla lornetkę z pasków i z zachwytem gdzieś w dali okiem tonała.

Pan Naulet lornety nie miał z sobą, dlatego czuł się nieco skrępowanym, gdy po kilku minutach, olbrzymia postać Williama wychyliła się zpoza jodły i gdy Anglik poważnie wydobyl także lornetkę z etui, a plecami zwrócony do miss Mei, obserwował przeciwny biegun. Francuz stał między nimi nie wiedząc co począć ze swoją figurą. Nogi mu radziły zwinąć się po turecku i dać sobie należyty spoczynek. Ale,



miss Mea szyderczo spojrzy na niego i powie:  
„Pan jest zmęczony?”

Oczy wypadło wlepić w ten sam punkt, w który Mea tak uporczywie spoglądała. Ale ona tam widziała parowiec z wielkim pośpiechem prujący bałwany zatoki, widziała olbrzymią wstęgę dymu i żagle rozpostarte i postanowiła tak patrzeć, póki liter nie dostrzeże i nie wyczyta nazwiska statku, bo to bardzo ciekawe, — ciekawsze niż dowiedzieć się imienia pięknej kobiety. Ale pan Naulet nic nie widział — tylko obszar wody zlewający się z firmamentem, co dla myśliciela mogłoby przedstawić jakiś interes, ale dla Francuza — to nieco monotony widok. Zresztą czuć poza swemi plecami plecy nieprzyjaciela...

Dla pana Naulet, William o tyle tylko był nieprzyjacielem, że go za takiego miss Mea poczytywała — a on jej uczuciami starał się teraz przejmować. Potem mógł mieć i osobiste powody nienoszenia w sercu mistra Williama, bo w sercu małych ludzi, wiecey się nie mieszczą.

Mea wyrwała go z dość przykrej zadumy, w czasie której jedną nogą w grunt się zapierał, aby drugiej tymczasem dać wytchnąć i tak naprzemiany.

— Widzę angielską flagę na tym statku — już nie jestem ciekawa końca. Gdzie się obrócić w tym nieszczęsnym kraju, tylko angielskich intruzów się spotyka.

Pan Naulet uważał za stosowne milczeć. Nie miał zamiaru inaczej jak platonicznie nieprzyjaciela nienawidzić. Nużby przyszło do boksów — a pan Naulet podzielał filozoficzne teorye tak pięknie streszczone w polskim wierszu:

Tańcowały dwa Michały  
Jeden duży, drugi mały;  
Gdy ten duży zaczął krążyć,  
To ten mały nie mógł zdążyć.

Coprawda polska poezya o tańcu mówi, ale boksując się także krążyć trzeba. Ztąd sens wynika — że miss Mea została bez odpowiedzi.

Ta abstynencya w słowach bardzo rozsądna zresztą, nie powiodła się biednemu panu Naulet, bo miss spojrzała na niego znowu z ukosa ale już nie „amerykańskim okiem“ tylko takim kanciastem, ostrem, które nie lechce po sercu i zapytała:

— Czy pan zasnął może ze zmęczenia, że pan tak milczy jak wieloryb?

Ot — jest i zmęczenie, — a tego pan Naulet najbardziej się obawiał — dla tej prostej przyczyny, że ten to właśnie grzech zmęczenia najwięcej miał na sumieniu — a czuł że grzech taki jest śmiertelnym w oczach miss.

— Ale gdzie tam... któżby mógł być zmęczonym po tak krótkim spacerze — odrzekł z zimną krwią.

W tej chwili mister William chrząknął znacząco — i rozkładając nieodstępny plaid na ziemi, wyciągnął się na nim wygodnie, w inną stronę lornetkę kierując.

W piersiach pana Naulet zakipiła zawiść i wiele innych brzydkich uczuć, ale o tem tylko szatan i on wiedzieć mieli, bo twarz jego w archanielski wyraz była przybrana.

Miss Mea też nieco ironicznie zapytała:

— Pan to krótkim spacerem nazywasz?

— No — tak do pewnego stopnia — tj. nie tyle krótki ile — *pour ainsi dire* — trudny.

— Jakto trudny?

— To jest widzi pani trudny, o tyle, o ile — skały — pnie drzew starych.

— Kamienie — żwir i mech — no, tak — o straszne przeszkody, rzeczywiście. Niechże pan usiądzie. Proszę plaid rozwinać, — niech się pan nie krępuje...

Było to takim głosem wypowiedziane, że pan Naulet wolałby całe życie krzesła, ani łóżka nie widzieć, niż owę zachętę do wypoczynku usłyszeć, ale nogi inaczej zawyrokowały i skruszyły się zanim on zdążył ruch ten im wyperswadować.

Notabene miss Mea natychmiast siadła obok Francuza; — bo idąc drogą prawdy, przyznać trzeba, że i ona czekała rychłoli nadarzy się sposobność dogodzenia utrudzonym członkom, bez narażenia swej reputacyi „niestrudzonej turystki“.

Oryginalnie wyglądał w tej chwili szczyt góry; — trzy jodły na nim i troje ludzi. Niele dwie całe wierzchołek plaidami pokryty, a plecy Willa o kilka łokci tylko od pleców miss Mey, — patrzeć na siebie nie mogli, ale też widocznie nie życzyli sobie tego; słyszeć jednak głos swój musieli, z czego nie omieszkała skorzystać mściwa miss.

— Patrz pan, panie Naulet, już to monstrum jest tuż, tuż blisko, — już imię wyczytać można, — widzi pan?

„Monstrum“ odnosiło się do ogromnego parowca, który majestatycznie posuwał się w głąb rzeki, a wystrzały armatnie oznajmiały portowi jego przybycie.

— Nie rozumiem tylko, — mówiła dalej Mea — dlaczego te salwy? To jest wyższa impertynencya złodziejska. Bo pomyśl pan tylko, gdyby ktoś komu ukradł konie, to starałby się cicho zachować a nie przyszłoby mu na myśl z wojskowemi fanfarami wjeżdżać na skradzionym wierzchowcu w bramy poszkodowanego. Wogóle gdy ktoś kogoś okradnie, to stara się ukryć czyn ten i choć jakieś poczucie wstydu okazuje w ten sposób — gdy tymczasem...

— Przepraszam panią, ale ja myślałem, że złodziej nietyle dla poczucia wstydu ukrywa czyn swój, ile — ile dla innych powodów...

Miss z oburzeniem spojrzała na Francuza.

— Już to pan nie możesz pochwalić się patriotyzmem. Nie masz pan nawet iskielki miłości ojczyzny. Nie byłabym śmiała posądzić pana o to.

Pan Naulet zdumiał się, oniemiał z przerażenia, osłupiał.

— Przepraszam panią, ale doprawdy nie rozumiem, nie pojmuję, co miłość ojczyzny ma wspólnego ze wstydem złodzieja?

— Dziwi mnie to bardzo. Widocznie pana mało to obchodzi, że Kanada przez Francuzów została zdobyta, kolonizowana; że do was na-

leżała i że wam przez Anglików skradzioną została haniebnie.

— A... teraz rozumiem.

— Trochę późno.

— Może mi się pani pozwoli wytłomaczyć. Przedewszystkiem chodziło o parowiec, porównała go pani do skradzionego konia; ja tego zrozumieć nie mogłem, bo parowiec ten choć do zabranego kraju wjeżdża, nie potrzebuje sam być skradzionym.

— Zaczyna pan łapać za słowa, ja więcej do ducha niż do litery wagi przywiązuję.

— To też teraz najzupełniej jesteśmy w porządku, to tylko było małe nieporozumienie. Masz pani słuszość, Anglia gra w tej sprawie rolę istnego rzezimieszka.

Pan Naulet w zapale swoim zapomniał o siedzącym poza jego plecami mister Simpsonie, ale William w tej chwili bardzo znaczącem chrząknięciem dał znać o swojej obecności. Zafrasował się Francuz, ale że miał wiele przytomności umysłu, więc dodał prędko:

— Tylko istotnie trudno jest porównać zabór kraju obcego z operacjami prostego rozbójnika. Aby ziemie zdobywać, walczyć trzeba jawnie, z orężem w ręku, przeciw nieprzyjacielu.

lowi również silnie uzbrojonemu, a zatem nastawia się pierś własną, własne życie i jest to rycerska a nie złodziejska sprawa.

Miss Mea usłyszała chrząknięcie Willa. Do rozpaczę ją doprowadziło, że pan Naulet przez nią na dozgonnego towarzysza wybrany, daje dowody tak małego ducha, iż na jedno zakrzywienie palca (*au moral*) Williama, front zmienia, poprostu tył podaje...

Wydało jej się to nikczemnością, więc postanowiła tem ostrzej nacierać na impertynenta, który ją prześladowuje swoją obecnością. Równocześnie przypomniła sobie, że aby mu najwięcej dokuczyć, musi być uprzejmą dla Francuza, dlatego pogardy swej nie okazała panu Naulet, przeciwnie nad wyraz słodką i miłą zrobiła się znowu.

— Jaki pan jesteś szlachetny — mówiła — że tak bronisz tych właśnie, którzy krajowi twemu największą krzywdę uczynili... Anglik nigdyby się nato nie zdobył... Ja ich znam, Anglików. O! doskonale... Powiadam panu, że w nich niema żadnej wyższości, ale to literalnie żadnej. Gdy się dwóch mężczyzn obrazi wzajemnie, w innym narodzie, to szpadą albo pistoletem obrazę zmywają, a Anglik? o ile możliwości uda że obrazy nie zrozumiał, niema

poczucia godności własnej... Jeżeli jednak koniecznie zrozumieć musi, to na czem się kończy? na boksach... *Shocking!* I oni się za gentlemanów mają, pięści używając jako broni, sińcami oczy sobie podbijając! Lubią walki kogutów, bo tylko na kogucią odwagę umieją się zdobyć, bo tak samo jak koguty walczą.

— Ja myślałem, że to amerykański zwyczaj boksowanie — nieśmiało przerwał jej pan Naulet.

Miss spojrzała na niego złowrogo, ale pohamowała gniew swój.

— Choćby to był i amerykański zwyczaj, to mnie mało obchodzi. Zresztą pan powinien wiedzieć, co znaczy pojedynek „amerykański“, na boksach się nie kończy, ale śmiercią rozstrzyga. Jednak dodaję, że to mnie mało obchodzi, co robią Amerykanie.

— Czyż pani nie jesteś Amerykanką?

— Nie, ja jestem Kanadyjką, to wielka różnica.

— Jakto? ani Angielką? ani Francuzką? ani Amerykanką?

— Nie i nie i nie. Kanada jest sobie Kanadą a ja w niej urodzona mam się tylko za Kanadyjkę.

— Ależ Kanada jest częścią Ameryki!



— Może i jest, ale to na karcie, a my nazywamy Amerykanami Yankesów tylko.

— To dziwne.

— Cóż pan w tem dziwnego znajduje? Nie rozumiem.

— Bo ja będąc Europejczykiem, nie przestaję być Francuzem, więc myślałem...

— Ale my tak nie myślimy, co kraj to obyczaj, nikomu zdania narzucać nie można.

— Broń Boże. Zkądże ja do tego przycho-dzę, aby zdanie pani narzucać. Ja pragnę jednego tylko, aby mnie pani swoje zdanie wie-cznie narzucała.

Miss Mea pomyślała: — Rada jestem, że Will to usłyszał, onby nigdy się nie zdobył na nic podobnego — i serdecznie spojrzała na Francuza, pytając srebrnym głosem:

— Czy doprawdy będziesz mi pan posłusznym?

— Jakże pani wątpić o tem możesz? Wolę być posłusznym pani jednej, niż rozkazywać światu całemu.

Mea myślała: — Gdyby to było dobrze po angielsku powiedziane, jakby to ładnie brzmiało. Ot, gdyby Will umiał powtórzyć te słowa; ale on tylko jeść, spać i handlować potrafi — antypatyczny.

Głośno odrzekła: — Wie pan, że ja chciałabym wypróbować posłuszeństwo pana zanim...

Pan Naulet pomyślał: — *Je crois qu'elle ne fait que cela* — ale odparł z galanterią:

— Nie jestem Herkulesem; jednak dwanaście cięższych robót niż on, wykonałbym na skinienie pani.

— A jakie to były roboty?

— Hm... już dobrze nie pamiętam. Coś mi się zdaje że dziki i lwy i jakieś potwory grają w tem rolę?

— On je pokonywał?

— Tak, coś tam takiego zaszło.

— Widzi pan, gdyby pan oswobodził Kanadę od Anglików...

Milczenie.

— Cóż? Czy to takie trudne do wykonania? Przecież Anglicy choć także potwory, ale zawsze mniej drapieżne od lwów, dzików, niedźwiedzi.

— No tak, niezawodnie.

— To byłoby bardzo ciekawe. Jabym się temu przyglądała z tego punktu właśnie.

— A, byłoby ciekawe, niezawodnie.

William chrząknął, Meę to nowe chrząknięcie do ostatecznej niecierpliwości doprowadziło, więc wstała z miejsca i zawyrokowała:

— Chodź pan! już mam dosyć tego widoku. Napatrzyłam się na angielski statek niezgrabny, ciężki, szkaradny, może nam się dalej coś sympatyczniejszego trafi. Póty się irytować będę na każdym kroku, póki pan z Kanady Anglików nie wypędzisz, co do ostatniego, bez litości, bez wyjątku!

To ostatnie dla Willa było bardzo znaczące, ale on się w głaz zamienił, nie drgnął, wpatrzony w jakiś daleki punkt. Oni poszli, on został na miejscu.

Wkrótce miss Mea ze swoim towarzyszem znalazła się u bramy otwartej — a raczej brama wyłamana być musiała dość dawno temu, bo tylko ślady po niej zostały i ogrodzenie. Młoda para zatrzymała się u wejścia a byli znowu na jakie kilkadziesiąt stopni nad poziom.

— Patrz pan, jakie cudowne jabłka na tych drzewach. To pewnie *les fameuses*, ja je tak lubię. Pan nie wiesz, jaki to wyborny owoc. One słyną w świecie całym, — kruche, delikatne, soczyste, — dwadzieścia jeść można odrazu. Chodź pan, spróbujemy.

— Ależ pani, to pewnie prywatne — czy to tak wolno?

— Jeżeli się pan boisz, to ja sama pójdę.

Prywatne? ... pewnie że prywatne było to kiedyś, bo „fameuzy“ same się nie sieją, — ale teraz widocznie opuszczone. Domek stoi tam między drzewami — ale pusty, — okiennice zamknięte — żywej duszy nigdzie nie widać. Gdy się kto pokaże, to powiem że chcę kupić — przecież zapłacić możemy. Ja jestem pewna, że to opuszczony grunt — wystawiony na sprzedaż, ale go nikt nie pilnuje. To się zdarza.

Pan Naulet zachęcony słowami miss, podążył za nią. Rzeczywiście ani człowiek, ani pies, nie zaszedł im drogi, nawet ptaka nie spłoszyli, ale też ptaków niewiele w Kanadzie.

Miss Mea poczęła gospodarować między jabłkami, a było w czem wybierać. Chciała dowieść panu Naulet, że dwadzieścia zjeść można. On nie próbował w obawie, że francuskie żołądki mogą być mniej wytrwale zbudowane, niż kanadyjskie.

— Doskonałe, wyborne, — mówiła z zachwytem Mea. — Wie pan, że mi się ten sad bardzo podoba; może go papa zechce kupić, muszę papy poprosić. Moglibyśmy tu sobie willę wybudować, nawet ślicznieby to można urządzić; dołączylibyśmy do tego pagórka tamten, stromy, z wodospadem. Park założylibyśmy wspaniały, otoczylibyśmy wszy-

stko obronnym murem, tak, aby się mister William nigdzie dostać nie mógł. Chociaż on ma bardzo długie nogi, ale możeby się nie kompromitował aż do eskaladowania cudzych murów. Doprawdy panie Naulet, trzeba to będzie zrobić, papa pozwoli, papa ma bardzo dużo pieniędzy, masę... A pan? Czy pan co ma? Bo widzi pan, papie obojętne, za kogo ja pójdę... co go to może obchodzić, przecież on nie będzie znosić kaprysów mego męża, tylko ja. Chociaż ja też nie myślę, niech pan pamięta, że ja też nie myślę.

— O, ja wiem o tem — pomyślał pan Naulet, ale z losem go pogodziło owo „*plenty of money*“ czyli „dużo pieniędzy papy“. To go pogodziło z losem i oczy miss; tylko mu się nie podobało owo zapytanie: „Czy pan co ma?“ To jakoś dziwnie brzmiało w tak pięknych ustach, a potem co tu odpowiedzieć? Ale może miss zapomni.

Miss nie zapomniała, bo między jednym jabłkiem a drugim, wracając do budowania willi, mówiła dalej:

— Milion możemy na to poświęcić, pan pół miliona i ja pół miliona, to coś się zrobić powinno. Milion to przecież jest pieniądz, nieprawda panie Naulet? Milion to jest pie-

niądź, papa zawsze mówi: „tysiąc, to tylko liczba, milion to rzeczywistość“. Pan przecież jaki milion mieć musi; mnie wszystko jedno, *you see*, ale papa scenę mi zrobił, że mister Simpson nie ma całego miliona, później jednak okazało się, że ma. Ale nie cierpię kiedy mi papa sceny robi „*such a bore*“.

— Strasznie mi przykro, że tak panią rozczarować muszę, ale doprawdy wolę zgóry ją zawiadomić, że nic nie mam, zupełnie nic.

— Jakto nic, ani centa?

— Centy mam, ale miliona nawet centów nie mam.

— To źle, to bardzo źle! Czemu mi pan tego odrazu nie powiedziałeś?

— Nie wiedziałem, że to warunek.

— No, jakoś się temu może zaradzi. *Such a bore*. Nie mówmy o tem. Wie pan, mnie się jeść chce. Gdybyśmy tak kartofli upiekli, widzi pan, tam jest zagon cały.

— Ależ to cudze pewnie.

— Pewnie że cudze, ale kiedy nikt nie pilnuje, to nasze.

— Ale zkad drzewa na ogień weźmiemy?

— Alboż w Kanadzie mało drzewa?

— Jabłoni łamać szkoda.

— Naturalnie, ale pan wejść możesz na

tę jodłę i gałęzie obłamywać, ja będę zbierać i ogień niecić.

— Trochę wysoko.

— To może pan wolisz znosić drzewo z tej góry, na którą pieliśmy się najprzód, tej, co to na niej Will mister Simpson siedzi.

— A, nie pani! To już wolę wejść na drzewo.

— Dobrze, niech pan wejdzie, a ja kartofle wydobędę z ziemi.

Spojrzał pan Naulet na swe eleganckie trzewiki, na cienkie kortowe ubranie zupełnie stosowne do wspinania się na drzewa, — spojrzał na jodłę — jedyna jedna między temi jabłoniami, — a pień jej taki wysmukły, wysoki, gładki. Piękny dla oka, ale niewygodny dla ginnastyki. Korona gdzieś w górze — istna palma, nie sosna.

Jednak Mea zdawała się być tak pewną, że on rozkaz jej spełni, że nawet mowy nie było o stawieniu najslabszego oporu. Ona nie czekała aż go u szczytu jodły zobaczy, — patykem ziemię grzebała i kładła rączkę przybraną w niezmiernej długości duńską rękawiczkę w świeżo poruszony grunt, aby z niego kartofli wydobyć.

Pan Naulet tymczasem rad był, że go nie

obserwowała i jechał w górę z mężem, w pocie czoła. Ręce już odrapane, twarda kora za delikatną skórę się wpijała, a on drżał tylko aby się Mea nie obróciła i nie spostrzegła nadludzkich wysiłków, jakie robił aby się na dół nie zsunąć.

W chwili kiedy nogi jego obejmowały rozpaczliwie pień drzewa a ramiona błagalnie ku górze się wyciągały, w tej właśnie chwili Mea ostatni kartofel z ziemi wydobywała i z tryumfem chciała mu to pokazać myśląc, że on już wiele gałęzi nałamał.

Niestety, przykry zawód ją czekał — to też jej śliczna twarzyczka widocznem niezadowoleniem się pokryła na uwagę zadyszanego pana Naulet, że — to strasznie wysoko.

— Jabym... ej! doprawdy Will, w jednym okamgnieniu byłby się tam dostał — cierpko odrzekła.

Spostrzegła jednak prędko, że to nienawistne imię cytuje za przykład. Cofnęła się też zaraz i śmiać poczęła się serdecznie, — ale bodaj czy Francuzowi niezadowolenie od śmiechu tym razem miłszem nie było.

Nareszcie dotarł pan Naulet do wierzchołka i dobył reszty sił do obrywania gałęzi, — co nie było łatwym zadaniem.



Miss zbierała i kładła na jedno miejsce, — poczem przypomniała sobie, że nie ma zapalek; on jej zgóry rzucił całe pudełko — więc zaczęła ogień niecić.

Francuz tymczasem zawisł na szczytach i począł dosłownie z wysokości na nędzę ludzką spoglądać. Między niebem i ziemią głowę ku sklepieniu niebios wznosząc, dziwny przewrót zrobił się w jego pojęciach. Miliony wydały mu się marnością godną pogardy — piękność niewieścia cieniem przemijającym. Wszelkie pojęty światowe przedstawiły mu się jako bańki mydlane, zabawki dziecinne. Do tych wszystkich wysoko-filozoficznych uwag, przyłączał się i pewien rodzaj rozdrażnienia. Bagatela — myślał — tylko miliona ode mnie żądają i to dolarów naturalnie, bo o frankach nie mają tu pojęcia. Co za nonsens. Gdybym miał milion choćby tylko franków, musiałbym mieć *le diable au corps* aby się po Kanadach i innych dzikich lądach rozbijać, siedziałbym sobie w tej chwili w *Café Anglais* a nie na wierzchołku jodły. Sapristi! gdyby mnie który z moich dawnych kolegów zobaczył w tej pozycyi, byłbym zgubiony w opinii ludzkiej na wieki. Co ona mi jeszcze każe robić ta szalona Kanadyjka? Jej wszystko do głowy przyjść może. Jak się tu wy-

plątać z tej kabały? Tylko takiej pięknej kobiecie takie waryackie pomysły przychodzić mogą na myśl. *Et aucun benéfice par dessus le marché*; w rękę pocałować jej nie śmiem, ani widziałem jej ręki, — jada w rękawiczkach. *Dieu, quelle corvée!*

— Panie Naulet — czy pan spisz? — odezwał się dźwięczny głos Mei z dołu. — Jeszcze wiele gałęzi na drzewie zostało.

— Cóż u licha, ona ciągle mnie o sen posądza; winszuję, widocznie liczy na mnie, że ja całą jodłę z gałęzi ogołocę, ba, może mi każe ściąć drzewo nożykiem; dla niej nie niema niemożliwego.

To wszystko było *à part soi*, głośno zaś odparł:

— Nie śpię, pani, tylko podziwiam piękną Westalkę; cudownie pani wyglądasz w swej nowej roli.

— Doprawdy? — rzekła uradowana, wdzięcznie oczy ku niemu podnosząc. Yankesi i Anglicy nie popsuli jej widocznie komplementami.

— Że głowę stracić można, to można, gdy tak na człowieka spojrzysz — pomyślał Francuz i mówił dalej:

— Czy może być, abys pani o tem nie wie-

działa? To co powiedziałem jest prawdą jaśniejszą od słońca.

Oryginalnie brzmiały komplementa z takich wyżyn w dół rzucane razem z gałęzmi. Pan Naulet byłby wolał wyszeptać te i inne jeszcze rzeczy tuż do uszka pięknej miss — *mais le moyen?*

Nareszcie Mea raczyła zawyrokować, że dosyć opału, więc pan Naulet odetchnął głęboko i począł się spuszczać ku dołowi. Był już na jakie dziesięć łokci od ziemi, gdy raptem rozległ się strzał w pobliżu i prawie równocześnie dwóch „czarnych“ przybranych w surduty wysunęło się z otwartych w tej chwili drzwi domu. Każdy z nich trzymał rewolwer w rękę, jeden mierzył prosto w plecy Francuza, drugi celował w Meę z najzimniejszą krwią. Ona przestraszona wystrzałem obejrzała się, a widząc że okropny ten Murzyn bierze ją na cel, straciła całkiem przytomność i nie zważając na to, że tylko kilkanaście kroków dzieli ją od urwistego brzegu, prosto ku przepaści dążyła, uciekając przed grożącym jej niebezpieczeństwem.

Zaledwie pół sążnia dzieliło ją od miejsca z kądem stoczyć się mogła w niezmierną głęboką — krok dalej a śmierć czekała ten cudny, świeży kwiatek kanadyjski.

Ale wtedy właśnie silne ramię ujęło ją wpół i w biegu powstrzymało, a głos dobrze jej znany, głos Willa rozległ się groźnie w powietrzu:

— *Stop you rascals!* czyli: „Stójcie łotry!“

Mea odwróciła się teraz, a dwaj czarni broń spuścili; wszystko to trwało zaledwie sekund kilka. Pan Naulet przyrósł do drzewa; widząc się celem pocisku nieprzyjaciela, nie śmiał się w górę ani w dół poruszyć... zdrewniał...

Mea aż przysiadła na trawie, wysunąwszy się blada, wzruszona z objęć mister Simpsona.

On tymczasem podszedł ku Murzynom i poczęła się parlamentacya. Rzecz cała została wytłómaczoną w nader prosty sposób. Grunt ten, na którym stali, t. j. sad i dom i kartofle, wystawione były na sprzedaż i opuszczone przez właścicieli. Powierzono opiekę nad tem wszystkim dwom „czarnym“, którzy rewolwerami odstraszaali złodziei od jabłek.

Odbywali właśnie drzemkę poobiednią, kiedy jeden z nich budząc się, łunę przez okno zobaczył. Zerwał się tedy i wypalił w powietrze, a potem obydwaj myśląc że z rabusiami mają do czynienia, przestraszyć ich chcieli, mierząc do nich.

Mister Simpson uraczył „czarnych“ wszy-

stkiemi tytułami, na jakie stać dykeyonarz angielski, dość bogaty w epitety ujemnego gatunku. Jednak wedle zwyczajów krajowych „czarni“ zupełnie byli w swoim prawie. Najęźdzcóm nie pozostawało nic innego, jak porzucić niedopieczone kartofle i opuścić fatalną miejscowość, gdzieindziej namiot przenosząc.

Czego miss Mea pojąć nie mogła, to jakim cudem Will znalazł się obok niej w chwili najkrytyczniejszej, a jednak łatwo mogła przypuścić, znając naturę „mula“ ex-narzeczonego, że jak się za nią piał po jednej górze, tak i na drugą się wdrapie. Faktem jest, że manewra miss wokoło kartofli a pana Naulet na jodle, nie uszły baczego oka Williama. Siedział sobie spokojnie ukryty, między krzewami „ataka“, pokrytemi pięknym ponsowym owocem. Gdyby Francuz bystrzejsze miał oczy, lub mniej zajęte Westalką, byłby go z pewnością odkrył.

Po skończonej parlamentacyi z „czarnymi“, pan Naulet uznał za stosowne podziękować swemu pseudo-zbawcy; bo chociaż murzyni nie mieli morderczych zamiarów, ale zawsze wrażenie było piorunujące a przyrośnięcie do pnia jodły mniej niż wesołe.

Mister Simpson uściskał prawicę Francuza, uklonił mu się; na Meę nie spojrzął i poszedł.

Mea, trzeba jej oddać tę sprawiedliwość, miała serce przejęte wdzięcznością przez chwil kilka dla ex-narzeczonego, ale wdzięczność ustąpiła pod nowym wpływem nieprzyjaznych uczuć.

Ocalić kobietę *à la bonne heure*, zawsze się się to rzeczywiście chwali, ale nie spojrzeć na nią potem, to jest zbrodnią, której ani w Japonii, ani w Japonii, w Europie, ani w Ameryce, kobiety nie przebaczą.

To też gdy Will zniknął, Mea z pogardą rzekła do swego towarzysza:

— Ten mamut nawet się uklonić nie umie.

Pan Naulet zanadto wiele wzruszeń przeszedł od kilku godzin, ztąd zachwyty jego dla pięknej Kanadyjki mocno się zmodyfikował. Zdobył się teraz na wielki moralny wysiłek, aby odzyskać swoją niezależność duchową i rzekł:

— Pani jesteś bardzo niewdzięczną... Mamut ten życie pani ocalił; to lepiej niż kapelusz zdejmować.

— I pan go bronisz? Pan?..

Bajecznie wielkie zdziwienie malowało się w oczach miss przy tem zapytaniu. To znowu

zdekoncertowało Francuza i nie śmiał iść dalej w dopiero co obranym kierunku niezależności.

Nieśmiało też dodał tylko:

— Ja go nie bronię... bo mógł się uklonić, to pewna... ale... gdyby nie on...

— Tak... wiem... Gdyby nie on, byłbyś pan spadł z drzewa ze strachu. Spostrzegłam to, o! doskonale. Ja mam dobre oczy, wszystko widzę. Cudowne jest doprawdy położenie panny na wydaniu, z deszczu pod rynnę... Nie! to bzik! formalny bzik mężem się obarczać. Co ja z panem zrobię, gdy pana żoną zostanę?.. Niech pan sam powie?.. Kula u nogi i tyle... Wybacz pan, ale doprawdy po tem co zaszło, my zerwać musimy... Niech mi pan tego za złe nie bierze, ale tak rozsądnie rzeczy biorąc, czyż nie lepiej zawczasu się poznać, ocenić i rozejść się... niż później oczy sobie wydrapywać życie całe?.. Ja za Willa też nie pójdę. Wogóle za nikogo się nie wybieram... Te dwie próby aż nadto mnie przekonały, że najlepiej samej na świecie. Już dosyć kłopotu ma każda z nas sama z sobą...

— Nie wątpię — odparł Francuz.

— Więc widzi pan. Poco to dodawać sobie balastu w tej doczesnej pielgrzymce? Will to impertynent, ja impertynentów nie znoszę.

Pan zaś jesteś, no, trochę... nieśmiały, dajmy na to. Trochę, jakby to powiedzieć?.. Nie masz pan dostatecznej odwagi. Nietyle, wiele ja w mężczyźnie wymagam, ani siły dosyć, ani energii, jednym słowem...

— Przepraszam panią bardzo, ale...

— Pozwól pan, cóż to ja oczów nie mam? Zzieleniałeś pan na tem drzewie. Jeszcze teraz panu oczy na wierzch ze strachu wychodzą.

— Ależ, pani, to żarty pewnie.

— Niech mi pan nie przerywa. Ja wiem co mówię. Nic z tego być nie może. Gusta nasze się różnią, zrywamy. To i lepiej że się tak stało; papa nigdyby mi nie darował, że pan niema milionów; byłyby sceny w domu, a tak, nikt o niczem wiedzieć nie będzie. Jakie to wielkie ryzyko taka małżeńska sprawa. Willa znam od dziecka, a wszystkie jego przywary dopiero teraz na wierzch wychodzą, jak grzyby po deszczu; myślał, że mnie już trzyma, więc sobie pozwalał. Nigdy niczego pewnym być nie można. Zdawało mi się, że kiedy się zawiodłam na dawnym znajomym, to pierwszy lepszy z brzegu, może miłą niespodziankę mi zgotuje, i co spostrzegam? Gdy mój plaid tonie, pan tylko oczy w niego wlepić potrafisz, gdy William



chrząka, pan truchlejesz, gdy czarni czekoladowym rewolwerem mierzą...

— Ależ pani, nabity był, stalowy, daję słowo, prawdziwy rewolwer, toż pani uciekła.

— Kobiecie wolno, nawet przed czekoladowym, to co innego. Pan nawet nie miałeś siły uciekać.

— Taka pani niesprawiedliwa.

— Naturalnie, gdybym pana uznała za bohatera, byłabym sprawiedliwą. Nie, ja szczerą jestem, mówię to co myślę. Nie mam szczęśliwej ręki, albo może wy już tacy wszyscy jesteście. Jeden arogant, drugi tchórz, trzeci pijak, czwarty karciarz, no, są tacy, którzy wszystko razem mieszczą w sobie. Dziękuję, wybacz pan, ale wolę nie wychodzić za mąż.

— Masz pani najzupełniejszą słuszność. Z takimi pojęciami lepiej się nie narażać na całe życie wydrapywania sobie oczu.

— Może to moją będzie winą? Co? Pan gotów byłbyś tak tę sprawę pojmować w swej męskiej bezstronności.

— Nigdy w życiu. Ale trudno mi pojąć, aby kto śmiał się targnąć na oczy pani inaczej jak bałwochwalczym wzrokiem, pełnym uwielbienia.

Złagodniała miss trochę. Rozpogodziła się

jej klasyczna twarzyczka, w milczeniu dążyła obok dymisywanego nr. 2-gi narzeczonego.

Służba pana Naulet miała być krótką ale ciężką, bohaterską niemal.

W tej chwili siedli oboje na maleńki statek parowy, który dyszał jak gdyby wracał z wyścigów po całym Atlantyku, a on tylko między jednym a drugim wybrzeżem Quebecu służbę pełnił, przecinając od rana do wieczora szeroką wstęgę św. Wawrzyńca.

W godzinę później miss Mea zmieniła toaletę na statku „Montreal“ i zasiadła do obiadu z apetytem, którego nie popsuky jej pieczone kartofle; a jednak nie mogła odżałować, że jej zdobycz, taką pracą okupioną, nieledwie z rąk jej wydarto.

Zdziwienie pana Naulet było wielkie, że miss obok niego miejsce przy stole wybrała, skoro tyle krzeseł stało pustych; on myślał, że zostając przez nią wysortowanym, zajmie w jej opinii stanowisko, na jakie Will został zepchniętym. Obiecywał sobie nawet, lepiej się zapoznać z interesującym Anglikiem. Ostatecznie żadna rywalizacya nie miała ich więcej dzielić. Czemużby się zaprzyjaźnić nie mieli?

Dumał właśnie nad tem, jakby się zbliżyć do mister Simpsona, gdy tak niespodzianie Mea

siadła obok niego... Nie umiał sobie zdać sprawy z wrażenia, jakie wyróżnienie to na nim zrobiło. Daremnie najbujniejsza imaginacya i próżność najwyuzdańsza byłaby mu podszeptowała złudzenia jakiegokolwiek, co do uczuć, jakie piękna miss żywiła dla niego.

Ze serca jej nie zdołał rozgrzać, to pewna. Z ostatniej rozmowy nie mógł wynieść najmniejszych iluzyj co do uczuć Mey dla niego.

Ale może się rozmyśliła i zrywać nie chce? Może mu zaproponuje powrót do dawniejszych planów, a on, co pocznie w takim razie? Przyjmie, czy nie przyjmie? Fatalne położenie. Bo choć miliony miss tentujące bardzo, choć uroda jej olśniewająca, ale za to natura!... Słodkie usposobienie, niewieścia łagodność nie obrały sobie siedliska w tem pięknem ciele.

Wulkaniczne uczucia, jakie wrzały w sercu Francuza dla Mei, wygasły pod wrażeniem słów jej. Słowa te łamiąc w nim miłość własną, złamały i rozbudzone sentymenta.

Jakże ona mogła wymagać od niego, aby się przedstawił korzystnie na pniu jodły, gdy „czarny“ mierzy do niego? Apollon i Antinous śmiesznie byliby wyglądali, a znani z lwiej śmiałości Roland i Bayard, nie byliby się mogli popisywać odwagą, na pół drogi między

niebem i ziemią, gdy ręce i nogi równocześnie zajęte być musiały.

Co to za logika waryacka w tej amerykańskiej głowie?

Cóż ona chciała, ta szalona miss? Aby on owę jodłę z ziemi wyrwał i jako pałką zgładził nią czarnych z powierzchni ziemi? Nawet w takim razie musiał mieć czas zejść na ziemię, a czasu brakło...

Takie to refleksye nieprzychylnie usposabiały pana Naulet do wszystkich nowych układów, jakie Mea mogła mu proponować.

Ona nie domyślała się buntu do jakiego Francuz się sposobił. Swobodnie, wesoło rozmawiać z nim poczęła, nie robiąc żadnej aluzyi do tego co zaszło między nimi godzinę temu, ani nawet do ich awanturniczej przygody.

Czego kobieta nie jest w stanie z siebie zrobić? Ktoby to pomyślał, że ta śliczna koteiczka taka uprzejma, taka uśmiechnięta, czarodziejka, w tej chwili tyle pazurków ma na swoje zawołanie? Francuz oczom nie wierzył; pytał siebie którą jest teraz prawdziwa Mea, czy ta co na niego tak rozkosznie w tej chwili spogląda, czy ta, która ostrzem ironii przeszywała go niedawno temu, a nawet poniewierała

nim jak zużytą miotłą, wymyślając mu od tchórzów, mazgajów etc.

Czego to oczy kobiece zrobić nie potrafią? Ten człowiek, którego miłość własna dęba stawała i bunt podnosiła gwałtowny przeciw uciemieniu chwilę temu, ten sam człowiek spokojnie teraz jako ciche jagnię. Zapomniał, przebaczył, oczarowany promieniami wzroku pięknej miss; u nóg jej leżał spętany, nie umiając słowem jednym okazać urazy, jaką tak niedawno temu czuł głęboko.

Gdy pod koniec długiego obiadu miss zapytała go:

— Czy pojedzie pan ze mną jutro do wodospadu la Chaudière?

On z entuzjazmem przyjął propozycją. Tyle myślał o wyłamaniu się spod berła czarodziejki, ile ryba myśli o wyskakiwaniu z wody do piasku, ile ptak myśli o pozbywaniu się skrzydeł.

William Simpson siedział naprzeciw Francuza i jadł z takim spokojem homary w majonezie, że najuważniejszy badacz byłby myślał, iż rozmowa uroczej miss z sąsiadem nie więcej go obchodzi, co los jaki spotkał skorupy od zjedzonego homara.

Spokój ten działał na nerwy pięknej pan-

nie, co się objawiało w coraz większym zapale jej słów wesołych, coraz żywszym blasku jej oczu, gdy patrzała na Francuza, coraz częstszych i słodszych uśmiechach, skierowanych do narzeczonego nr. 2.

Nazajutrz zrana miss Sidney i pan Naulet dążyli dorożką po równej drodze ku wodospadowi. Dorożka oryginalna; ale innej dostać nie mogli, bo innych niema w Quebecu. Wszystkie mogłyby figurować bezpiecznie w muzeum w Westminster, bo wyglądają na zabytki z XVII stulecia.

Taką dorożką trzej muszkietierowie musieli się rozbijać po bruku paryskim, dwieście lat temu. Pudło wysoko osadzone, do którego trudno się wdrapać, zdobne wewnątrz arabeskami kolorowemi; złoceniami, kwiatami malowanemi w najjaskrawszych barwach, a niezgrabne, a pretensjonalne, jednym słowem trzeba do Kanady zajechać, żeby się spotkać z podobnym dziwołagiem.

Pan Naulet nie mógł się dość nacieszyć widokiem tego archeologicznego zabytku.

Twardo w nim i prosto trzeba się trzymać, ale obok tak pięknej kobiety to i na kolcach usiedziećby można. •

Biedny Francuz! — zapomniał już przykrości

wczorajszych, płynie z falą nie myśląc, że się na rafy tak często natrafia.

Tuż za powozem, w którym siedzi młoda para, toczy się drugi, zupełnie podobny, a w nim niby cień dwojga młodych, nieodstępny — mi-ster Simpson.

Mea widziała ex-narzeczonego Nr. 1, jak siadał do dorożki, powtarzając za nią niby echo: „à la Chaudière,“ gdy go dorożkarz pytał dokąd ma konie skierować.

Gdyby ktoś był podał pięknej miss sposób w owej chwili jak skruszyć, zdeptać, zmiażdżyć tego człowieka, któremu ona nie mogła zabronić dażyć za sobą, gdziekolwiek się obróciła... gdyby jej był ktoś podał taki sposób, choćby nawet jeden z tych dwóch „czarnych“ co wczoraj do niej mierzyli, to byłaby gotowa natychmiast rękę swą oddać wzamian za tak wielką przysługę. Byłaby. Tembardziej, że w tej chwili pozostawała „en disponibilité,“ bo z panem Naullet wszystko było skończone, jak się o tem prędko z rozmowy przekonał.

— Czy pana nie doprowadza do wściekłości to włóczenie się za nami nieodstępnego cienia naszego?

Pan Naullet udał, że nie rozumie i rzekł wymijająco:

— Ja przywykłem do tego, że mój cień mnie nie odstępuje.

— Bo ja się panu przyznam, że mi powietrza brak, oddychać nie mogę. Zdaje mi się, że jestem więźniem i żandarm pod strażą mnie trzyma. Ja się jednak dziwię pana cierpliwości, jabym tego nie zniosła.

— W niektórych razach cierpliwość nakazuje rozsądek.

— Albo obawa...

— Nie rozumiem.

— Gdybym była panem...

— Cóżbyś pani zrobiła?

— Nie pozwoliłabym rywalowi urągać sobie w taki bezczelny sposób.

— Jakto rywalowi?

— Naturalnie, przecież mister Simpson myśli, że pan jesteś moim narzeczenym, więc narzucając się panu ciągle, widocznie chce pana drażnić.

— Czy tak jest w istocie? Ja przypuszczałem, że on poprostu zwiedza te same punkta, które my oglądać chcemy, bo i cóż mu to może przeszkadzać, że my jesteśmy narzeczeni, skoro on ustąpił z placu stanowczo.

— Przepraszam pana, to jest olbrzymia po-



myłka. On wcale nie ustąpił, nie myślał ustępować.

— Ależ musi wiedzieć, że mnie pani wybrałaś.

— Ależ, to farsa taki wybór! On dobrze wiedział, że to farsa.

— Jakto farsa?

— Naturalnie, przecież pan sam nie mogłeś przypuszczać, że to będzie naseryo.

— Otóż byłem dość śmieszny, że przypuszczałem.

— To mnie bardzo dziwi. Ostatecznie i ja w kilku pierwszych godzinach straszliwego gniewu, myślałam, że może coś z tego będzie, ale jak tylko zmiarkowałam, że pan się boi chrząkania Willa, a potem gdym pana na tem drzewie zobaczyła...

— Obawa chrząknięcia, to hipoteza, którą ja pozwałam sobie odrzucić, co zaś do owego drzewa, o ile wiem, pani mi na nie wejść kazałaś.

— Tak, ale mogłeś pan to zrobić z godnością.

— Ja wiedziałem, że można to pogodzić z godnością.

— O! Will byłby z pewnością pogodził.

— Więc ostatecznie dlaczego pani zerwała

z tym biednym Willem, skoro on tyle zalet posiadał? — zapytał p. Naulet po chwili.

— Ja sama niebardzo wiem czemu zerwałam — odrzekła Mea potrząsając główką. — Może dlatego, aby zobaczyć, jakie to na nim zrobi wrażenie... I to mnie do rozpaczki doprowadza, że on sobie z tego nic nie robi. Zaczęłam go nienawidzić i ten byłby moim dobroczyńcą, ktoby go zechciał zgładzić ze świata.

— Czy na mnie pani liczysz w tej mierze?

— Liczyłam... ale pan jesteś aż nadto niedomyślny...

— Ależ na miłość Boga, ten człowiek nie mi złego nie zrobił... Czemu ja mam go zabijać?

— Bo mi zawadza... widok jego jest mi wstrętny.

— Co ja mam poczynać doprawdy? Sam nie wiem...

— Mógłby mu pan zaproponować pojedynek amerykański... onby może czarną gałkę wyciągnął i za miesiąc, dwa, jużby go nie było...

— Możeby wyciągnął, a może nie?

— Pótybym zmieniała narzeczonych, pókiiby on czarnej gałki nie znalazł... Za pierwszy

warunek powinnam postawić każdemu pretendentowi, wyzwanie Willa na pojedynek.

— Dziękuję pani. Zanimby on w łeb sobie palnął, mogłoby wiele krwi niewinnej się przelać.

— Jeszczeby dosyć ludzi zostało na świecie.

— Głęboko chrześcijańskie zasady pani wygłaszasz...

— W tej chwili nie występuję w roli chrześciance, tylko w roli obrażonej kobiety...

— To obrażona kobieta przestaje być chrześciance?

— Co pana moje uczucia religijne obchodzić mogą? Krótko i węzłowato mówię: nie chcesz się pan pojedynekować z Willem?

— Wolałbym nie...

— No, to trudno... wyrzeknę się tymczasem tego planu. Niema czasu mówić o tem, już słyhać szum wodospadu. Proszę tylko pamiętać, że dla Willa pozostajemy zawsze narzeczonymi.

— Jeśli taka pani wola...

„*Chaudière*“ znaczy kocioł, a ogromny basen, nad którym zatrzymali się teraz nasi pseudonarzeczeni, rzeczywiście ma formę kotła, ale straszego, piekielnego kotła. Gdyby nie zimna woda w nim kipiała i szumiała, ale smoła, to

możnaby sobie wyobrażać, że został zbudowany na wzór tego, w jakim Lucyfer kąpie swoich poddanych.

Kocioł ten wyglądał na dzieło nie Boże, lecz szatańskie, tyle w nim grozy, tak w nim czarno i ponuro woda kotłuje, po takich skręconych głazach się pieni, a każdy głaz to niby jakaś bestya apokaliptyczna, niby węże poskręcane, skamieniałe, niby gniazda gadów jadowitych. Dziwna groza wieje od tego dzieła natury. Po nocach pewnie więdźmy, strzygi, czarownice ze świata całego tu się zbiegają. Znakomity punkt do zjazdów nadprzyrodzonych a strasznych. Może też nocami i bestye i gady i płazy skamieniałe, zaczynają się ożywiać i zpod wody łby wynurzać; może się woda gotować zaczyna i parą osłania hece czarodziejskie, może się w niej szkielety kąpiać, bo wycie straszne rozlega się dokoła i taki szum złowieszczy, że bodaj czy nawet orzeł albo i sęp żarłoczny ośmieliłby się krążyć nad tajemniczym wodospadem wśród nocy.

We dnie nawet coś przygnębiającego wieje od tego ponurego kotła. Jednak po owych kamieniach ktoś odważny mógłby się w głąb kotliny spuścić, bo woda nie zewsząd bije, ale i noga poślizgnąć się może i zawrotu głowy

dostaćby można, a głównie szum straszliwy, loskot, huk, tak dalece ogłusza, że dziwnem się wydać może, jak uszy ludzkie zniosą coś podobnego.

Pan Naulet w całym znaczeniu tego słowa ocenił majestat i grozę tego widoku. Już o kilkanaście kroków od krawędzi kotła uczuł jakąś siłę, nieczystą pewnie, która go ciągnęła bliżej, więc naturalną jest rzeczą, że sile tej poddać się nie chciał i przystanął na miejscu, oceniając dostatecznie z pewnej odległości wspianą grę światła łamiącego się w spienionych falach. Niby roztopiony ołów, srebro i złoto leje się z góry w głąb kotła; jednak ni brylantów ni rubinów słońce nie wrzuca w tę przepaść, za ciemno tam jest, za straszno na drogie kamienie, więc tylko kruszce roztopione rozbijają się o straszne głazy.

— Czy pan nie masz intencji iść dalej? — zapytała bardzo głośno Mea swego towarzysza.

— Nie słyszę — odparł tenże głośniejsze jeszcze, a mógł rzeczywiście nie słyszeć, bo i piorun uderzając w pobliżu, byłby może zagłuszony loskotem spienionych wód.

Mea w samo ucho jeszcze głośniejszym krzyknęła:

— Czy pan dalej nie pójdiesz?

— Sam nie pójdę i pani nie pozwolę, to szaleństwo...

Zaśmiała się Miss, jej nie pozwoić?.. to dzika pretensya.

— Boisz się pan? Czy pana może woda ugryzie?

— Ja się o panią boję.

— Strata czasu, bo ja idę.

— A więc i ja.

Nieprzyjemnie zrobiło się na sercu Francuzowi, a cała irytacya, jaka w dniu wczorajszym przeciw pięknej pannie w nim nurtowała, teraz z podwójną objawiła się siłą, ale byłby wolał umrzeć nagłą śmiercią, niż wobec tej arbitralnej tyranki okazać obawę. Pójdzie z nią i obok niej, choćby mu kazala zejść na dno tej piekielnej dziury.

Niestety! w złą godzinę pomyślał, ledwie bowiem stanęli nad brzegiem kotliny, Mea z zimną krwią rzekła:

— Żadna kobieta nie zeszła pewnie w głąb wodospadu, więc ja zejść.

— Na miłość Boga, pani śmierci szukasz? Przemocą panią zatrzymam.

— Niech pan spróbuje.

I nieustraszona oparła jedną nóżkę o stopień przez głaz utworzony. W tem miejscu

właśnie skały uformowały rodzaj schodów, po których upiory nocne spuszczać się muszą.

Pan Naulet walczył z sobą. Iść za nią ze śmiercią w duszy, z jasną twarzą, czy też pilnować największego dobra, jakie nam nieba dały, to jest życia.

Mea drugą nóżkę zsunęła za tamtą. Ale jakaś siła wyższa przykuła Francuza do gruntu i choć pragnął, nie mógł za nią z miejsca ruszyć.

Wtedy to wzniosła postać mister Simpsona minęła zeszywniałego w tej chwili rywala i William z zimną krwią jakoby po schodach w klubie, podążył za Meą.

Szli tak w dół oboje, jak cienie jakieś zakłęte, jak owe duchy, które w piekle Dantego się snują, a panu Naulet pot zimny skronie oblewał. Odważna para zatrzymała się na jednym głazie, Mea ręką pokazywała coś Williamowi, ten kiwnął głową. Ona w miejscu została, a on opierając się i czepiając kamieni sterczących, schodził coraz niżej. Gdyby mu się kamień zpod ręki usunął, gdyby mu się noga poślizgnęła, stoczyłby się na wieki między te pokurczone głazy, a może głazy te, to właśnie śmiałkowie, którzy urągali niebezpieczeństwu, bo w wielu miejscach wyglądają na

ciała ludzkie pokurczone. W tej chwili William schylił się raptownie, miss krzyknęła, ale jej krzyku naturalnie Francuz słyszeć nie mógł, widział tylko jak przysłoniła oczy rączką i głowę odwróciła. Szalona, bez serca!

Mister Simpson wyprostował się jednak, a w rękę trzymał coś długiego, cienkiego, co zdaleka wyglądało na jakąś zmię niebezpieczną.

Była to tylko roślina, coś na kształt mchu czy trawy wodnej, tego widocznie Mea pragnęła, gdy w dół Willowi wskazywała ręką.

On teraz pnie się do góry z powrotem, co zdaje się z większą trudnością przychodzić, bo laską już sobie pomagać nie może. Stał obok niej, ale jej rośliny nie oddał, tylko oboje jak duchy pokutne na męki skazane, z wysiłkiem a trudem wielkim, ku górze się wspinali. On jej pomagał to rękę jej podając, to wpół obejmując, ona nie broniła mu tego, a blada była, blada zupełnie jak grobowe zjawisko, kropli krwi w niej nie było.

Nareszcie stanęli na brzegu. Mea zdawała się obydwóch mężczyzn nie widzieć. Spojrzała tylko raz jeszcze na tę niezmierną głębie, w której śmierci zdawała się szukać. Dreszcz ją przeszedł, wstrząsnęła się lekko i wolnym



krokiem w milczeniu oddalała się od wodospadu.

Pan Naulet machinalnie dążył za nią, nie śmiejąc oczu podnieść.

Siadła do dorożki. Francuz przystanął nie wiedząc, co mu czynić wypada, furman jednak zawołał: „*Embarquez* ;“ więc on, zawsze machinalnie, posłuchał owego marynarskiego rozkazu i siadł obok głęboko zadumanej miss.

Powoli myśli jego zaczęły powracać do normalnego stanu, ale czego pojąć nie mógł, to czemu ten Anglik i ta Kanadyjka, widocznie dla siebie stworzeni, patrzeć na siebie nie chcą, poza wyjątkowemi okolicznościami w życiu. Dziwaki!

Obawiał się chwili, w której miss na niego oczy zwróci, z pogardą naturalnie — chwili, w której się odezwie, aby go z błotem zmiejszać...

Nie rozumiał dlaczego obok niej siedzi, na co? po co? Czemu go ona ciągnie za sobą?.. Coraz to niefortunniejszą rolę odgrywa, a zupełnie nie umie wyplątać się z tego...

Czyżby nie było o wiele naturalniejszym, gdyby zamiast niego, Will siadł obok Mei? Że też to ludzie wiecznie komplikacyi szukać

muszą. Wtedy, kiedy się wszystko gładko układa, sami sobie pręty między osie pakują.

Taki mister Simpson, oryginał! Pannę od kuli „czarnego,” na brzegu przepaści chroni, sprowadza ją w głąb otchłani, bo taki jej kaprys, a po każdym z tych czynów bohaterskich, cofa się w milczeniu bez ukłonu, bez spojrzenia nawet...

Oddał jej owo zielsko, po które z narażeniem życia karku nastawiał, i poszedł w swoją stronę, a ona siedzi jak struta. Może jej się tam do reszty w głowie pomieszało w tym piekielnym hałasie, może ogłuchła i oniemiała? Cóżby w tem było dziwnego? Przeciwnie cudem nazwaćby można, gdyby się z tej ohydnej dziury wydostała bez żadnego szwanku...

Powoli kolory poczęły wracać na bladą twarzyczkę miss. Oczy jej nabierały wyrazu i nie patrzyła już takim dziwnym wzrokiem uparcie w jeden punkt zwróconym. Nawet poczęła się uważnie przyglądać roślinie w rękę trzymanej; Francuz czuł, że jej wielkie, piękne źrenice wkrótce się na niego skierują i — byłby wolał unikać tego spojrzenia.

Ale nie mógł, bo rzeczywiście po niejakiem czasie Mea oczy ku niemu zwróciła, lecz o dziwo! bez pogardy. Przeciwnie, cień smutku

i powagi jakiejś, malował się w tem długim spojrzeniu. Odezwała się wreszcie, rękę ku zdziwionemu panu Naulet wyciągając:

— Dziękuję panu.

On w tej chwili rzeczywiście się przestraszył.— „Zwaryowała z pewnością — pomyślał. — Może myśli, że to ja ją sprowadzałem w głąb przepaści, że to ja dla niej to zielsko zerwałem. Jak tu z tego wybrnąć?..“

Na podziękowanie miss z głębokiem zdziwieniem zapytał:

— Za co pani dziękuje?

— Gdyby nie pan, nigdybym nie oceniła wartości Willa.

Tak to naturalnie powiedziała, serdecznie nawet, jako rzecz zupełnie prostą, zrozumiałą. On tak dalece został zbity z tropu, tem arcy-naiwnem oświadczeniem, że nie wiedział czy się śmiać, czy gniewać, czy zwrócić jej uwagę na niestosowność takich żartów, czy też zamilczeć i połknąć pigułkę z rezygnacją.

— Trzeba przyznać jednak, że jestem skończenie potworną istotą — mówiła dalej miss Mea. — Jakiś zły duch obrał sobie we mnie siedlisko.

— Tak źle nie jest, ale jednak...

— Niech mnie pan nie broni. Warta jestem pogardy, nikczemne ze mnie stworzenie.

— Zkądże taki zwrot raptowny w pojęciach pani? Dlaczego tak się dręczyć.

— Dosyć nadręczyłam i Willa i pana, teraz więc słusznie, że siebie zacznę.

— A czy nie możnaby tak żyć nie dręcząc nikogo?

— Pan żartujesz, a mnie się wcale na żarty nie zbiera.

— Czemuż tak tragicznie brać rzeczy?

— Tragicznie, tragicznie... Wy wszyscy Francuzi lekkomyślni jesteście, dawno o tem słyszałam. Pstro wam w głowie, nie umiecie nic brać naseryo.

— To co innego, ja tylko chciałem...

— Mnie wszystko jedno, co pan chciałeś...

— Ja myślałem, że pani żartujesz, iż mnie dręczyłaś, a widzę że...

— Żałuję przedewszystkiem, że Willa dręczyłam, „*that is such a good dear boy.*“ Dobrze panu mówić, że tragicznie rzeczy biorę, pan nie spuszczałś się za mną w tę straszną otchłań, panu zanadto skóra własna miła na takie ryzyko.

— Czyjaż skóra miłą mi będzie, jeżeli nie moja?

— A jednak Will swojej nadstawił.

— Ja go też podziwiam. Nie potrzebujesz go pani apoteozować, on aureolą w oczach moich otoczony. Nie widziałem równego spokoju, zimnej krwi, odwagi, godnej lepszej sprawy... Człowiek ten imponuje mi; gdybyś mi pani pozwoliła być równie szczerym jak nią sama jesteś, tobym powiedział, że pani go nie jesteś warta...

— Doprawdy? Pod jakim względem, jeżeli wolno wiedzieć?

— Pod względem braku egoizmu, poświęcenia, jednostajności humoru.

— O, tak, tak, jesteś pan wytrawnym sędzią, znawcą serc ludzkich. Niech pan się zareczy z Willem i spróbuje jakie to wygodne życie, i potem zdanie wygłosi, proszę, bardzo proszę...

— Jest to nieco trudne do uskutecznienia.

— *Au fond* nie wiem dlaczego. Kiedy już koniecznie parami po świecie chodzić trzeba, to lepiej byłoby, aby się mężczyźni z sobą łączyli. Przynajmniej jakby przyszło do tyranizowania, do autokracji, nie byłoby tak nierównie sił podzielonych, nie byłoby tego ciemienia słabszych przez mocniejszego, co jest plagą i wstydem dla ludzkości... Czemuż ta

nieszczęśliwa kobieta wiecznie na ofiarę ma być skazaną?

— Ja słyszałem, że nieraz bywa przeciwnie, a szczególnie tu w Ameryce mówiono mi, że kobietom na głowie chodzić wolno, a mężczyzna wszystko znosi spokojnie, panie jesteście górą, a papiery waszych prerogatyw stoją bardzo wysoko.

— I pan wierzysz w takie banialuki?

— Patrząc na postępowanie pani względem pana Simpsona gotówbym uwierzyć.

— Doprawdy? Zkądże pan możesz sądzić o mojem postępowaniu względem niego? A! wiesz pan, że mi się podoba podobna arogancya.

— Przepraszam bardzo panią, nie sądziłem, że panią obrażę.

— To sławne! Powiedzieć komuś największą niegrzeczność i dziwić się jeszcze, że ten ktoś nie podziękuje nam za to. Może mam prosić pana o dalszy ciąg uwag w tym samym guście? Może mi pan powiesz, że na różgi zasłużyłam, że Willowi powinnam na dwóch łapkach służyć jak pudel, że on pan i król, a ja niewolnica, że mam wszystko znosić z uległością, kaprysy jego, fantazyje, dziwactwa. Co? Może mu usługiwać na klęczkach?

Piękna panna tak głęboko czuła się obrażoną, taki potok słów płynął z jej ust, takie iskry sypały się z jej oczu, że pan Naulet uznał za najstosowniejsze zamilknąć. Przeklinał tylko w duchu swoją gwiazdę nieszczęśliwą. Odezwać mu się nie wolno, ani głosu, ani oczu, ani woli własnej, wszystko to zmonopolizowała ta Kadyjka i co mu da wzamian? Od czasu do czasu uśmiech czarownicy, to prawda, ale uśmiech ten nie do niego się odnosi; na to się ukazuje na jej ustach, aby ową drugą ofiarę, nieszczęśliwego Anglika do wściekłości doprowadzić.

Żeby mu wolność przynajmniej oddać chciała. Pókiż on grać będzie tę komedią jako jej narzeczony.

To zaczyna doprawdy miarę przebierać. O rozmowie mowy być nie może. Któż, odgadnie jakie nieopatrzne słowo doprowadzi miss do irytacji? Ciągłe się stąpa po wulkanicznym gruncie, najniespodzianie wulkan wybucha i druzgoce wszystko co na jego drodze.

Ale bo też niepotrzebnie wziął w obronę mister Simpsona; Will nie wygląda na człowieka obrony potrzebującego; a to jest widocznem, że Mea nie znosi kontradykcji. Gdyby zamiast apoteozowania Willa, pan Naulet skrytykował go surowo, gdyby go z błotem zmię-

szał, zjeździł od ostatniego. Tu świetna myśl błysnęła Francuzowi. Naturalnie, będzie odtąd potępiać Anglika, to jedyny sposób. Jeżeli ten nie skutkuje, to „*je donne ma langue aux chiens*“ nigdy miss Mea nie zostanie mistress William Simpson. A jemu teraz bardzo zależało na zgodzie między swoją pseudo-narzeczoną i jej ex-narzeczoną, bo widział, że to jedyna droga do odzyskania wolności.

Po ostatnim wybuchu gniewu, miss Mea uspokoiła się i w zamyśleniu spoglądała na okolicę.

Francuz milcząc, także patrzył na jej piękny profil i mówił sobie, że nigdy piękniejsza głowa nie zawierała liczniejszego zastępu diawactw. Całe bataliony małych dyabełków zamieszkiwały wewnątrz jej duszy, a jednak, jednak i cherubiny być tam musiały, bo kto, jeżeli nie anioł spoglądał z jej czystych źrenic, gdy pogoda wewnętrzna przyświecała? Kto, jeżeli nie anioł kładł ten rozkoszny uśmiech na jej pełne, karminowe usta, gdy na czole nie burza, lecz spokój się malował.

Ot, w tej chwili, już cicho, już słońce musiało zaświecić w jej sercu, bo nazewnątrz wybija się radośnie, marzycielsko.



Śmieje się Mea, sama do siebie, Francuz zawsze milczy, bo nie ufa marcowej pogodzie...

— Jakie ze mnie nierozsądne stworzenie! — odzywa się piękna miss. — Nie rozumiem, dlaczego się tak unoszę... Pan mnie się bać musisz... Ja się temu nie dziwię, mogłabym odstraszyć ludzi na sto mil dokoła. Bo widzi pan ja się w marcu urodziłam, a czytałam gdzieś, że w głowie kobiety w marcu urodzonej wieczna tramontana wieje... Czasem wichur jest zimny jak lód, mrozi, odstrasza; czasem gorący jak ogień, pali i niszczy... A jednak niech mi pan wierzy, gdybym była szczęśliwą, to nie byłabym taka nieznośna. — I łzami zaszczyły oczy Mei.

— Czy to być może? Czyż pani nie jesteś szczęśliwą? Ja sądziłem, że jak kolibr kąpiesz się pani w promieniach słońca.

— Może tak było długo rzeczywiście, ale kolibry póty tylko szczęśliwe, póki się w tych promieniach kąpią, a nie umieją się ostać wśród burzy.

— Czyż pani byłaś kiedy na burze narażoną?

— Zewnętrzne nie, ale wewnętrzne.

— Mój Boże! Jakże mi pani żal. W takim razie przepraszam panią pokornie, bo źle panią sądziłem.

— Miałeś pan najzupełniejsze prawo do tego; jestem cierpką, nieznośną, wymagającą, kapryśną! No, musiałam się panu dać dobrze we znaki, a po każdym przewinieniu z mej strony, żal mi pana było, bo pan jesteś bardzo dobrym chłopcem.

Nigdy, najczulsze słowa, najpiękniejsze komplementa, jakie elegancki i szczęśliwy w miłości pan Naulet w życiu usłyszał, nie pogładziły go tak po sercu jak te kilka prostych a serdecznych słów Kanadyjki, aż poczerwieniał z radości.

Chciał podziękować, ale mruknął tylko coś niezrozumiałe, a miss Mea ciągnęła dalej:

— Muszę się panu przyznać do wszystkiego. Panu powiem, bo pan mężczyzna. Kobiecie nigdybym się z niczem nie zwierzyła, o! co nie, to nie.

— Ja myślałem, że pani wogóle potępiasz ród męski.

— To prędzej w teoryi, ale w praktyce nie. W praktyce wolę mężczyzn niż kobiety; po większej części więcej mają sensu w głowie, a mniej meskineryi. Gdy panu wyznam, że dlatego nad panem się znęcałam, że... bo...

— Dlaczego?.. Proszę śmiało mówić w czymże zawiniłem?

— Bo mnie zazdrość brała patrzeć na szczęście pana; ile razy pana widziałam, zawsze mi się wydałeś takim swobodnym, wesołym, równego usposobienia. Gniewało mnie, że ja tego samego nie potrafię.

— A to szczególne.

— To potworne! Ja wiem o tem. Ale gdy się panu do tego przyznam, to mi pan wybaczysz. Kobiecie nigdybym nie podobnego wyznać nie mogła, boby mi nigdy nie darowała. Ale, widzi pan, to nie wszystko. Pan byłeś tylko kozłem ofiarnym.

— Spalonym na cześć mister Simpsona... ja to odgadywałem potrochu.

— Odgadłeś pan. To szczęście, bo mnie łatwiej dopowiedzieć resztę, czegobym także kobiecie nie powiedziała, choćby to była rodzona siostra; niechbym jej wyznała, że mam serce przejęte żalem, niepewnością, obawą, to udawałaby, że ze mną współczuje, w gruncie rzeczy byłaby rada.

— To chyba zanadto surowy wyrok.

— Nie, panie; wszystkie kobiety są przepełnione meskineryą, to grunt ich natury, mianowicie Kanadyjki. My nic nie mamy w sobie szczerego, wspaniałomyślnego, szlachetnego;

mamy naturę parweniuszek. Wszystko u nas blahe, mierne, skąpe a błyskotliwe, a pawie próżne. Ja to wiem. O! niech pan nie przeczy, ja nielepsza od reszty. Tylko ja to znam do siebie, a większa część ani pojęcia nie ma o tem.

— Samo wyznanie pani dowodzi, że patrzysz przez powiększające szkło na swoje wady.

— To tylko taki chwilowy przystęp szczerości mnie napadł. Ja wprawdzie jestem szczerą, ale zwykle względem drugich a rzadko względem samej siebie. Drugim impertynencyą powiedzieć to mnie nic nie kosztuje, ale niechby się kto poważyl mnie podrażnić jednym słowem!... Jestem skończonem arcydziełem niedoskonałości — to fakt.

— Pozwoli sobie pani zaprzeczyć stanowczo, o ile to zewnętrznej powłoki dotyczy.

Miss łaskawie się uśmiechnęła, a Francuz pomyślał: „W każdym razie niespodzianki same mnie spotykają; ktoby się takiego wybuchu otwartości spodziewał po tej dziwnej istocie. Mądry, kto będzie wiedział czego się ma trzymać“.

— Czy pan wie, że ja jeszcze nie skończyłam spowiedzi?

— Wiem pani, ale nie śmiem być niedyskretnym; wolno się pani cofnąć.

— Jaki pan grzeczny, — tylko Francuzi potrafią z takim taktem postępować; jabym nigdy nie potrafiła. Wiem, że takt egzystuje, umiem go czasem rozpoznać, ale w praktyce nie mam pojęcia, co to jest. Wracając do rzeczy, wie pan, co mnie czyni taką zmienną, nieznosną w obejściu, niecierpliwą etc.? Pan nigdyby nie przypuścił, co się czasem we mnie dzieje.

— Zaciekawia mnie pani.

— Pan pewnie myślisz, że ja Willa nie cierpię?

— To właśnie zagadką było dla mnie; nie rozumiałem.

— Otóż tak nie jest. Ja go kocham, ale to mnie unieszczęśliwia.

— Czyżby on pani nie kochał?

— Gdzietam! Przeciwnie; on mnie także kocha, ale ja się tego muszę sama domyślać. Czy pan uwierzy, że ten człowiek odkąd jesteśmy narzeczeni, nigdy mi serdecznego słowa nie powiedział, nigdy zazdrosnym o mnie nie był, nigdy mi sceny nie zrobił, nigdy wymówki. Jeden dzień jak drugi, — zawsze to samo. Mnie to znudziło wkońcu; powiedziałam sobie, że musi być zazdrosnym, że musi mi scenę zrobić, że go wyprowadzę z jego spokoju. Znęca-

łam się nad nim, niema tej impertynencyi, której-  
bym mu nie powiedziała, on nic — ze stoicznym  
spokojem wszystko znosił. Niech sam pan po-  
wie, czy to jest miłość? Jakże ja mogłam być  
szczęśliwą? Cochwila mi przychodziło do głowy,  
że on o mnie nie więcej dba, jak o te klony,  
któremi handluje. To mnie dręczyło, to mnie  
prześladowało dzień i noc; formalna halucynacya  
ztaąd wynikła, w *idée fixe* się to zamieniło. Po-  
wiedziałam sobie, że muszę *en avoir le coeur net*.  
I pan padłeś ofiarą tego wszystkiego, tem bar-  
dziej, że pan zanadto wydałeś mi się szczęśli-  
wym w porównaniu do mnie. Ale to, to już  
meskinerya kanadyjska.

— Mniejsza już o mnie, tylko proszę mi  
powiedzieć, czy dzięki kozłowi ofiarnemu ubyło  
pani ciężaru z serca?

— Sama nie wiem, co o tem sądzić. Tak  
i nie. Gdyby Will nie był zazdrosnym, to prze-  
cież nie byłby się snuł za mną jak cień nieod-  
stępny; gdyby mnie nie kochał, toby po mój  
plaid w wodę nie wskakiwał i nie schodziłby  
za mną do tego piekielnego kotła, — brrru!...  
aż mnie dreszcz jeszcze przejmuje. Dyabeł mnie  
tam popchnął; dziwię się, że mi karku przy  
tejsamej okazji nie skreślił, zasłużyłam na to.

— Więc po takich niezbitych dowodach

pani jeszcze wątpisz o miłości mister Simpsona?

— Wątpię; bo żeby mnie prawdziwie kochał, to byłby powinien pana zgnieść, zmiażdżyć; byłby powinien po uratowaniu mnie od niebezpieczeństwa nie puścić mnie więcej, przemocą zatrzymać, gwałtem, a on ignorował mnie zupełnie.

— Czy pani pozwolisz mnie także być szczerym?

— Ależ naturalnie, proszę.

— Mnie się zdaje, że mister Simpson postępując tak a nieinaczej, ma do tego bardzo słuszne powody. Gdyby się pani sprzeciwił w czemkolwiek, gdyby panią wyraźnie zazdrością prześladował, gdyby panią przemocą, gwałtem zatrzymywał, dawno byłabyś mu się pani wymknęła. On wie, że pani sprzeciwiania się nie znosisz, że nigdybyś przemocy nie zniosła; więc postępując tak a nieinaczej, dowodzi wytrawnej znajomości natury pani, a więc i prawdziwego przywiązania.

— Czy pan tak doprawdy mówisz? z przekonania głębokiego?

— Najgłębszego.

— Ale co tu począć teraz? On pierwszy nie zbliży się do mnie, nie przeprosi, a ja wo-

łałabym głową naprzód w *la Chaudière* się rzucić, niż o zgodę prosić po tem, co zaszło.

— To zależy od tego, co zaszło. Jeżeli wina leży po jego stronie, to, o ile go znam, on pierwszy krok robi.

— Oho! on nie taki głupi, aby winę po swojej stronie zostawić. Wina nigdy nie jest po jego stronie, i to mnie właśnie tak okropnie upokarza.

— Jeżeli pani zawiniłaś, wypadaloby zbliżyć się pierwszej do niego i rękę wyciągnąć.

— Panie! na tę samą myśl wszystko się we mnie buntuje.

— Ależ pani umiesz tak rozsądnie zastanawiać się gdy chcesz. Jeżeli raz winę uznajesz w sobie, toć godnem pani byłoby takie zwycięstwo odnieść nad sobą, a dla dobra miłości, szczęścia, poświęcić próżność.

— To byłoby zanadto szlachetnie na Kanadyjkę. Nie, ja się na to nie zdobędę, to nie leży w mojej lichej naturze, to wyższe ode mnie.

— Więc cóż z tego będzie?

— Albo ja wiem?

— Trzeba się prędko namyśleć, bo już dojeżdżamy do portu; za godzinę znajdzie się z nim pani *vis à vis* przy stole.

— Jak mnie pan zachęcasz i pędzisz! mu-



siała się panu strasznie sprzykrzyć służba u mnie.

— Niechże pani tego nie mówi. To jest doprawdy nieszlachetnie znęcać się nad „kozłem ofiarnym“. Pani czujesz to dobrze, że gdybym nie wiedział jaką gram rolę, że gdybym nase-ryo brał tę, jaką mi pani wyznaczyłaś, to byłbym nad wyraz szczęśliwym.

Miss się cudnie zarumieniła i po amerykańsku spojrzała na niego. Niepoprawna natura! Willa kocha, ale co to szkodzi po drodze Francuzowi trochę głowę zawrócić? To może me-skinerya, ale na taką jednak to już nietylko Kanadyjki, ale i inne piękne panie ze świata całego się zdobywają.

W salonie na statku „Montreal“ Mea gra.

Salon *al giorno* oświetlony, grono Yankesów i Kanadyjczyków otacza fortepian i cieszą się, nie dlatego aby muzyka pięknej miss była równie piękną jak ona. Mea należała do tych, co zlekka tylko uprawiały talent muzyczny, o tyle, o ile nie potrzebuje podpory gam, etud, passaży etc.

Repertuar jej ograniczał się na *Home sweet home*, kilku irlandzkich melodyach i *Yankee Doodle*.

Ile razy Yanke Doodle swoją posiekaną melodyą wypływał ponad szmer głosów ludz-

kich, tyle razy Mea brawo dostawała; bo ci wszyscy panowie choć nie prezentowani, w oczy jej spoglądali życzliwie lub zalotnie; to zależało od wieku i położenia towarzyskiego. POCO się mieli prezentować? Coto miss Meę może obchodzić, czy ten długi, chudy jegomość zwie się mister Black czy White; czy tamten o nieco przybrudzonym krawacie i zmiętym kołnierzyku nazywa się mister Long czy Short. Tylko takie przerafinowane umysły jak europejskie, mogą mieć jakąś satysfakcją w deklinowaniu cudzego nazwiska.

W Ameryce nazwisko nic nie mówi, a czy ono mówi co w Europie? Kto to zgadnie? Kto to powie?

Faktem jest, że miss Mea swoich towarzyszków podróży traktuje jakby ich znała oddawna, uśmiecha się do nich a muzyka nie przeszkadza jej żartobliwie do tego i owego się odezwać, choć godzinę temu dopiero znaleźli się z nią razem na statku.

„Montreal“ płynie do swego rodzinnego miasta, a Yankee Doodle uprzyjemnia towarzystwu nieco długą podróż.

Miss Mea śpiewa prawie zrozumiałą francuszczyznę.

*Yankee Doodle tiens toi bien,  
Et sois sur tes gardes,  
C'est une bande de Canadiens,  
Qui vient te surprendre.*

Kilku Yankesów obecnych nie rozumie dosłownie wyrazów francuskich, ale nauczeni od dawna znaczenia tego groźnego wyzwania, odpowiadają na tęsamą nutę:

*Yankee Doodle went to town,  
Riding on a poney,  
Took Canada in his pocket,  
And ate macarony\*).*

Głęboka myśl, ukryta w tej narodowej pieśni, mniej przemawia do imaginacyi cudzoziemca, ale jest widocznie nieocenionym skarbem dla krajowców. Więc też kuplety napełniały werwą i brawami cały salon.

Ożywienie młodej miss udzieliło się najsztwniejszym pasażerom, a pan Naulet przyglądał jej się z boku i szukał przyczyny tej wesołości

---

\*) Yankee Doodle na koniku,  
Pojechał do domu,  
Wziął Kanadę do kieszeni,  
I zjadł makaronu.

szczerej, serdecznej. Szukał ale nie mógł odnaleść, bo zanadto pilne oko zwracał na nią a za mało przyglądał się mister Simpsonowi, który przy obiedzie jadł mało, był widocznie pochmurny, pił niewiele, a teraz siedział w rogu salonu zamyślony, ani gazety nie trzymał w ręku, ani rozmowy z nikim nie prowadził. To rzecz niezwykła.

Takiego widoku nie oglądała jeszcze piękna miss, odkąd poznała mister Simpsona. Smutny jest i przybity. A więc tryumf odniosła Mea nad tym hardym człowiekiem; gdzież się podziela jego obojętność? jego spokój olimpijski?

Dlatego Mea taka promieniejąca, tryumfująca!

Skończyła grać i śpiewać. Powiekami miała oczy przysłonione i długą rzęsą; teraz uniosła powieki wysoko, rzęsy niby ciemne chmurki nad dwoma gwiazdami zawisły, a gwiazdy skierowały się w długim, serdecznym spojrzeniu ku tej stronie, gdzie Will w cieniu ukryty dumał; nad czem? O! miss Mea dobrze wie nad czem.

Nie było dziwny zbieg okoliczności, że oczy mister Simpsona spotkały się z oczami miss Sidney, ani nawet magnetyzm nie grał w tem

roli. Bo wzrok młodego gentlemana nie spuszczał na jedną chwilę z uwagi klasycznych rysów miss, nie mógł więc stracić tej długiej, cudnej, wymownej poezyi, jaką ex-narzeczona poprzez salon, ponad głowy Yankesów, ku niemu wysłała.

Jeżeli lód, wosk i wiele innych rzeczy topnieje pod promieniami słońca, to cóż dopiero serce Willa pod promieniami oczu Mei. Od jej spojrzenia żarem rozgorzał młody gentleman, a takie słodkie, miłe, urocze ciepło obejmowało całą jego istotę.

Po owej przelotnej rozmowie oczu siła atrakcyjna poczęła zbliżać zwaśnionych ku sobie.

On poszedł na pokład, ona także; ale na pierwszym piętrze falującego pałacu zawiele było osób, więc ona weszła na drugie piętro, on także.

Francuz zauważył te manewra, ale nietylko że im nie przeszkadzał, przeciwnie, gotów był trupem położyć tego, ktoby się ośmielił dążyć za rozkochaną parą. „Położenie trupem“ było tylko teoretyczne, bo pan Naulet trupów nie lubił, ale niemniej sprawował urząd Anioła Stróża, zatrzymując pod różnemi pretekstami tych, co okazywali ochotę wyżej podążyć.

Mea oparła się o tęsamą balustradę, z któ-

rej kiedyś plaid jej w nurtach rzeki utonął. Stała tak, opromieniona blaskiem księżyca i myślała: „Przyjdzie czy nie przyjdzie?”

Gdy ukazanie się Willa dało odpowiedź na jej pytanie, myślała znowu: „Ciekawa jestem, czy się do mnie zbliży?”

Ale on wyciągnął się tak, jak dwa dni temu na długim krześle. Nieruchomy siedział i dumiał. Czemu ona tak spojrzała na mnie? Może jednak dba o mnie choć trochę? Może ten Francuz to tylko pretekst do dręczenia mnie? Myślałem, że tak jest póty, póki jej nie pożegnałem nad wodospadem; ale jeżeli w owej chwili nie miała dosyć serca, aby mi rękę uścisnąć i jedno słowo uznania wyrzec, to już dowód być musi, że o mnie nic nie dba. To spojrzenie jednak! Ba! ona taka kokietka; ona w chwili śmierci jeszcze ludzi bałamucić będzie, — tak sobie dla sportu. Onaby flirtowała z Irokezem i z *peau rouge* dla satysfakcyi artystycznej. Spojrzała tak na mnie, bo chciała wypróbować siły swych oczu. Kiedy się zerwałem jak oparzony uciekając zpod jej wzroku, to już ma dosyć owej próby. Ot, jakieto głupstwo kochać ładną kobietę; praktyczny człowiek tylko brzydką powinien oceniać. *God dam!* To czary jakieś. Żebym ja się też nie mógł wykurować z takiej

idyotycznej choroby. Idyotą się zrobiłem kompletnym. Alboż jedna rozsądna myśl powstała w mej głowie odkąd tę dziewczynę poznałem? Wszystko dyabli wzięli. Gdyby mi kazała w piekle w piecach palić, tobym palił. *Bad luck!* Ani rusz otrząsnąć się z tego. Toż ona mną pomiatała jak wiatr suchym liściem, aż wstyd. No, i przestała pomiatać, a mnie życie tak obrzydło, że *upon my word* wolałbym odrazu pójść na dno rzeki.

W tejto właśnie chwili rozpaczliwego spleenu, mister William uczuł na oczach swoich dwie małe rączki, i zanim zdążył zapytać, zanim zdążył je odjąć, głos dobrze mu znany odezwał się.

— Zgadnij Will ktoto taki!

— Mea! — zawołał, i już jej drobne dłonie trzymał silnie w swem ręku. Głowę w tył przechylił; miss Sidney swoją główkę naprzód pochyliła i patrzyli tak na siebie chwil kilka.

— *O! you naughty girl* — co ty ze mną wyrabiasz? Czy ci nie żal tak dręczyć ludzi? — zapytał mister William, a ona na to:

— Co za szczęście, że mi się udało. Skradałam się tak powoli, pocichu, tak się bałam, abys głowy nie odwrócił, ale ci zrobiłam niespodziankę. Przyznaj, że miła niespodzianka?

— Czy tylko naseryo? Meo pamiętaj, że

jeżeli to żarty, to, to się nie godzi — mówił Will z wyrzutem w głosie a taką prośbą w oczach.

— Więc ty byłeś nieszczęśliwy? Przykro ci było? Doprawdy? *Poor boy.*

— Jeżeli ci o to chodziło, to się ciesz; gniazdo żmij miałem w sercu. Czy byłem nieszczęśliwy? Myślałem, że oszaleję, niegodziwa dziewczyno.

— Ach! Jak to dobrze. Ja się tak cieszę, bo widzisz już teraz będę spokojna, że mnie kochasz. *Poor boy.* Ale nie gniewasz się już na mnie, co? Powiedz.

— Cóż ty z tym Francuzem poczniesz? Przecież nie wyobrażasz sobie, abym mu pozwolił tak dalej ci asystować. To jednak było szkaradnie z twojej strony. On ci tego nie przebaczy, a mnie żal człowieka.

— Tylko się tak nad nim nie lituj. Tak mu się służba u mnie uprzykrzyła, że gdybym mu sama dymisy nie dała, uciekłby lada dzień, urwałby się z łańcucha. Ty nie wiesz jaka ja byłam nieznośna dla niego, a to wszystko dlatego, że byłam zła na ciebie.

— Czy uznajesz teraz, jak niesprawiedliwie?

— Mój biedny chłopcze, już się na mnie nie gniewaj, daruj mi. Zobaczysz, będę taką



wzorową żoną, konfiturami karmić cię będę, osłodzę ci każdą chwilę goryczy, jakiej byłam powodem.

— *My darling!*

— Ty taki odważny jesteś! Ja nigdy nie zapomnę twojej bohaterskiej śmiałości; z taką zimną krwią idziesz w niebezpieczeństwo. Durna jestem z ciebie. Okropnie trudno mi było zrobić pierwszy krok do zgody; to największy dowód miłości, jaki ci dać mogłam.

— Dziewczyno! Nie czaruj mnie tak, nie śmiej się tak do mnie, nie patrz tak na mnie, bo oszaleję.

— Ale ze szczęścia, co?

— Pewnie, że ze szczęścia. Czy ja sam wiem z czego? Kocham cię! *I love you. I love you, my own darling girl.*

Księżyc obojętnie dosyć patrzył na tę zakochaną parę, bo od tylu tysięcy lat będąc świadkiem podobnych scen, okropnie jest zblazowany staruszek, ale obowiązek swój spełniał święcie, srebrne smugi światła rzucając na twarz pięknej miss i jej ukochanego, na wzgórze ciche, klonowe, na nurty spokojnej rzeki, na białe balkony statku.

„Montreal“ mknął po wierzchu osrebrzonych fal, taki lekki, eteryczny. Wszyscy do snu się

pokładli, tak cicho było dokoła, tylko szmer  
wyrazów słodkich, czułych, płynących z dwojga  
serc zakochanych, łączył się ze szmerem roz-  
pryskujących się kropli wody i z tajemniczym  
szepem całej natury....



W SERCU GARBUSKA.

<http://rcin.org.pl>

*A mon porte-bonheur.*

Nieznośny, antypatyczny był pan Walery  
Markusz.

Wszyscy go nienawidzili i drwili z niego,  
ale nigdy w oczy, bo go się bali — tylko za  
oczami.

Za oczami nie było tego przydomku, jakimby  
go nie obdarzono; rozumie się, że przydomki  
te były w ujemnym gatunku.

— Ten Markusz to potwór prawdziwy.

— Nikt nie widział podobnego dziwoląga.

— Ja na niego podanie napiszę. To utra-  
pienie z podobnym urzędnikiem. Nikt z nim  
do ładu nie dojdzie.

— I święty ze skóryby wyskoczył z tym  
bałwanem, z piekła rodem.

— Ja go zaskarżę. Trzeba go ztąd wyfo-  
rować.

— Ja wam mówię, że w tym jego garbie  
dyabeł siedzi. Jemu źle z oczu patrzy.

Pan Walery był garbatym, szpetnie garba-

tym. Ludzie mówią, że od urodzenia; on dowodzi, że z wypadku, podobno spadł ze schodów będąc dzieckiem. Faktem jest, że plecy jego wypukłe zdawały się grozić każdemu, kto się trzymał prosto i nie potrzebował wyjątkowego kroju surduta.

Ręce chude, kościste, długie, o czerwono-sinych palcach, ramiona w górę wzniesione, jak gdyby wieczyście ruch pogardy dla całego świata wykonywały, głowa spiczasta, na niej włosy krótkie, do góry podczesane, twarde. Kobiety twierdziły, że koleczaste i „jeżem“ go nazywały. Twierdziły na domysł, bo nigdy kobieca ręka nie dotknęła tej sterczącej czupryny. Ale kobiety tak są nieubłagane dla brzydoty... no, i mężczyźni także.

Głowa Markusza stożkowatą miała formę, a i twarz cała do trójkąta była podobną.

Jednak nawet potwory nie potrafią być doskonałymi w swej potworności, bo tak oczy, jak usta, jak nos garbuska ładne były, zdawały się nienależać do niego. Niby ich zapożyczył od kogoś, co miał proste plecy i prawidłową figurę.

W mieście W. jednak nikt dotąd nie odkrył owych pięknych rysów. Słyszę pana Wil-

czaka, miejscowego nauczyciela, jak mówi z pogardą:

— Co? paniulka chyba żartuje? Ten potwór ma piękne rysy? Niech też paniulka nie kpi z ucziwych ludzi. W nocy go się przstraszyć można.

To samo twierdzi pan burmistrz, a wiadoma rzecz, że burmistrze słusność mieć powinni.

Pani Kowalczyk a także i pani Kosmarek (jej mąż jest posługaczem w miejscowym handlu korzennym), tak dalece odmawiają panu Waleremu pięknych oczu i nosa, że prędeej przyznałyby urodę Mefistofelesowi. Notabene trzeba uwzględnić miejscowe pojęcia. Kobiety w mieście W. nie wiedzą jeszcze o tem, że płeć żeńska dzisiaj zwykła sobie wyobrażać Mefistofelesa uroczego i pełnego ponęty. Im piękniejszy, tem bardziej szatański urok roztacza.

Ale w W. Mefistofeles postaremu ma jeszcze rogi koźle na głowie, kopyta zamiast nóg, dziób sowi zamiast nosa, oczy lisie i pazury krogulcze.

Co do koloru jego skóry, nie mogą się jednak pogodzić białogłowy z W. Pani Kowalczyk trzyma się starego systemu, że dyabel

wogóle jest czarny, ponoś dlatego, że się w piekle na węgiel spalił.

Pani Kosmarek dowodzi, że jest zielony, bo takim go widziała jeszcze w dzieciennych latach w latarni magicznej, a i dotychczas zawsze latarnia owa zielonym go przedstawia.

Kto maluje latarnie magiczne? Oczywiście malarz!

Otóż tacy ludzie powinni przecież wiedzieć, jak dyabeł wygląda.

Pani Walusiak jednak stanowczo innego jest zdania. Dyabeł jest czerwony. Tak, czerwony, bo się na nim odbijają płomienie ognisk piekielnych.

Pani Walusiak ma umysł analityczny, porównawczy, i na pewnych danych opiera swoje argumenta.

— Kiedy jesienią powidła smażyłam — mówi ona — a cała kotlina w jednym była płomieniu, to powiadam, taki żar szedł ztamtąd, a tak piekło, że to powiadam, aż buchało... Drew dokładałam ciągle, boto powiadam, z temi śliwkami to czysta bieda. Smażyć i smażyć, i skwierczy i skwierczy i — ani rusz. Ale powiadam, tak buchało, co drew poszło, la Boga! co drew! To powiadam — ojoj!



— No, to i co? A taki buchać może, a dyabeł nie potrzebuje być czerwony?

— Jakto nie czerwony? Powiadam, czerwony. Jakem tak stała wedle kotliny a i Kaśka Wincentowa stała także, aż tu patrzę, cała czerwona. Nos czerwony powiadam, no, czerwony, jak flanela nieprzymierzając. (Pani Walusiak tylko czerwonej flaneli używała).

— Ojoj! jaki czerwony.

— Juści czerwony, kiedy Kaśka już ma taką urodę.

— Otóż, że nie urodę. Powiadam, jak zacznie się chylić pod kotłem, a tam skwierczy i skwierczy. Co to utrapienia z temi powidłami, powiadam. Ojoj! No, jak ci Kaśka od ognia cała była czerwona, to dyabeł takóż. Co dyabeł lepszego od Kaśki? He?

— Kto mówi, że lepszy?

— Kaśka lepsza — powiadam. Niezła dziewczucha. Tak ci poczerwieniała, powiadam, że strach. Ojoj! Powiadam:

— Kaśka, a dyć ty niby flanela, taka czerwona!

— Abo pani nie? — mówi ona. — Idę ja do kubła z wodą i powiadam takusienka jak Kaśka. Myślę tedy, kiedy Kaśka czerwona od

ognia i ja czerwona, to i dyabel czerwony — powiadam. A bo nie?

— Juści, że chyba tak — odparła pani Grzegorzowa, która nie należała do żadnej partji — szukała tylko ciekawie, gdzie prawda. Okropny chaos zapanował jednak w jej głowie, gdy takie trzy odmienne wersje obily jej się o uszy. Z tego to powodu miała nawet straszne widzenie w nocy. Zmora ją dusiła, w postaci dyabła czerwonego, zielonego i czarnego, a że cała ta dyskusya poszła od garbuska, więc i on także przyśnił się biednej Grzegorzowej i nazajutrz na pocztę iść nie chciała, choć ją Walek kamerdyner-stangret pana reagenta napędzał do tego prośbą, a bodaj czy nie i groźbą nawet.

— Nie pójdę — mówiła — jeszcze mnie ta żmija urzeknie.

Pan Walery był urzędnikiem pocztowym. Biuro, w którym przesiadywał od godziny ósmej z rana do szóstej po południu nie różniło się pozornie od wszystkich innych biur. Podłoga z desek niezupełnie dopasowanych, zdających się boczyć na siebie, tu i owdzie szpara, świadcząca o tem, że matka ziemi wśród zimy, dziwnie mrozi nogi swoim dotknięciem. Sufit, na którym ślady igraszek i zapasów muszych

i pajęczych. Dwa okna, takie sobie okna, bez wyrazu, tuzinkowe. Snać nikt przez nie nie spo-gląda. Ani na nich doniczek z kwiatami, ani nad niemi firanek, a szyby rzucają żółtawo-zielony odbłask na wszystkie przedmioty i starają się nawet piękny świat Boży oszpecić temu, który się do nich zbliży.

Podobne w tem do tych ludzi, a i do pana Walerego, który na co raz spojrział i na co uwagę zwrócił, oblekał to zawsze cieniem albo osobistego cynizmu, albo mizantropii; widać źrenica jego oka podobna była do zielonawej szyby pocztowego biura.

Biuro pana Walerego znajdowało się tuż przy wejściu i odznaczało się czystością wyrafinowaną. Pyłka kurzu niktby na niem nie dostrzegł, obite było nawet suknem, a niktby się nie domyślił, na wiele finezyi zdobył się garbusek, aby to sukno wytargować u pana naczelnika.

Plamy z atramentu nie było można na niem dojrzeć, papiery, starannie poukładane, świadczyły, że pan Walery jest zwolennikiem symetrii. Mało powiedzieć zwolennikiem, on był jej czcicielem. Wielbił symetryą; dla niej żył, podług niej układał wszystkie swe czynności; w sercu jego dotąd symetria królowała.

Nie dziwnego, że ta jego namiętność nie została zrozumianą przez ogół śmiertelników. Takie pochłaniające upodobanie i to upodobanie nie do wódki, albo kart, albo wogóle pohulanki, nigdy zrozumianem nie bywa. Nie dziwnego! Żaden rozsądny człowiek nie uzna wyższości symetrii nad pohulanką, chyba mu piątej klepki brakowało.

Otóż to właśnie, całe miasto W. zgadzało się na to, że panu Waleremu piątej klepki brakuje.

Pan aptekarz przysłał list rekomendowany przez swego posługacza. Pan Walery odbiera go i poczyną oglądać uważnie. Posługacz, tak zwany mądry Józek, cierpnie przy tych oględzinach.

— Juże ten pokraka cegoś suka, pewnikiem listu nie weźmie, a ty Józek lataj drugi raz, drzyj buty a juz i od pana aptykorza cosik oberwies.

Tak rezonuje w głębi duszy i ma słuszość.

— Adres niewyraźny. Nie przyjmuję. — Zawyrokował garbusek, a wręczając list Józkowi, schylił się nad jakąś grubą księgą i nie spojrział nawet w stronę nieszczęsnego kuryera aptekarskiego.

— To niech pan dopise — poderwał Józek — ale garbusek głowy nie podniósł.

— Jo nie odnese listu, pan się bydzie gniewał.

Ale co tam gadać napróżno, prędzejby biuro odpowiedziało, niż pan Walery.

Zaklął Józek i poszedł; we drzwiach spotkał się z panią Kowalczykową, stróżką u pani nauczycielowej, tą, która to wyobrażała sobie dyabła czarnym.

— Wracalibyśta lepiej Kowalczykowa; pokraka nie chce godać, źle mu ze ślipia patsy.

— A cóże to? Bać się będę, czy co? At, Józek, głupiś.

I weszła odważnie na pozór, ale w niej serce drżało, bo się bała, żeby jej garbus nie urzekł.

— Proszę pana, tu jest paczka od pani nauczycielowej dla Staśka. To cosik trzeba zapłacić.

— Dawajcie.

I znowuż ogląda.

— Nie napisano od kogo.

— Od pani nauczycielowej.

— Odnieście.

— O la Boga! Coże to pan z niczego nie kontent.

Ale garbusek już nie słucha, pisze, a pisze w grubej księdze.

— Mógłby też pan napisać; rękaby nie odpadła, pan zna panią Wilczakową.

Głuche milczenie jej odpowiada, słychać tylko zgrzyt pióra na papierze, a garb wznosi się tryumfująco, jak gdyby się naigrawał z pani Kowalczykowej, choć miała plecy proste.

— Co to pan głuchy, u licha?

Pan Walery milczy.

— A bodajbyś naprawdę ogłuchł... i pani Kowalczykowa trzasnęła drzwiami aż biuro zadrgało.

Pan Walery uśmiechnął się tylko złośliwie: a serce jego radowało się myślą, że komuś dokuczył.

O! bo jeżeli mieszkańcy miasta W. nienawidzili garbuska, to i on ich nienawidził. Nie raz mówił sobie:

— Poczekajcie zwierzęta, odplacę ja wam!

Zwierzęta, byli to wszyscy ci, którzy garbu nie mieli, a jak zamierzał im odplacić i co, sam niebardzo wiedział. Czuł tylko, że gdyby mu danem było garb swój rozmnożyć na kilkanaście tysięcy garbów, gdyby mógł nimi opatrzyć wszystkie te „zwierzęta“, a samemu sta-

nać prostym wobec nich, to za chwilę taką oddałby swoją cząstkę wieczności szczęśliwej.

O wieczności niebardzo on rozmyślał. Wierzył wprawdzie, że jest Bóg, chociaż pan naczelnik był innego zdania, chciał wierzyć nawet, bo tym sposobem wiedział, kogo się cześcić i kogo obwinić o swoje kalectwo. Wierzył tedy, ale tylko w celu, aby wygrażać nawet niebu samemu i wszelkim potęgom nadprzyrodzonym.

Niecierpiał ludzi, niecierpiał świata, nienawidził pana naczelnika, nie mógł znieść swoich kolegów, nie lubił nawet drzew i kwiatów i słońca i łąki na wiosnę; a jeżeli oczy jego z upodobaniem kiedy zatrzymały się na kwiatkach lub jeziorku promienistym o zachodzie słońca, to je prędko odwracał z pogardą, a żalem w duszy.

Nienawiść ta wzrastała u niego z dniem każdym; nawet na nieme stworzenia ją przenosił.

Kiedy napotkał psa kulawego, a pies nie zdążył mu zejść z drogi, to go kopnął.

Raz, nawinał mu się młody wróbel, jeszcze nie wypierzony, snać wypadł z gniazda. Garbus wróbla schwycił, zgniótł w rękę i do wody wrzucił. Gdy mu raz krowa weszła do ogródka,

to ją tak zbił, tak kijem obłożył że mało nie padła nieboga. Bo pan Walery miał ogródek, mieszkał za miastem i posiadał własny domek, raczej chatę, a wkoło niej ćwierć morga gruntu; ale nigdy tam nic nie rosło, bo on miał swój urząd, więc nie miał czasu uprawiać, a nie było nikogo, coby chciał pójść w służbę do garbusa.

Miał on jednak swoje rozkosze, a to kiedy spotkał kulawego, albo ślepeca.

— Nie mnie jednemu... — mówił sobie — nie mnie jednemu!..

W tej rozkoszy brzmiała jedna myśl jeszcze... Jaki to Pan Bóg dobry! Oo! księża mówią, że dobry. Oj! księża!.. — A w tym domyślniku cały zapas tytułów się mieścił.

Cieszyło to garbusa, że się trafi tu i owdzie taki jak on kaleka, bo go to utwierdzało w przekonaniu, że Bogu wymyślać można, kiedy nie-litościwy.

Oprócz tej rozkoszy, miał jeszcze drugą, kto wie, czy niewięcej wyrafinowaną: na złość robić ludziom o prostych plecach.

Kiedy taki Józek, albo Kowalczykowa wymyślali, to jemu serce rosło; a gdy mógł się do czegoś przyczepić i dwa razy odesłać do domu list lub posyłkę, to już przyznawał przed sobą, że bywają dobre chwile na świecie.



Nietylko nienawiść popychała go do szukania zaczepki w ten sposób; jego mania symetryczna bardzo go utwierdzała w takim postępowaniu.

Najprzykrzejsze chwile jego urzędu bywały, gdy musiał odebrać list krzywo zaadresowany.

Miewał wtedy pokusy tak wielkie do zwalczania, że nałogowy pijak nie więcej walczy z sobą, gdy odsuwa kieliszek koniaku.

Namiętność szeptała mu:

— „Nie przyjmuj; powiedz, że poczta nie odbiera listów krzywo zaadresowanych“.

Ale rozum dowodził:

— „Nieprawda! Przyjąć trzeba... Stracisz urząd“.

A stracenie urzędu było dla pana Walerego największym postrachem. Nietylko dlatego, że wiedział, iż jego chata jeść mu nie da, ale i dlatego, że skończyłyby się wtedy chwile słodkiej zemsty nad prostemi plecami. Nieraz zastanawiał się, czy mógłby dokuczać ludzkości w jakiś inny, bezpośredni sposób. Nie! rozumiał dobrze, że nienawiść jego zostałaby wtedy bezsilną, bezowocną...

Tak tedy przyjmował listy krzywo zaadresowane, nawet z błędem ortograficznym cza-

sem. Ale co za burza wrzała wtedy w jego sercu! Co za walka pomiędzy namiętnością a rozsądkiem!

Przez pewien czas rozszerzał on sobie nawet zakres przywilejów: nie mógł znieść marki pocztowej, przyklepionej tu, tam, albo ówdzie, na kopercie.

— Marka źle przyklejona — mówił swoim suchym, urywanym głosem.

— A gdzie ją przykleić?

— Z góry na prawo.

— To niech dziś tak idzie, boby się zmarnowała.

— Nie można.

Z tą marką, z góry na prawo, o mało że sobie wielkiego kłopotu nie narobił.

Przez tydzień cały odesłał tak ze dwadzieścia listów, pod pozorem marki w niestosownem miejscu przyklejonej. Jednak pan naczelnik dowiedział się o tem, bo raz i drugi i trzeci poskarżono się przed nim na garbusa. Na admonicyi się jednak skończyło — z ostrzeżeniem.

Pan Walery nie przekroczył odtąd granic, dozwolonych ku turbacyi ludzkości. Groził tylko niebu i ludziom w sposób wyrazistszy niż zwykle.

W takiej to właśnie chwili wewnętrznego buntu, zjawiała się w biurze pana Walerego Marcysia.

Marcysia miała lat ośmnaście, płowe włosy zaczesane „symetrycznie“, gładko nad czołem, miała oczy siwe, z gołębim wyrazem, miała rumieńce świeże na licach i nosek prosty i usta pełne, karminowe.

Ubrana była w suknię perkalową, brunatną i ładnie jej w niej było, bo jej było we wszystkim ładnie. Niosła w ręku list, lak i pieczętkę.

— Dzień dobry — rzekła wchodząc, a głos miała taki jakiś dziwny, że i węże jadowite byłaby nim ugłaskała.

Panu Waleremu rzadko kto mówił „dzień dobry“ wchodząc, a to z tej przyczyny, że on nie odpowiadał na żadne powitanie.

Dzisiejsze „dzień dobry“ dziwne wywarło skutek, bo pan Walery podniósł oczy na Marcysię. Zwykle zaś, interesant stał przy biurze od dawna, zanim on raczył zwrócić na niego uwagę.

— Dzień dobry — odburknął lakonicznie.

— Czy można oddać pieniądze? — pytała dalej Marcysia śpiewnym swoim głosem.

— Można.

— Pięć rubli, proszę pana.

Pan Walery uważnie kopertę zaczął oglądać.

— Adres trzeba położyć...

— Ja właśnie chciałam prosić, czyby pan nie zaadresował...

Pan Walery spojrzał na nią z ukosa. Wprawdzie rozum mu szeptał: „No, dalejże, wypraw ją, czego ona tu stoi i czas ci zabiera?” Ale namiętność przycichła... Może pod wpływem tego czarodziejskiego głosu zapomniał pierwszy raz symetrii i zemsty nad ludźmi.

Marcysia coraz bardziej była zmieszana i jęła tłumaczyć:

— Bo widzi pan, ja tu obca; wczoraj dopiero przyjechałam. Mam szyć wyprawę dla panny sędzianki, ale siostra chora w Warszawie, więc widzi pan obiecałam, że... że pieniądze... pięć rubli...

— Proszę! — sucho wyrzekł pan Walery, a garb jego tak się dziwił, tak się dziwił; zdawał się ze swego rodzzonego właściciela szydzić.

— Jaki adres?

Marcysia dyktowała, a pan Walery pisał.

Jeszcze się nie zdarzyło w biurze nic podobnego. Więc też promienie słońca przez zielone szyby ciekawie zaglądały i z garbu pana Walerego biegły na twarzyczkę Marcysi, a mury

same zdawały się dziwić i szpary w podłodze, i krzesło na którem garbusek siedział i mówić: „No, patrzcie państwo, jakie czasy! jakie czasy!”

— Bardzo panu dziękuję i przepraszam bardzo; bo widzi pan, ja tu nikogo nie znam — zdawała się śpiewać Marcysia. — Pan musi mieć tyle do roboty, a ja tylko czas zabieram — mówiła dalej.

— Nie szkodzi.

Powiedział: „Nie szkodzi“. Doprawdy, że powiedział! Aż garb się zdumiał i miał pierwszy raz ochotę schować się w myszę dziurę ze wstydu za swego pana. Jakiś mniejszy się zrobił, pokorniejszy, potulniejszy, aż go Marcysia żałowała i mówiła sobie: „Biedak! Biedny, biedny człowiek.“ Naturalnie, że właściciela garbu miała na myśli.

Co to jest sympatya? Różni różnie nad tem rozprawiali, więc ja rozprawać nie będę. Powiem tylko, że w chwili, gdy serce Marcysi mówiło sobie: „Biedny, biedny człowiek!“ serce pana Walerego doznało jakiegoś uczucia tak nowego, tak nieznanego, jak gdyby do menażeryi dzikich, zjadliwych zwierząt, raptem wpuszczono gołębie i synogarlice; tylko, że zja-

dliwe bestye w sercu garbusa pokładły się cicho i złożyły hołd gołębiom.

— Wiele się należy?

Pan Walery ważył, a potem kwit podpisał; a potem odparł:

— Pietnaście kopiejek — ale oczu nie podniósł drugi raz, choć mu tak jakiś głos kazał, ale powieki nie chciały słuchać. Więc tylko z uwagą wielką przyglądał się adresowi przez siebie położonemu na obcej kopercie i niedowierzał samemu sobie, że te słowa jego ręką były skreślone.

— Proszę pana — rączka w nicianej rękawiczce musnęła czerwono-fioletowe palce pana Walerego.

Garbusek pierwszy raz w życiu uczuł, że czyjaś ręka dotknęła jego dłoni, bez wstretu i bez nienawiści.

Marcysia z kwitem w ręku opuściła dom pocztowy, wprzód jednak pozdrowiła garbatego urzędnika i podziękowała mu raz jeszcze z takim miłym uśmiechem. A pan Walery widział ten uśmiech, bo zanim wyszła, podniósł na nią oczy, które tym razem same do światła się kierowały.

Ale bo też Marcysia była taka śliczna, taka śliczna! Zabrał jej Pan Bóg ojca i matkę, po-

zostawił tylko siostrę kalekę, ale dał jej za to takie skarby, że niejedna księżniczka, oddałaby jej i złoto swoje i tytuły za ten uśmiech czarujący, za tę słodycz w głosie i w oczach, za świetliste, promieniste źrenice, za świeżość ust jej i cery.

Tylko, że ona nie wiedziała o tem, jak jest bogata. Mówili już różni różnie o jej urodzie, zawsze z pochwałami, ale ona stając przy lusterku, pytała siebie: „Co oni we mnie widzą ci ludziska? Pewnie drwią tylko“.

Przy lustrze zresztą nie miała czasu stać często, tyle miała do roboty. Toż z jej pracy i ona sama i siostra żyć musiała. Mieszkały obie sieroty przy dalekich krewnych, na jednym z przedmieść warszawskich, za miastem; więc Marcysi powietrze duszne wąskich, brudnych ulic, nie odebrało tej krasy młodości, którą taki urok roztaczała.

Zdarzyło się nieraz, że ten i ów zaglądał pod jej kapelusz słomiany, gdy nad wieczorem do domu wracała, ale bohater uliczny cofał się przed niewinnym a przestraszonym wzrokiem Marcysi. — Uczciwa dziewczyna być musi — mówił sobie i dawał jej pokój. A zresztą miała ona siostrę niewidomą, Joasię; ta z nią zwykle chodziła, niby cień włościła się za nią, tyle

jej szczęścia na tym świecie, co głos Marcysi słyszała. Więc się nie rozłączały, bo im najlepiej było razem. Niewidoma, była aniołem opiekuńczym młodszej siostry, Marcysia ze swej strony te same funkcyje spełniała przy kalece, z tą różnicą, że zamiast czuwać nad jej bezpieczeństwem, usuwała z jej drogi niedostatek.

Bo Marcysia była dobrze płatną, ślicznie umiała haftować, a nikt jej nie sprostął w znaczeniu bielizny na wyprawę. Sława jej rozeszła się na prowincyi nawet. Więc wrywano ją sobie, a pani sędzina w O., wydając córkę za mąż, postanowiła, że nikt inny nie będzie haftował monogramów, cyfr zagadkowych i liter wiązanych, jak tylko Marcysia, która haftowała wyprawę dla hrabianki R., z okolic miasta W.

Wtedy tylko Marysia rozstawała się z Joasią, gdy na wieś wyjeżdżać musiała. Smutno jej było opuszczać kalekę, ale chęć zarobku osładzała jej chwile tęsknoty. Zresztą, wypoczywała sobie na wsi i nietylko zdrowie jej, ale i siły moralne wzrastały w miarę, jak się jej pobyt przedłużał w zamożnym obywatelskim domu, bo miała spokój, a u swych opiekunów, krewnych, spokoju mieć nie mogła.

Pan Piotr Liptak, jej wuj, pił i bił. A raczej wtedy bił, gdy pił. To się dość często



zdarza na świecie, a Marcysia zanadto wiele słyszała podobnych historyj od sąsiadek i znajomych, aby mieć swego wuja za ostatniego nikczemnika z tego powodu. Niebardzo ona zresztą wiedziała, czy owo bicie nie spadało zasłużenie na bary ciotki stolarzowej.

Trzeba bowiem oddać sprawiedliwość panu Piotrowi, że żadnej z krewniaczek sierot nigdy nie dotknął, nietylko już pięścią, ale nawet zelżywem słowem.

Co zaś do żony, toć i po trzeźwemu nieraz go ręka swędziła. Ze baba kłótnie wszczyniała w tym domu — to fakt; ale to już taki ład na świecie, że baby wszędzie do kłótni są skore. (Gdy mąż, nie mogąc sprostać językiem, weźmie się do pięści, dalejże krzyk, dalejże gwałt...

— Tyran! zbójca! zbereźnik!

Nikt nie pyta, że człek każdy radzi sobie, jak może; a że mu natura nie dała siły w języku, jeno niewieście, toć mu wolno...

Nie! nie! Nie wolno. To tylko tak w zapale mi się wymówiło.

Nie wolno było panu Piotrowi bić małżonki, nawet gdy mu chleb i słoninę zamknęła przed nosem i jeść dać nie chciała.

Nawet gdy na niego wylała miskę gorącego

kapuśniaku; nawet gdy go zwymyślała od so-wizdrzałów i powroźników.

Nie wolno było panu Piotrowi bić — to pewna; ale bił na tej zasadzie, że z największą werwą i upodobaniem czyni się to, czego nie wolno.

W takich-to chwilach nieporozumień małżeńskich, Marcysia z Joasią wynosiły się chyłkiem do swojej izdebki, a gdy głos pani Piotrowej zdawał się mury jerychońskie walić, sieroty spoglądały z przestrachem jedna na drugą; choć przestrach ten malował się tylko w słodkich oczach Marcysi, Joasia bowiem bielmo na źrenicach miała.

Sceny takie powtarzały się raz na tydzień w sobotę. W dniu tym pani Liptakowa miała już zwykle warząchew przygotowaną na uczczenie wejścia tryumfalnego małżonka.

Szyby drżały, krzeselka nawet brały nieraz udział w tem przyjęciu, latając z jednego końca izby na drugi. Ale co? Alboż-to stolarzowi nie wolno krzesłem grzmotnąć o ścianę, gdy mu się w oczach troi? Alboż-to niema kleju, aby naprawić. Zwykle też w niedzielę, dzień boży, naprawia, ale dopiero po nabożeństwie.

Nigdy jednak żonie nie zrobił większej krzywdy, niż krzesłu; przeciwnie, wiele mniej-

sze miał szanse do uszkodzenia jej, bo krzesło cofać się nie mogło przed pogromem, a pani Piotrowa mogła i cofała się też, zawsze z warząchwią w rękę, była to bowiem jej broń ulubiona.

Razu jednego pan Piotr wybił żonie ząb, jeden tylko, że jednak zęba tego nie mógł przykleić w niedzielę, jak nogę u krzesła, więc poprzysiągł przed sobą samym, że nigdy już, przenigdy nie uszkodzi małżonki w podobny sposób.

Wszystko dobrze o tyle o ile można klejem naprawić, ale poza tem są granice.

Nie! Zęby pani Piotrowej zginą naturalną śmiercią, nie przez wybicie. Bo ona dowiodła mężowi najlepiej, głodząc go przez całe dwa tygodnie następne, że niema zębów do stracenia. A że pan Piotr całe sześć dni, z wyjątkiem sobotniego wieczora, był potulny jak baranek, mogła się więc małżonka znęcać nad nim dowoli.

Po takim to wyposzczeniu się, ślubował majster wobec siebie samego, że, kułakiem częstując, uszanuje zawsze twarz żony.

Wracając jednak do Marcysi, niezłe to było dla jej zdrowia i spokoju, gdy tak kilka sobót z rzędu, zdala od opiekunów spędziła. Joasi za-

leciła, aby wieczorem dnia tego udawała się do sąsiadki krawcowej pani Wyrwickiej.

Jednak Marcysia tęskniła za siostrą i teraz, kiedy wracała z poczty myślała znowu o niej. Ten garbusek kaleka, przypomniawszy jej tak żywo, jej ukochaną niewidomą. Serce jej wezbrało współczuciem dla niedoli biedaka i pierwszy raz pożałował ktoś garbuska na świecie.

Wieczorem dnia tego poszła Marcysia odechnąć świeżem powietrzem po całodzienniej pracy. Sama chodziła, bo u pani sędziny „frauenzimmer“ nie był obfitym, a nie miała jeszcze czasu zapoznać się z nikim.

Nikt jej nie uczył estetyki, nikt jej nie tłumaczył, jak dalece małe jeziorko, ocienione z jednej strony płaczącą wierzbą, z drugiej, zlewające się z łąką omgloną, jest czarującym i harmonijnem o zachodzie słońca. Ale Marcysia tonęła rozrzewnionym wzrokiem w cichych falach jeziora; a promienie słońca, łamiące się na jego powierzchni, odbijały się w źrenicach dziewczęcia.

Zatrzymała się chwilę, przysiadła na pniu ściętego drzewa i nasłuchiwała; żabki skrzeczały, hukały, odmawiając wieczorne pacierze. Świerszcz w tej kapeli wieczornej pierwsze skrzypce zastępował, czasem bąk niby trąbka.

zadzwoił nad uchem Marcysi, a i przepiórka odzywała się niby przez sen: „Pójdźcie żać“, ale cichuteńko i zrzadka, bo już późno było dla niej.

Zadzwonili na Anioł Pański, więc Marcysia poczęła Zdrowaś Marya odmawiać, a głos dzwonu, głos dziewczęcia i żabek i świerszczy i przepiórki, łącząc się, niby chór boski unosił się wysoko, wysoko w przestrzeń, żadną mgłą, żadną chmurą niewstrzymany, szedł prosto do nieba... Anieli mu się przysłuchiwali, bodaj czy to nie ich skrzydła srebrzysto-białe, muskały w tej chwili strop lazuruowy, niby obłoczki przejrzyste.

Ale powiedziane jest, że na świecie harmonia zupełna długo trwać nie może. Więc jęki, zgrzyty, fałszywe akordy, dysonanse, stworzone są na to, aby się ludzie nie rozpływali w spokoju i zachwycie.

Marcysi dusza rozplynęła się tak w tej chwili, aż zapomniała, że to sobota, że tam majster-wujaszek wraca do domu, z wielką fantazją zygzaki kreśląc po bruku, że ciotka Piotrowa ukryta za drzewami niby zbir, z warząchwia, zamiast sztyletu w ręku, czyha na swoją ofiarę, zapomniała nawet o siostrze kalece i tak się jej słodko w sercu zrobiło, że gdy zpoza krza-

ków jałowcowych wychyliła się najeżona czupryna jakiegoś rudego niedorostka, z piskiem przeraźliwym zwracającego się ku Marcysi, ona krzyknęła: „Jezus Marya!“ i uciekać poczęła okrutnie. Rudy niedorostek był to Józek, któremu uśmiechała się myśl nastraszenia „dzierlatki“ i skradał się tak ostrożnie dla osiągnięcia większego efektu.

Nie spodziewał się jednak, jak dalece efekt ten będzie okazałym i jak dalece jego własna skóra grać w nim będzie rolę... Marcysia nie zdążyła kilkunastu kroków zrobić w swojej ucieczce, kiedy posłyszała jęki i wycia formalne, wychodzące z piersi Józka: „Ratujcie! Panie pocmistrz, juz puscajcie! O la Boga! Gwałtu!“

Sękaty kij pana Walerego opadał regularnie, niby cepy młócaące, na grzbiet nieszczęsnego Józka; egzekutor milczał, a wycie żałobne ofiary wzruszyło serce Marcysi i pospieszyła na jego ratunek.

— Niech go pan puści, proszę bardzo.

W tejże samej chwili Józiek korzystając z chwilowego zatrzymania się w czynnościach egzekutora, jak weźmie nogi za pas, jak pomknie z kopyta!

I tyle go widać było... A pan Walery z Marcysią zostali sam na sam, oko w oko, nad ci-

chem jeziorkiem, a koncert wieczorny, przerwany jękami Józka, rozpoczął się nanowo.

— Dziękuję panu — rzekła Marcysia, bo czuła, że to dla niej zbił pan Walery chłopaka, chociaż byłaby może wołała, aby winowajca mniej srogo był ukaranym.

— Niema za co — mruknął garbusek.

I znowu stali naprzeciw siebie, on kijem wiercił dziurę w ziemi, a garb jego potulną przybrał minę.

Ona ciągnęła za palce u nicianej rękawiczki i nie wiedziała, co czynić wypada... zdobyła się jednak na odwagę i rzekła:

— Takem się przestraszyła.

— Łotr — burknął pan Walery.

Marcysia powoli odzyskała swobodę, bo gdyby garbusek nie miał garbu, to nie byłaby się ośmieliła tak z nim rozmowy zaczynać, ale — ten garb był więcej, niż trzecią osobą, opiekunem. W jego obecności czuła się niczem nie skrepowaną, swobodną. Starła się nawet być podwójnie uprzejmą, bo jej go żal było, żal bardzo.

— Ale go też pan zbił porządnie, biedaka — mówiła dalej swoim śpiewnym głosem.

— Co za biedak! Łotr i tyle!

— Pewnie źle zrobiłam, że sama wyszłam wieczorem, to niebezpiecznie...

— Pewnie, że niebezpiecznie...

Marcysia czuła, że wracać wypada, ale nie wiedziała, co począć. Zostawić garbatego? Przykro mu będzie, a czy jej uchodzi prosić go, aby z nią poszedł.

Garbusek chciał iść dalej, ale coś go ciągnęło, aby zostać i dziewczyny samej nie puszczając, nie śmiał się jej narzucać, mogłaby się wstydzić iść obok niego.

Więc znowu stali w milczeniu naprzeciw siebie, a Marcysia pierwsza, myśląc w duchu, toć on garbaty, byłoby mu przykro, odezwała się:

— Jeżeli pan do miasta, to może pójdziemy razem.

On nic nie odrzekł; ruszył tylko z miejsca obok niej. Marcysia czuła, że milczenie jej towarzysza nie jest spowodowane gniewem, albo złym humorem i nie miała mu za złe, że jej nie bawi rozmową. Przeciwnie, zdawało jej się, że dobre serce nakazuje jej być wyrozumiałą i uprzejmą dla kaleki, więc poczęła mu rozpowiadać, jakim to sposobem dostała się do miasta, jaką to piękną wyprawę mieć będzie panna sędzianka, jakich to dobrych oczu potrzeba, aby znaczyć i haftować cieniuchną bawełną;



mówiła przytem, że Bogu wdzięczną jest za to, że jej dał tak dobry wzrok, co to dopatrzy tego, czego nikt inny nie dowidzi.

Pan Walery spojrział tedy na te wyjątkowe oczy i rzeczywiście uznał, że drugich takich niema na świecie, ale to tylko było pewnie przywidzenie garbuska, bo gdyby owe źrenice tak wszystko dopatrzeć potrafiły, toć i w tej chwili byłyby wyczytały w sercu pana Walerego, że ich obraz wyrył się tam na wieki; a one nic nie wyczytały zgoła, więc się Marcysia może zanadto przechwalała ich przenikliwością.

Mówiła spokojnie dalej:

— Chciał mnie Bóg może obdarzyć i za mnie i za siostrę. Bo siostra moja nie widzi. Niewidoma biedna...

Tem jednym słowem dokonała Marcysia cudu.

Gdy się garbus dowiedział, że jej siostra jest tak jak on, kaleką, zdało mu się, że przepaść jakaś, która go od niej dzieliła, znikła raptownie.

Dotąd nie śmiał ust otworzyć, bo myślał, że głos jego nie będzie dosłyszonym poprzez głębię tej niezmiernie przepaści, ale teraz zrównali się prawie z sobą. Kiedy ona ma sio-

strę kalekę i nie gardzi nią i kocha ją, to czemużby nim gardzić miała? Dotychczas nie dowierzał; nieufnie szedł za tym głosem wewnętrznym, który mu rano kazał list jej adresować, nieufnie dążył obok niej, zpod oka śledząc, czy nie dostrzeże na jej twarzy śladu szyderstwa, ale teraz przestał się obawiać i usta mu się rozwiązały. Więc począł ją wypytywać, czy siostra niewidoma już od urodzenia, czy z wypadku, bo dla niego widocznie była w tem olbrzymia różnica.

— Podobno rok miała, kiedy dostała zapalenia oczu i już jej nic nie uleczyło.

— Pani razem z nią mieszka?

— Nigdy się nie rozłączamy, tylko wtedy, kiedy na wsi wyprawę znaczę. To mi też smutno bez niej, a jej jeszcze gorzej beze mnie.

— A pewnie, że gorzej — wyrzekł garbuszek, sam nie wiedział dlaczego. Raptem znowu się własnego głosu zawstydził; bo też głos ten tak rzadko z piersi jego wychodził, taki mu się wydawał zardzewiały, ochryply wobec srebrnego dźwięku, jakim brzmiał słodki organ mowy Marcysi. Umilkł, niepewny, czy niedorzeczności nie powiedział.

Ale snąć Marcysia nie wzięła mu za złe słów jego. Toć rzecz naturalna, że siostrze ka-

lece jeszcze gorzej bez niej być musiało, bez swojej podpory. Więc się odezwała znowu, milczenie przerywając:

— Jakim to sposobem pan się tu znalazł, właśnie wtedy, kiedy mnie ktoś chciał nastraszyć?

— Ja tu codzień chodzę, bo tu najciszej.

— Pan lubi ciszę?

— Lubię.

— To dziwnie, że tak tu pusto; gdzież to wszyscy mieszkańcy z miasta chodzą na spacer?

— Na szosę; oni tam się snują po bruku jak owce. Trzy szosy dokoła, a wszędzie pełno tego mrowia.

Marcysia poznała, że pan Walery nie jest przyjaźnie usposobionym dla „mrowia“.

— Nad jeziorem przecie ładniej.

— Pewnie, że ładniej. — I spojrzał garbuszek dokoła, a zdało mu się, że pierwszy raz widzi jakiś nowy kraj, uroczy, zaklęty, taki piękny, taki piękny, że chyba w rajach anieli ładniejszej wody i piękniejszych łąk nie mają.

Szli dalej obok siebie, rozmawiając już teraz bez przerwy, ona mu opowiadała o siostrze kalece i o wuju, opiekunie stolarzu i o ciotce Piotrowej. On jej o tem, jaką ma chatę za mia-

stem, ale tak tam smutno, że i pies-by w niej nie usiedział, a jako konkluzją dodał:

— Bo też człękowi gorzej, niż zwierzęciu na świecie.

Marcysi się smutno zrobiło, więc spojrzęła na niego serdecznie, poczciwie, ale i z wyrzutem rzekła:

— Grzech tak mówić, proszę pana. Bóg ludziom lepiej niż zwierzęciu życzy.

— Lepiej, nielepiej. A takie zwierzę chyba nie ma tak twardego żywota, jak człowiek.

— Nie trzeba tak myśleć; Bóg każdemu dał coś na pociechę i dał człowiekowi rozum, a zwierzęciu nie, i na to dał Bóg rozum, żebyśmy wierzyli, że taki co człowiek, to nie zwierzę i że choć czasem i popłakać przyjdzie, to też jest i nagroda za niedolę.

— Pani tak mówi, ale siostra kaleka to pewno nie.

— O! moja siostra codziennie Panu Bogu dziękuje. Mówi, że póki ma mnie na świecie, to jej niczego nie trzeba.

— Ja nikogo nie mam, ani psa nawet.

— Mój Boże! Jak mi pana żal. Czemu pan nie mieszka przy kim, przy jakiej rodzinie? Lepiejby panu było, weselej.

— Ktoby tam chciał ze mną mieszkać.

Smutnym to głosem powiedział, aż Marcysia łązy w oczach stanęły. Chciała go pocieszyć, ale nie mogła; a już też byli blisko bramy, która prowadziła do ogrodu pani sędziny (a pani sędzina mieszkała nieco za miastem), więc wyciągnęła rękę do niego, a on nieśmiało, niezgrabnie ujął tę rączkę w swoje czerwone, długie palce i wstrząsnął nią.

— Dobranoc pani!

— Dziękuję... — dodała Marcysia. — Tylko trzeba być dobrej myśli! — dodała jeszcze zdobywając się na odwagę.

— Niema za co — mruknął garbusek i zniknął jej z oczu.

Co mu się stało biedakowi, że tak sobie oczy ręką przysłaniał i dążył, jak pijany, niepewnym krokiem, wracając w tę samą stronę, z kąd z Marcysią przyszedł.

Gdy go zasłoniły kępy olszyny i czeremchy, padł jak długi na zieloną murawę i płakać począł, szlochać rzewnie, długo, długo... A nigdy bardziej gorzkie, pełniejsze bólu i żalu krople przejrzyste, nie padły na rośliny uśmiechniętej łąki, jak te, które się stoczyły z oczu garbuska w tej chwili.

Nowy żal, nowa pretensja wyrastała w duszy jego do Stwórcy.

Czemu mu pozwolił zajrzeć w cudze serce, w kobiece serce, pełne współczucia, litości i słodyczy?... Czemu pozwolił mu popatrzeć na takie skarby, które muszą na wieki pozostać zamknięte dla niego?...

Któż dla niego współczucie mieć może? Kto się nad nim ulitować? Słodko do niego odezwać?...

Lepiej byłoby już przyzwyczaić się do gorzkiego żywota; a los jeszcze drwi i szydzi z niego, stawiając mu na drodze ponętę i urok najpiękniejszy, aby mu go zabrać, zamknąć przed nim na wieki i samego go zostawić... samego z garbem nieodstępnym, w chałupce, w którejby i pies ze smutku zawył...

.....  
Marcysia chodziła codziennie do kościoła o siódmej rano, bo o ósmej dopiero hańtować zaczynała.

Idąc na mszę, musiała przechodzić około okien poczty.

Pan Walery bywał już o tej porze w kancelaryi, bo o szóstej kurjerka przychodziła, więc zajęcia było najwięcej. Przed siódmą, pan naczelnik, zbywszy się ważniejszych zajęć, zostawiał garbuska samemu sobie, i — o dziwo! — okno, to okno, przez szkło którego dotąd mu-

chy tylko spoglądały, ujrzało twarz pana Walerego, wspartą o swoje szyby, a powtarzało się to codziennie, zwykle o godzinie siódmej.

Początkowo twarz ta znikwała na sekundę, spoglądając zpoza framugi na ulicę, widocznie chował się przed czyimś zwrokiem. Ale w kilka dni przestała się już chować; przeciwnie ukłonem odpowiadała komuś na ukłon, a po zamienionym znaku rozpoznania, pan Walery stał jeszcze chwilę przy oknie, goniąc za jakimś widzeniem... Gdy zaś wracał w stronę biura, taki w oczach jego świecił blask niezwykły, takie promienie z nich były, że doprawdy źrenice te mogły blaskiem swoim garb przyćmić i zasłonić nawet.

Przez te kilka dni czatowania około godziny siódmej zrana przy oknie, dziwne zmiany zachodziły w postępowaniu garbuska; miotany był widocznie najróżnorodniejszymi wrażeniami...

Gdyby go kto szpiegował zdaleka, to byłby z pewnością przypuszczał, że pan Walery nie jest właścicielem wszystkich pięciu klepek. Zdarzały się bowiem nieraz rzeczy nadzwyczajne.

Zdarzało mu się siedzieć nad jakim papierem i patrzeć w niego, jak w tęczę, wspierając się obu łokciami na biurze, z głową uto-

pioną w związanych nad nią, długich, kościstych palcach.

I siedział tak i patrzył, a tam, zamiast urzędowych liter drukowanych, widział zygzaki płomieniste, wiążące się w wyrazy: „Moja siostra nie widzi“... „Jest nagroda za niedolę“... „Mój Boże! mnie tak pana żal“...

Ale bo się też jeszcze garbusowi nie zdarzyło coś podobnego, aby mu kto powiedział, iż go żałuje.

Więc dlatego się tak dziwił i tak wszędzie przed nim tańczyły te wyrazy i dzwoniły mu w uszach i chodziły za nim we śnie i na jawie.

Trafiało się, że pan Walery pisze kwity jakieś, pisze... pióro zgrzyta po papierze, aż tu raptem „krach!“ pióro się łamie, tak je mocno przycisnął do papieru: a gdy już nie było zdadne do użytku, rzuca niem garbus o ziemię i dalejże tłuc ręką po garbie. Bije i bije, znęca się nad tą zwykle tryumfującą wypukłością i woła sam do siebie:

— Przeklęty potworze! bodajes się nie narodził!... Bodajes ludzi nie straszyl i światła dziennego nie widział!...

Ale jakieś oczy, długą rzęsą przyćmione, a takie serdeczne, spoglądają na niego i proszą, jak to kiedyś za Józkiem:



-- Niech go pan puści, proszę bardzo... —  
i dodają jeszcze: — Ależ go pan zbił, biedaka...

Więc się pan Walery bić przestaje, bo mu się zdało, że ten głos nie za Józkiem, ale za jego garbem się ujmuje...

Takie to niezwykle demonstracye odbywały się w samotności w biurze, a dziwnie i równie niekonsekwentnie postępował pan Walery względem swoich „poddanych“, bo dotąd zdawało mu się w chwilach urzędowania, że wszyscy interesanci nie są tyle prawem upoważnieni do żądania usługi, ile proszącymi poddanymi w obliczu najwyższej władzy.

Otóż poddanych traktować począł z dziwną, niepojętą niekonsekwencyą. To się nad nimi znęcał niby nad swoim garbem, to znowu przebaczał im nawet prawdziwe wykroczenia, nie żądając, aby marka „u góry na prawo“ przylepianą była.

Machinalny ruch, z jakim odbierał list, nieprawidłowo zaadresowany, pozwolił przypuszczać, że pan Walery nie widzi wcale ani marki, ani adresu, ani oddającego, ani wogóle świata całego.

Ci, którzy mieli z nim do czynienia, wracali do domu mówiąc:

— A to ci garbus spotulniał, niby baranek.

Bywały znów takie chwile, że rzucał się on na niewinnych z formalną furią, wtedy garb jego z całą grozą zdawał się piętrzyć i wywyższać i potężnieć tak, że zwymyślana ofiara nie śmiała nawet odezwać się we własnej obronie.

Wynoszono się pocichu zprzed srogiego oblicza zagniewanego urzędnika, a dopiero za drzwiami pani Walusiakowa opowiadała pani Kosmarkowej, jako to:

— Poczwarę giez ugryzł, opętany całkiem od złego, jużci i to dowód, że dyabeł czerwony, bo kiedy człeka licho opęta, to czerwienieje, nieprzymierzając jak ten garbus w tej chwili.

Tymczasem Marcysi smutno było w miasteczku, bo robota jej miała się jeszcze na długo przeciągnąć, a to z powodu, że pomocnicy dla niej dostać nie było można.

Samej wykończyć 72 znaków razy dziesięć, t. j. 720 cyfr, monogramów, herbów i koron (bo pani sędzina miała herb, a zatem i pięć pałek), to nie żarty. Aż się Marcysi w oczach troiło, gdy obliczała, co to za szalona robota ją czeka. Ale wykończyć musi, bo się zobowiązała, a potem pani sędzina nieźle płaci, więc pięćiorublówkę wkrótce będzie mogła znowu

niewidomej posłać, aby sobie trochę osłodziła gorące letnie miesiące w Warszawie.

Ale jej smutno było, bo tak jakoś nie miało do kogo przyłgnąć.

Gdy inne wieczorem chodziły na szosę na spacer, Marcysia nie wiedziała, gdzie się podzieć i tęskno jej było niebodze.

To też z coraz większą serdecznością uśmiechała się, kłaniając, gdy corana koło poczty przechodziła, dążąc na mszę; czuła, że to przyjaciel na nią spogląda, a powtarzała sobie zawsze:

— Jemu dobrze z oczu patrzy.

Nie dziwiła się też wcale, kiedy w kilka dni znowu nad jeziorem garbuska spotkała.

Tym razem bez namysłu zbliżyła się do niego, rękę wyciągając i niby do dawnego znajomego mówiła z radością:

— Dzień dobry panu. Jużeśmy się dawno nie widzieli.

A że był garbaty, więc się nie gniewała i nie dziwiła, gdy przysiadł przy niej na murawie, kiedy ona na ściętem drzewie siadła. I rozmawiali sobie długo, aż ściemniało prawie na dworze i żabki, głośniejsz grzechocząc, przypominały Marcysi, że już czas wracać do domu.

Dzisiaj garbusek, gdy wrócił do chaty, a ogień

rozniecił i samowar sobie nastawił, nie był osamotniony jak zwykle, oczy Marcysi mu towarzyszyły, a choć w nie spoglądał przenikliwie, nie mógł w nich dopatrzeć ani troszeczki obłudy, ani okruszyny szyderstwa... Nic; szczere były i życzliwie patrzyły!

Marcysia ze swej strony czuła, że nikt nie słucha z takim zajęciem jej historyi o siostrze Joasi, o ciotce pani Piotrowej, o tem, jak to ona czasem tramwajem het, het za Warszawę Joasię wywiezie, jak się Joasia raduje, że tak cicho dokoła i że tak pachnie wszystko świeżością; czuła Marcysia, że nikt z takim zajęciem nie słucha jej opowiadań, jak pan Walery.

Więc ją też serce ciągnęło nad jeziorko nie tylko dla jego tafli złocistej o zachodzie słońca, srebrzystej o wschodzie księżyca; nie tylko dla koncertu żab i ptaków, ale też dla gawędki z kimś, co tak wdzięcznie na nią patrzył, tak uważnie słuchał, tak rozumiał jej przywiązanie do haftu i tak sam był nieszczęśliwy, że każdy uśmiech jej był dobrodziejstwem dla niego, za które ją pewnie niebo wynagrodzić miało.

Nie bała się ludzkich języków. Cóżby ludzie wymyśleć mogli o niej i o garbusie? Któż co o garbusie wymyśla?

Ale przecież go Marcysia za człowieka miała!

Tylko ludzie go nie mieli, i dlatego nie myliła się, nie obawiając się gadania ludzkiego.

Mieszkańcy miasteczkowi dziwili się tylko, że jest osoba, która się z poczwarą zadaje i nie boi się złego wzroku.

Szczególniej pani Walusiakowa się dziwiła, a będąc stróżką u pani sędziny, dobrze Marcy się znała, lubiła ją nawet bardzo. Pierwszy raz, gdy spostrzegła zdaleka Marcysię, powracającą ze spaceru, a obok niej garbuska, aż się przeżegnała z wielkiego zdziwienia. Oczy sobie ręką przysłoniła i spoglądała w stronę niedobranej pary tak natrętnie, że gdy Marcysia ze wzrokiem jej się spotkała, to choć nic nie miała na sumieniu, zaczerwieniła się okrutnie.

Za pierwszym razem pani Walusiakowa nie śmiała robić uwag, bo Marcy się niedość znała jeszcze.

Gdy jednak w jakiś tydzień później garbus znowu aż do bramy odprowadził „warszawiankę“, to dobre serce nakazało Walusiakowej ostrzedz dziewczynę.

— Jak się też to panna nie boi takiego pokraki? Toć jemu źle z oczu patrzy; lichy się tylko przyplątać może...

— Tak wam się zdaje, moja stróżko. To biedny człowiek, grzech uciekać od takiego.

— Juści nie grzech swego pilnować. Ano trzeba się rozpytać, co on to już szkody narobił. Krowy kowalki przez tydzień mleka nie dały, jak na nie popatrzal. A Józka jak zbił, to mu aż sińce powyskakiwały.

— Może Józek zasłużył na bicie?

— Zasłużył, nie zasłużył... A taki jabym z garbatym nie chodziła.

— Wstydźcie się, Walusiakowa! Toż on człowiek, boskie stworzenie, trzeba się nad nim ulitować.

Dziwne bardzo wydały się te słowa pani Walusiakowej.

— Juści, że człowiek, to człowiek! — mówiła sobie w duchu.

Jakieś wątpliwości poczęły się budzić w sercu pani Walusiakowej pod względem tego, czy garbuska należy, czy nie do boskich stworzeń zaliczać; bo w metafizycznych badaniach nie często się zatapiała i miała jednak coś nakształt przekonania, że nietylko boskie stworzenia żyją na świecie, ale i dyabelskie; a do tych ostatnich zaliczała pana Walerego.

Nikt jej dotąd nie przeczył, nikt się za nim nie ujął, dlatego nie miała żadnych wątpliwości w raz powziętych przekonaniach.

Wogóle niechęć i nieufność, jaką pan Walery

wzbudzał w mieszkańcach miasta W., nie świadczyła wcale o braku serca. Bynajmniej.

Gdy jaka niedola wielka a niespodziana nawiedziła kogo, gdy zawitał do miasta jaki nieznany turysta, żebrak i okaleczony do tego, to umiano się nad nim ulitować i poratować bliźniego i dobre słowo dla niego znaleźć...

Ale garbaty nie wzbudzał w nich współczucia, bo z dzieciństwa już oczy do niego nawykły; wzrósł pomiędzy niemi, garb z małego nieznacznie wyrastał w górę, potężniał, a prztem i z natury garbusek nie był potulny i łagodny. Gdy mu się sprzeciwił Marcin, syn piekarski, to go tłukł; gdy mu kijem wygrażała Baśka, córka bednarza, to jej sińcem oczy podbijał; a tak Marcin, jak Baśka, chodzili na skargę do rodziców; ich nienawiść udzielała się rodzicom, ich uprzedzenia całej zgrai bosonogiej i krzykliwej drobnych mieszkańców miasteczkowych.

Garbusek zaś nie miał takiego, coby się za nim ujął, bo matka zmarła, jemu życie dając a ojciec pił i pił i jeszcze pił: przepił kilka morgów gruntu. W chwilach przytomności zdobywał się na wizytę do miejscowego nauczyciela i wyciągał nieprzepite dotąd pieniądze, aby za naukę syna płacić, mawiając:

— Garbaty, zły, toć się musi czego nauczyć, bo-by zmarniał...

Więc i ojciec robił synowi reputacją... „złego.”

Ojciec umarł wreszcie, nie zdążywszy chaty przepić, a tymczasem tak garbus jak mała zgraja wyrosła, i z nią rosło przekonanie o złości kaleki... Nikt nigdy nie próbował wydobyć z niego jakiegoś dobrego uczucia; nikt nie pytał czy ma serce, bo któż dbał o jego serce?...

To też nie dziwnego, że pani Walusiakowa zmieszana była zapewnieniem Marcysi, że garbusek to boże stworzenie i zamyślała naradzić się nad tem z kumoszkami.

Długie były dyskusye na tym punkcie; zdania najzupełniej podzielone, jak ongi, co do koloru dyablej skóry, nareszcie jednak postanowiono jeżeli nie głośno, to w duchu, zbadać bliżej tę kwestyą i tym sposobem Marcysia sprawiła, że wyrok, jaki zdawna ciążył nad kaleką, został raptem zachwiany, przeszedł w stan zawieszenia, pan Walery miał otwartą drogę do apelacyi i... apelował.

A to tym sposobem, że im częściej grała w jego uszach muzyka głosu Marcysi, tem łaskawsze i potulniejsze robiły się te dzikie be-



stye, jakie się rozgospodarowały w jego sercu, drażnione i jątrzone z dniem każdym przez ludzi i okoliczności.

W sercu tem poczęły odzywać się struny, o jakich nigdy się nikomu nie śniło, aby mogły istnieć pod takim garbem. A im bardziej czary, rzucone przez Marcysię działały kojąco i łagodząco na pana Walerego, tem większych względów uprzejmości i słodyczy doznawali „poddani“ od wielkorządcy pocztowego.

Cała ludność miasteczkowa rozprawiała o tem...

Zmiana bowiem była bijąca w oczy i nawet nie należący do bacznych „obserwatorów“ Józiek, musiał ją ocenić.

Już pan Walery paczek nie odsyłał interesantom, nawet gdy adres nie był zupełnie dokładny, sprostował jaką literę i sznurka nie krytykował.

Nie dopominał się o markę „po prawej stronie u góry“, skreślił czasem własną ręką adres w języku urzędowym, gdy tego zachodziła potrzeba. Kilka razy zdarzyło mu się „dzień dobry“ powiedzieć i oczy podnieść na „poddanego“, a co dziwniejsza, to że każdy z poddanych wytrzymawszy wzrok ten, wracał do domu

bez szwanku, najlepszy dowód, że oczy pana Walerego nie rzucały „uroków“.

W opinii publicznej robił się gwałtowny jakiś przewrót; i nic dziwnego, że pan Walery miał tak wymownego obrońcę.

Marcysia porobiła znajomości, a znać Marcysię, znaczyło ją kochać; więc bywała we wszystkich domach, które opinią publiczną kierowały, a że ją widywano czasem rozmawiającą i spacerującą z garbusem, więc też mówiono jej o nim. Ona go zawsze w ten sam sposób broniła: „Stworzenie Boże, biedny człowiek, kaleka. On zły nie jest“. A takie przytem miała oczy pełne litości i współczucia, że jakось ludzie sami przed sobą zaczęli się wstydić, iż tak bez serca kalekę potępiłi i opuścili.

Aż nadszedł czas, w którym wyprawa panny sędzianki została ukończoną, a termin wyjazdu Marcysi oznaczonym.

Miało się to już ku jesieni, ale słońce cudnie przyświecało i przygrzewało. Marcysi spieszo było do niewidomej i cieszyła się na myśl powrotu; ale swoją drogą markotno też robiło jej się na duszy, że już nigdy pewnie nie zobaczy jeziora i łączki wesołej. Wiedziała ona, że rzadko kiedy wraca tam, gdzie już raz była;

bogate wyprawy nieczęsto się trafiają w jednym miejscu.

Żał jej też było żegnać Ludkę, córkę piekarki, z którą się zaprzyjaźniła. Dom piekarki sąsiadował z chatą pana Walerego, ale dotąd pan Walery, przechodząc wedle tego domu, nie kłaniał się, ponoć ze strachu, że mu się nie odklonią. Hardy był i nie ryzykował kiwnięcia głową, w obawie, aby mu nie zrobiono afrontu.

Zdarzyło się jednak, że razu jednego Marcysia stała z Ludką tuż około „furtki“, prowadzącej do podwórka piekarki. Pan Walery wracał z poczty do swęgo *locum* i aż pod nim nogi zadrżały, gdy spostrzegł dziewczynę tuż, tuż, tak blisko w towarzystwie innej, obcej, więc nie mógł przystanąć. Ale gdy wyjąknął „Dobry wieczór“, Marcysia odparła, — pytając wesoło :

— A niema tam do mnie listu na poczcie?

Ludwika wiedziała już o wszystkim, więc także na „Dobry wieczór“ się zdobyła i za Marcysią zapytała tak samo:

— A dla mnie niema tam czego?

Garbusek się zatrzymał i zaczęła się gawęda, do której Ludka należała, a gdy odszedł, zauważyła, że ma bardzo ładne oczy.

Powoli przyszło do tego, że i piekarka zapoznała się z kaleką i zaprosiła go na szklanekę herbaty; tym sposobem pan Walery począł widywać ludzi, oni przestawali stronić od niego. Zdawało mu się, że to jakiś sen, że się niebo przed nim otwiera; a to tylko serce jego się otwierało naościż, nietylko dla jednej Marcysi, ale za nią i dla świata całego, ona wszystko, co dobre, wprowadziła do tego serca za sobą.

Nie śmiał jednak myśleć o tem, co będzie, gdy ona wyjedzie; gdy wspomnienie to natrętnie mu się do głowy cisnęło, to miał ochotę uszy zatknąć palcami, aby głosu tego nie słyszeć...

Ale i palce nie pomogły...

Przyszła Marcysia na pocztę jednego dnia kupić bilet do kuryerki, pan Walery własną ręką musiał na nim numer przyłożyć i podpisać, a serce w nim wtedy bić przestało, ręka tylko drgała, drżała, aż się pismo staranne urzędnika, nieczytelnem zrobiło...

Marcysia pytała:

— Czy się dużo pasażerów zapisało?

— Jeszcze nikt — odrzekł i głos mu uwiązł w gardle.

— To będę miała dobre miejsce?

— Pierwsze — nie śmiał oczu podnieść, bo się obawiał, że się z nich lzy stoczą.

— Jaka to daleka droga — mówiła Marcysia. — I nocą do tego. Kiedyż to ja stanę w Warszawie? Aż strach pomyśleć.

— Tak pannie Marcysi spieszno? — wyjąknął garbusek.

— Do siostry mi tęskno. Ale i ztąd żal wyjeżdżać... — odparła.

Nagle jakieś natchnienie zdawało się zstępować w pana Walerego.

Cała twarz oblała mu się płomieniem, powieki biły gwałtownie, serce jak młotem uderzyło, ale się nie zawahał, tylko pod wpływem natchnienia rzekł śmiało:

— Ja za kilka tygodni muszę być w Warszawie, jeżeli urlop dostanę. Czy panna Marcysia pozwoli się odwiedzić?

Marcysi aż się oczy zaśmiały, tak polubiła garbuska.

— Ach! jak się cieszę. Pozna pan Joasię. Proszę pana być u nas koniecznie. Bardzobym się gniewała, gdyby pan o nas zapomniał. I adres mu swój dyktowała.

Teraz ręka pana Walerego wyraźnie już stawiła litery, jakaś otucha wstąpiła do jego na wpół zamarłej przed chwilą duszy i gdy przy-

szło ścisnąć rączkę Marcysi na pożegnanie, to śmiało już spojrział na nią, bo łzy się cofnęły z oczu jego, gdy adres pisał.

Minęło kilka miesięcy.

W mieście dziwiono się, że pan Walery tak często miewał teraz jakieś ważne sprawy w Warszawie.

Pan naczelnik począł się niecierpliwie nawet, gdy poraz trzeci garbusek przyszedł mu się opowiadać, że ważne interesa powołują go do wielkiego miasta. Ale mu urlop dał jeszcze, dał, bo wiedział, że takiej perły urzędniczej, sumiennej, pracowitej, akuratskiej, nie znajdzie w całym kraju.

Zanim jednak pan Walery poraz trzeci ruszył w podróż, nadzwyczajne jakieś zmiany zaprowadzał koło swej chaty. Kazał ją bielić po wierzchu, bielić w środku, dach naprawiać, ziemię okopać wokoło, bo już wiosna była. Najął nawet kobietę do posługi, a za pomocą nowej przyjaciółki piekarki znalazła się taka; choć długo jej trzeba było dowodzić, że u garbusa nie się jej złego nie stanie...

Kobieta tedy kopała, sadziła nawet różne grochy i warzywa.

Pan Walery tymczasem uwijał się poza go-

dzinami biura z niezwykłym, gorączkowym prawie pośpiechem.

Ze stolarzem miewał narady; piece nowe w dwóch izbach kazał stawiać; stoły i szafy przywieziono do domu, okna wymyte świeciły; a wszystko sam garbusek ustawiał, do ścian przysuwał, tak symetrycznie, w takim wzorowym porządku...

Wśród tego krzątania garb jego zdawał się mieć wesołą minę; zdawał się wraz z jego panem uśmiechać do ludzi i przymilać wszystkim, jakby ich przepraszał za swoje dawniejsze przekroczenia.

Co dziwniejsza, że ludzie zdawali się mu przebaczać i zapominać dawniejszych uraz. Już sobie zjednał piekarkę, wpływową osobę wraz z córką; teraz i cała rodzina stolarza przychylnie usposobioną była dla niego, bo ani się bardzo targował o szafy, krzesła i komody, ani zrzedził i wymyślał; przeciwnie, ze wszystkiego był kontent...

Naturalnie, że się lotem błyskawicy rozeszła wiadomość, jako garbusek myśli zawierać małżeńskie związki.

Z początku brano to za żart, ale gdy zauważono niesłychane zmiany, zaprowadzone przy domu, w domu i w ogrodzie pana Walerego,

więc chcąc nie chcąc, musiano dać wiarę tej dziwnej pogłosce.

Zresztą, wtajemniczona w jego prywatne stosunki pani piekarczowa, potwierdzała wieść tę; a tak dalece przez wzgląd na narzeczoną, brała stronę narzeczonego, że się nawet nie pozwalała dziwić w swej obecności tym, którzy nie pojmowali, jakim cudem znalazła się taka która sobie garbusa za męża wybrała...

— Co to? Czy on gorszy od nas? Albo mu się to żenić nie wolno? Albo to on nie boskie stworzenie?...

Naturalnie, że argumentami takimi wszystkim usta zamykała.

Jedno tylko pozostanie tajemnicą. A to jakim sposobem pan Walery zdobył się na dość odwagi, aby zdeklarować afekta swoje... Że afektami temi gorzał do Marcysi, tego się każdy domyśli. Odwagę jego można kłaść tylko na karb tajemniczej jakiejś siły, która pcha najmniej uzdolnionych, najtchórzliwsze serca, do bohaterskich nawet czynów w jakimś wyjątkowym razie. Jestto jednak zagadką psychologiczną, a nie warto wchodzić w głębokie studia nad scharakteryzowaniem wszystkich śrub w sercu pana Walerego, które z tego to



a tego powodu, a w taki to a taki sposób, doszły do tego a tego rezultatu.

Gdy się pan Walery zobaczył pierwszy raz w Warszawie, nie śmiał wierzyć we własne szaleństwo i pytał siebie, dlaczego tam podążył.

Gdy ujrzał się na ulicy, pchany tą właśnie nieznaną siłą w kierunku progów państwa Piotrostwa, opiekunów Marcysi, serce jego kołatało tak, że kule armatnie nie z większą chyba siłą biją w mury oblężonej fortecy i dziw tylko, że mu piersi nie rozsadziło.

Ale gdy nareszcie ocknął się z tego stanu nieprzytomności, w jaki popadł z powodu emocyi na myśl ujrzenia bogdanki, gdy się zobaczył siedzącym obok niej, wpatrzonym w jej oczy, wsłuchanym w jej głos srebrzysty, to przestał rozumieć, dlaczego tak drżał, dlaczego lękał się ujrzeć Marcysię.

W czasie pierwszych odwiedzin Warszawy, siedział tam tydzień cały i codziennie zawsze ta sama siła pchała go wieczorem w stronę Koszyków. Czasem nawet, szczególnie ostatnimi dniami, odważył się wychodzić na spotkanie Marcysi, wracającej z magazynu, upoważniony przez nią do tego kroku. Gdy pierwszy raz szli ulicami warszawskimi, obok siebie, upo-

jenie jego nie było bez gorzkiej przymieszki, bo przechodnie oglądali się za tą dziwną parą, za śliczną dziewczyną i jej garbatym towarzyszem; kilka razy nawet małeletni ulicznik palcem na niego wskazał swemu przyjacielowi i śmiali się obaj.

Śmiech taki, niby piekielny zgrzyt, do głębi duszy rozgoryczał garbuska, ale na chwilę tylko, bo gdy po krótkim onieśmieleniu podnosił wzrok niepewny na Marcysię, chcąc wyczytać z jej twarzy, jakie to szyderstwo uliczne zrobiło na niej wrażenie, spostrzegał, że ani cienia chłodu, ani zażenowania niema w jej spojrzeniu; albo nie słyszała, nie zauważyła, albo ją to nie obeszło.

To właśnie największą radością go napelniało, że ona nigdy nie zwracała uwagi na jego kalectwo, zdawała się garbu jego nie widzieć. Zaspokojony przeprawą przez ulice warszawskie, widząc, że nie traci jej życzliwości, mimo nagrawania uliczników, oddawał się już całemu sercem rozkoszy dążenia obok niej, zdawało mu się, że się nią opiekuje...

I z Joasią niewidomą zawarł traktat przyjaźni. Jej się najmniej obawiał, z największym zaufaniem zbliżał się do niej. Przedewszystkiem wspólność niedoli ich łączyła, więc czuł, że ona

mu za złe kalectwa nie poczyta, a do tego w jej obecności nie ciężył mu, nie zawadzał wcale garb jego, boć dla niej był on niewidzialnym, nie potrzebował go się wstydzic.

Gdy mu przyszło Warszawę opuścić, bo się urlop kończył, okrutnie się w nim znowu serce ścisnęło, ale tak, jak to ongi w rodzinnem mieście na poczcie, tak i teraz, w chwili ostatecznego pożegnania, zdobył się na nowe zapytanie, czy mu wolno będzie przyjaciół nawiedzić, gdy niebawem do Warszawy powróci, bo interesów jeszcze nie ukończył. Jakieby to były interesa, nie mówił nikomu.

Po jego wyjeździe, jeden kataklizm za drugim nawiedzał rodzinę państwa Piotrostwa... Przedewszystkiem pani Piotrowa zaniemogła. Kolki w bok jej się wpakowały, potem zapalenie płuc się wywiązało, potem było już jakoś lepiej i zaczynała wstawać, ale mąż wedle zwyczaju przyszedł w sobotę wieczorem chwiejnym krokiem do izby i począł wyśpiewywać junackie piosenki o niezbożnych rzeczach, co bogobojną panią majstrowę o zgrozę przyprawiało.

Chwyciła się zatem zwykłego narzędzia warząchwi, jęła nią okładać plecy majstra, ten cofnął się, zastawiając puklerzem najeżonym czterema klinami (krzesłem), cofał się tak ku

drzwiom, żona za nim, on ku sieni, ona za nim, nareszcie ugrzązł w podwórku, gdzie stopy śniegu zmieszanego z błotem, dalszą ucieczkę zamykały; ale pani Piotrowa była w domowym stroju rekonwalescentki i filcowe miała pantofle na nogach, zabrnęła wtedy w tej wścieklej pogoni za zbiegiem aż po kolana w śnieg, rąbek sukni zmoczyła, jeden sandał ugrzązł w zaporce śnieżnej, z jakiej się pan Piotr nawet wydostać nie mógł i po bezskutecznem machaniu warząchwią w prawo i lewo, pani Piotrowa opuściła stanowisko wraz z uciekinierem, i tak jak niegdyś zagniewany Achilles, cofnęła się pod namiot izby kuchennej. Ale już było za późno, skutki sporów małżeńskich musiały być fatalne; bo recydywa, w którą popadła Piotrowa, na wieki rozłączyła ją z niepoprawnym małżonkiem, gdyż w kilka dni żyć przestała.

Trzeba oddać sprawiedliwość majstrowi, że rozpacz jego granic nie miała; nie tylko bowiem kochał żonę, ale i bał się jej, a wiadomą jest rzeczą, jak dalece bojaźń potęguje miłość w sercu każdego stworzenia, ba i psa nawet; najwięcej ten wyje po stracie pana, który był najmocniej bity.

Pan Piotr zatem nie umiał pohamować bóleści srogiej i krewne obie, tak Marcysia, jako

i Joasia, aż się bały tego ryku straszego, którego poskromić nie mogły.

Po kilku tygodniach jednak żal ten umitygował się trochę, a raz umitygowany, począł się przemieniać w chęć gwałtowną szukania pociechy w jednej pocieszycielce rodu ludzkiego, w butelce.

Cowieczór zatem wracał pan Piotr, w codzień weselszem usposobieniu, aż sieroty poczęły radzić między sobą, jako poskramiać tę wesołość, tak jak niedawno boleść poskramiały, ale żadna nie wpadła na myśl, aby się chwycić oręża zmarłej ciotki, owej warząchwi, która jednak wpadała w oczy Marcysi, niby broń przez ducha nieboszczki nasuwana.

I codzień smutniej robiło się sierotom na świecie, w miarę tego, jak panu Piotrowi robiło się codzień weselej.

Odwiedziła je czasem ta i owa sąsiadka, z radami, z pożałowaniem, a rady głównie zasadzały się na tem, że nie wypada im młodym zostawać dłużej pod dachem opiekuna dalekiego krewnego, nie starego jeszcze a pijaka.

Gdy dziewczęta pytały, gdzie się podziąć, nie umiały im sąsiadki poradzić w tym względzie, ale wszystkie jednak były jednego zdania,

że „nie uchodzi, bo majster niestary, więc ludzie będą gadać“.

Otóż w takiej to chwili niezdecydowania, nowych planów i niepokoju sierot o przyszłość, zjawił się znowu na Koszykach pan Walery.

Marcysia przywitała go jak brata, jak wier- nego przyjaciela, tym razem rzeczywiście zapo- mniała o jego garbie.

To też kaleka byłby odniósł najśłodsze wspomnienie z tych odwiedzin, gdyby nie ból straszny, jakim go przejęły łzy Marcysi, bo za- płakała przed nim nieboga, opowiadając śmierć ciotki i jej tragiczne następstwa.

Widzieć Marcysię płaczącą a nie módz jej pocieszyć, było to nad siły garbuska.

Chciał coś mówić, chciał jej otuchy dodać, ani rusz. Co usta otworzy, słowa więzną w gar- dle i takie wzruszenie ogarnia, że cochwila czeka tylko, aż i jemu łzy z oczu pójdą, choć je z takim wysiłkiem połyka.

Nie zapłakał jednak; nie nie rzekł także, ale gdy Marcysia cicho szlochała, twarz całą w chustce topiąc, gdy niewidoma smutnie się zamyśliła, zapominając o obecnym, pan Walery nie mógł się oprzeć, ludzkie siły przechodzącej pokusie, a schylając się, wziął rękę Marcysi i pocałował ją raz jeden, ale wymownie...

Marcysia chustkę od oczu odjęła i spojrzała zdziwiona na garbuska; musiała w jego pokornym, a takim płomienistym wzroku, jakieś dziwne rzeczy wyczytać, bo się zarumieniła jak wiśnia i straciła raptem swobodę, jaką miewała w towarzystwie pana Walerego.

On się przeląkł i zmieszał tak bardzo, że już nie szukał słów nawet, ażeby ją przeproszać.

Zdawało mu się, że jest zgubiony w jej oczach, że ona go znienawidzi, że jej obrzydnie na zawsze... więc wkrótce po owej niemej deklaracyi wstał i wyszedł niebardzo pewien, czy się pożegnał i jak się pożegnał...

Po jego wyjściu dopiero Marcysia poczęła się zastanawiać nad jego niezwykłym czynem i — powoli, powoli, prawda zaczęła jej się wyraźnie przedstawiać. Aż jej się zimno i gorąco zrobiło... Czy doprawdy ten garbus miałby dla niej mieć więcej niż przyjazne uczucia?...

Nie umiała ona analizować ani jego, ani swej własnej duszy. Czuła tylko, że coś się zmieniło: że kaleka, garbaty nieszczęśliwy człowiek przestaje być li tylko kaleką, garbusem, że on sam ma o sobie pojęcie, iż jest „stworzeniem bożem“, mającem te same prawa i przywileje, co inne stworzenia boskie; ale równocześnie

pojmowała także, choć niewyraźnie, że choć się ujmowała za garbuskiem i jego ludzkimi prawami wobec innych, to w tej chwili trudno jej się było oswoić z myślą, aby on rzeczywiście miał te prawa.

Poczęła go się bać... byłaby wolała nie zobaczyć go już więcej.

A w tej-to właśnie chwili oburzenia przeciw kalece i jego domniemanym uczuciom, posłyszała głos Joasi pytający:

— Czemu to ten pan tak prędko odszedł dzisiaj?

— Nie wiem — odparła krótko.

— Szkoda, że poszedł. Mogłaś go na herbatę zatrzymać. Zimno... samowar niedługo zakipi. Wuj pewnie nieprędko wróci jeszcze; znowu gdzie pije... Tak smutno jakoś... z nim byłoby weselej...

Marcysia łatwo się domyśliła, że z „nim“ to nie z wujem, ale z garbuskiem, ale za złe miała siostrze to interesowanie się panem Walerym.

— Co ma być smutno? — odparła. — Nie potrzebujemy obcych; co nam po nich! Lepiej, że poszedł...

— Ty dziś tak, jutro tak. Niedawno chwaliłaś go, że dobry człowiek, że ci go żal...



że go lubisz... a teraz chimery jakie... Nie wiedzieć co!

— Może być dobry, a taki obcy.

— To co, że obcy?... Dziś obcy, jutro swój...

— Otóż, że nie „swój“... Czego ma być swój?...

— Czego się gniewasz? Toć nic w tem złego. A choćbys też pomyślała o tem, aby nie wszyscy byli obcy... Przecież mogłabyś też i męża znaleźć.

— Nie plotłabyś, Joasiu! — urażonym głosem odparła Marcysia.

— Tu wiekować nie możemy. Gdzie się podziać? Po obcych się tulać? Tobie, jak tobie, ale mnie kalece, to już chyba zmarnieć przyjdzie w nędzy ostatniej...

Marcysia miała bardzo czułe serce, więc jej się żal zrobiło niewidomej, a nie poraz pierwszy odezwał się niepokój w jej sercu o dalszy los, nietyle swój, co siostry. To też łagodniej już odparła:

— Nie bój się, już ja potrafię na nas dwie zapracować.

— Nie potrafisz, biedactwo... Co tu i mieszkanie nająć i opalić, i oświecić, i zjeść, i ubrać się, a to wszystko z jednej igły. Tu-

taj choć stancya była wolna; a teraz co będzie?...

— Jużci nas Bóg nie opuści!

— A czemubys za mąż nie wyszła? — podsuwała niemiłosiernie Joasia. — Toć on tu chyba na darmo nie chodzi; a kiedy cię miłuje, nie gardź porządnym człowiekiem, bo to grzech.

— Kiedyż on garbaty! — zrozpaczonym głosem wołała Marcysia.

Tym argumentem chciała siostrę przekonać; zapomniała w tej chwili o jej kalectwie.

— To i cóż, że i garbaty? Porządny, uczciwy, sama mówiłaś. Ma i urząd i dach własny; sam mówił, że sobie trochę grosza zaoszczędził.

— A niechaj oszczędza, ale nie dla mnie — odparła znowu zniecierpliwiona Marcysia.

I poczęła szyc zawzięcie, milczeniem siostrę zbywając.

Pan Walery tymczasem straszne sobie robił wyrzuty, jak on śmiał, jak on się mógł odważyć! Toż ona go wypędzi jak psa i będzie miała słusność! Co jemu do niej? Toć on jeden tylko ma garb... a ona jak obraz, jak malowanie...

I począł sobie wymyślać od ostatnich słów: zelżył się, zląjał, nie oszczędzając sobie naj-

sroższych przekleństw; a co gorsza, na niewinnym garbie wywarł znowu złość swoją i kulakami częstował gęstemi plecy biedne, wypukłe.

Przez trzy dni chodził jak pijany po mieście; chciał wracać do swego urzędu, do swojej poczty, ale nie! sił mu do tego brakło... Nie śmiał się jednak u Marcysi pokazać. Gdy się oburzenie jego przeciw samemu sobie zamieniło na współczucie dla siebie, na żal wielki dla swojej niedoli, na dawny bunt przeciwko niebu, powiedział sobie:

— Niech mnie precz wygoni!... Toć ją jeszcze raz ujrzeć muszę!... Co ja gorszego od drugich?...

I poszedł.

Marcysia go precz nie wygnała, choć nie uśmiechała się do niego słodko, swobodnie, jak dawniej.

On to dobrze zauważył; posmutniał srodze, a żegnając ją i niewidomą, mówił sobie:

— Już mnie często oglądać nie będą. Ktoby tam zniósł takiego potwora. Nikt mnie nigdy cierpieć nie mógł.

Przyznawał jednak w duchu, że niewidoma była dla niego lepszą niż zwykle, ale myślał tak:

— Kaleka, to mnie rozumie. Ot, czemu to ja jej kochać nie mogę, tylko tamtą?... Zaczęło się pokrace, straszdyłu... oj, głupi! głupi!

Jednak kołatając się tak z myślami, nie jeżdząc już i nie pijąc z tej wielkiej zgryzoty, rzekł sobie:

— Trzeba jechać, niema co? Pójdę, pożegniam się z niemi i nie wrócę więcej. Chleba pilnować trzeba, żeby człowiek nie zdechl z głodu! Lepiej byłoby i zdechnąć, ale taki to żywot twardy. A naczelnik, kanalia, już i tak krzywy!

Więc poszedł się z „niemi“ pożegnać.

Ale Marcysi nie zastał, choć było to wieczorem. Zastał tylko niewidomą.

Ugościła go, serdecznie przyjmując herbatą i kajzerkami i tak im jakoś gładko szła rozmowa, że aż się później sami dziwowali.

Ni z tego, ni z owego, poczęli się sobie uskarżać na swoją niedolę; on czuł, że ona jedna na świecie ma go istotnie za człowieka, bo garb jego nie egzystuje dla niej...

Siedzieli naprzeciw siebie; ona nie mając pojęcia o pięknie, bo oczy jej w ciemnią niezgłębianą wpatrzono były, on miał oczy tylko dlatego, aby ocenić, rozróżnić linią prostą

od krzywej, aby ocenić cały ogrom swojej niedoli.

W tej chwili jednak o tem nie myśleli. On jej mówił:

— Niewesoło wracać do domu, kiedy człek sam jak kolek na świecie.

Ona pytała:

— A czemu się pan nie żeni? Snać na tym punkcie miała *idée fixe*.

— Ktoby, mnie zechciał? — miał ochotę dodać: „z moim garbem,“ ale tego słowa nigdy głośno nie mógł wymówić przy ludziach.

— Jużci każdy na swoją trafi.

— Ja tam mojej nie znajdę, bo choćbym znalazł, toby ona na mnie nie spojrziała.

— Tak się też panu zdaje.

— Chyba nie.

— A ja panu mówię, że tak.

Pan Walery uważnie spojrział na niewidomą i serce zakołatało w jego piersi. Miał siłę zapytać:

— A z kąd pani wie?

— A może i wiem.

Chytra była Joasia. Co dnia przypuszczała szturm do serca Marcysinego i codzien wyla-mywała kawał muru fortecznego czyli opór, jakim to serce było opancerzone. Gdy jej pan

Walery oświadczył na wstępie, że to poze-  
gnalna wizyta, przestraszyła się wielce, bo w du-  
chu postanowiła, że Marcysia lepszego konku-  
renta nie znajdzie i że jej nie pozwoli szczę-  
ścia odrzucać.

Teraz więc wzniecała pożar w rozgorzałem  
sercu garbuska, aby celu dopiąć.

On uszom nie dowierzał i pytał:

— Może panna Joasia żartuje, bo się nie  
godzi z biednego człowieka tak kpić.

— Czego mam żartować?

— A co panna Joasia wie?

— Coś ciekawego. Niechno się pan Mar-  
cysi zapyta.

— Panna Marcysia i słuchać nie chce mego  
głosu.

— To się tylko tak zdaje.

— Albo to ona dba o takiego — i znowu  
zamilkł.

— A może i dba.

— O! panno Joasiu kochana — i tu już  
bez skrupułów schwycił pan Walery w obie-  
dwie ręce rękę Joasi i począł ją całować nie  
raz, nie dwa, ale dziesięć. — Albo to prawda?  
Albo to może być prawda? — A tak mu się  
głos zmienił od wzruszenia, taki szął jakiś  
uczula Joasia w bliskości siebie, że się aż za-

trwożyła i nie wiedziała, co poczynać z tym szalonym garbuskiem.

Wtedy to weszła Marcysia, nie rozumiejąc co znaczą demonstracye pana Walerego; on jednak licząc na słowa niewidomej, pośpieszył na jej przywitanie i znowu po rękę całować począł i tak dziękować, tak dziękować... Z początku nie wiedziała za co, ale gdy się domyśliła, nie miała serca odrzucić tego biedaka, który ją tak -ogniście, tak szalenie, tak bezgranicznie miłował. Więc koniec był ten, że niewidoma udając się na spoczynek, pierwszy raz swobodnie odetchnęła, myśląc o przyszłości. że garbusek, wracając do swego zajazdu, nie wiedział, czy to czary, czy sen, czy śmierć nastąpiła, a on się do raję dostał; że Marcysia kładąc się do swego drewnianego twardego łóżeczka, myślała sobie: „Może to i nieźle! Joasia taka kontenta, on taki szczęśliwy! A ja?“ Nie zdążyła odpowiedzieć na to „ja“ i już zasnęła. „Ja“ u niej było drugorzędną rzeczą, bo nie miała nigdy czasu myśleć o sobie.

Pan Walery Markusz nie potrafiłby określić stanu swego serca i duszy, gdy się znalazł w rodzinnem mieście, aby dom urządzać dla „niej,“ dla Marcysi.

To od zmysłów odchodził w jakiejś dzikiej,

szalonej radości, to mu się zdawało, że śni tylko i że jakieś cudowne sny niebo mu zsyła, to płakał z rozczulenia nad Marcysią i Bogu dziękował, klękając czasem na środku izby w swoim mieszkaniu i tłukąc głową o podłogę, aby przebłagać Stworzyciela za dawne złorzeczenia i bluźnierstwa, aby dziękować za taką olbrzymią, niezasłużoną łaskę, za to dobrodziejstwo niewypowiedziane. Gdy na chwilę czasem myśl jego odrywała się od ukochanej dziewczyny, aby się zaabsorbować sprawą do urzędu przywiązaną, to powrót onej myśli do ukochanego przedmiotu był za każdym razem niby w ocknieniu, jakiego muszą doznawać ci, co w ciężkiej niedoli schodzą ze świata i w raju się budzą.

Myśli rozkoszne poczynają się zwykle od słów: „Marcysia będzie moją żoną,“ a wtedy w takiej błogości, w takiej słodyczy się rozpływał, że aż mu oczy mgłą zachodziły, a serce ręką przytrzymał, bo mu się do Marcysi rwało i tak niespokojnie, choć radośnie biło.

Nie wiedział jak to oznajmić ludziom, że on, garbus, się żeni. Miał ochotę krzyżeć, ogłaszając światu całemu tę radosną nowinę; byłby chciał wróblom i drzewom i jeziorku głośno



rozpowiadać, co to za szczęście go spotkało, a jednak nie śmiał; wstyd mu było czegoś... I choć w duchu takim się czuł dumnym, tak za nic miał wszystkie wielkości, potęgi i chwały, w porównaniu do swojego szczęścia, nie mógł się jednak zdobyć na odwagę, aby z hardą miną pochwalić się przed drugimi swoim tryumfem.

Przeciwnie, harda mina ustępowała jakiejś nieśmiałości, gdy mu przychodziło o tem mówić.

Pierwszą jego powiernicą była pani piekarczowa, a choć jej się nie bał, to przecież oczy spuścił, opowiadając jak się to stało, i podniósł je dopiero, gdy chciał wyczytać z twarzy powiernicy, jakie to na niej wrażenie zrobiło, podniósł je z dawną podejrzliwością, nieufnością; szukał jakiejś ironii w uśmiechu, albo złośliwości w słowach; obawiał się, czy ludzie za złe Marcysi nie wezmą, że jego sobie bierze za męża — i znowu garb go gniótł i parł ku ziemi, i ciężył i ważył więcej, niż wszystkie kamienie młyńskie razem zebrane.

Nie wiedział także, jakiej taktyki trzymać się w biurze, w godzinach urzędowych. Teraz serce dyktowało mu taką słodycz, taką wyrozumiałość, że aż rozum musiał wejść w tę sprawę; i tak jak kiedyś bronił mu zbytniej

surowości przez wzgląd na przepisy rządowe, tak teraz zabraniał mu zbytnej pobłażliwości przez wzgląd na te same przepisy. Nietylko rozum, ale ta sama niewytłómaczona obawa, czy się ludzie z niej nie śmieją, czy za złe nie mają garbatemu, że kocha?... czy jego niewyrozumiałości nie poczytują za śmieszność i nie szydzą z niego?...

Więc tak dla formy, dla zwyczaju, burknął jeszcze czasem na Józka, albo innego „poddanego,” pogderał na niewyraźne pismo, ale z wyjątkiem konieczności, nie zwracał już nikomu ni listów, ni pakietów.

W czasie, gdy po raz trzeci opuścił miasto swe rodzinne, udając się do Warszawy, w kościele Reformatów ksiądz wikary wygłosił z ambony:

„Zabierają się do stanu małżeńskiego: Walery Markusz, kawaler z parafii tutejszej, z panną Marceliną Kaźmierczykówną itd.“

Chociaż intencye pana Walerego znane już były w mieście, jednakże pewności nie było dotąd, więc nie dziw, że spadnięcie z ambony garbuska, wywołało pewne wrażenie.

Do tejże parafii uczęszczała zwykle pani Walusiakowa, pani Kosmarek i pani Kowalczyk, a że zdawna już wielka była zażyłość

pomiędzy niemi, zatem siadały zwykle na tym samym stopniu bocznego ołtarza w kościele, w czasie kazania kiwały do siebie głową na znak porozumienia w chwili wzruszającej, gdy naprzykład o śmierci była mowa, albo o szkaradzie grzechu pijaństwa lub potwarzy itp.

Wzdychały także równocześnie, gdy westchnąć wypadało; słowem, jedność panowała między niemi i harmonia, z wyjątkiem nadzwyczajnych wypadków, jak to kiedyś *à propos* koloru skóry dyabła, albo jakiej recepty na odziębienie palców, albo wściekliczny. Poza tem, *trio* to zawsze szło *unisono*.

Trzy te panie nie należały naturalnie do tejże samej sfery, co garbus i jego narzeczona, bo jedna była stróżką, jak się już powiedziało, druga praczką, a trzecia kucharką i jeneralnym ochmistrem dworu pani nauczycielowej; ale to im nie przeszkadzało zajmować się gorliwie sprawami wyższej klasy społeczeństwa.

Wszystkie trzy zresztą spełniały nieraz funkcje do biura pocztowego, wszystkie trzy zatem należały bezpośrednio do „poddanych“ pana Markusza; a wiadomą rzeczą jest, jako władcy najbardziej podlegają sądowi i krytyce swoich podwładnych.

Trzy panie, o których mowa, nie miały spo-

sobności dość dawno widzieć się z sobą i zamienić zdania w niektórych przedmiotach; albo też może pani Walusiakowej nie przyszło na myśl poinformować swoich przyjaciółek o sympaty, jaką w niej Marcysia wzbudziła, w owym czasie, kiedy szła w domu pani sędziny, a ona rolę odźwiernej grała.

Widocznie jednak nie o Marcysi nie wspominała, bo inaczej tak Kowalczykowa, jak Kosmarek nie byłyby się ośmieliły, wychodząc z nabożeństwa u Reformatów, w ten sposób rozmowy zagaić:

— A słyszeliście zapowiedzi? — mówiła Kowalczykowa. — Toć się ten pokraka kary boskiej nie boi! No, patrzcie państwo, toć on taki naprawdę chce się żenić...

— To i cóż, że chce?.. — pyta już złowrogim głosem pani Walusiakowa.

— At! on chce... Nie dziwota, że się takiemu dziwolągowi ładnego buziaka zachciało!.. Ale żeby się taka znalazła, coby jej nie obrzydł, to już chyba jakieś ładaco być musi...

Pani Walusiakowej oczy zabłyśły.

— Nie pletlibyście, Wojciechowa (takie było jej mężowskie miano). Grzechu się nie boicie! Ładaco... Jakie ładaco? Jeszcze was Bóg pokarze za takie gadanie!.. Złoto, nie dziewczyna!

Toć ja ją znam: ino do rany przyłożyć; a potulne, a ciche... istny baranek! Ulitowało się to nad garbatym, boć i on stworzenie boskie. Czego to gadać takie gadanie. At!

Pani Wojciechowa zażenowała się widocznie i spokorniała bardzo; serce jej poczęło wyrzucać brak współczucia dla kaleki. Dotąd obóz miasteczkowy dzielił się na dwie partye: tych, co pogodzili się z panem Walerym i sprzyjać mu poczynałi, i tych, co go odsądziłi od praw ludzkich, nie będąc wtajemniczeni w jego reformę i obronę, jaką Marcysi zawdzięczał.

Tym ostatnim trzeba oddać sprawiedliwość, że gotowi byli odstąpić od swych uprzedzeń, gdy ktoś logicznie zrobił apel do ich serca, jak to w tej chwili dzielna Walusiakowa uczyniła.

— Niechno tylko się tu pokaże to paniątko — dodała jeszcze — tak zaraz do niej pójde z powitaniem, bo warta tego i sierota nieboga... i siostrę ma ślepa, jak mi to mówiła, i nikogo na świecie... Garbus, choć garbus, to ją i uszanuje i dobry dla niej będzie...

Tu przerwała jej pani Kosmarek, obdarzona umysłem sceptycznym i nie tak łatwo dająca się przekonać.

— Juźci, ja nie wiem, co tam będzie i czy on ją uszanuje, czy nie; ale co prawda, to

dziwno mi, że się dziewczyna za niego wyjść zdecydowała. A widział go kto kiedy w kościele?... A przeżegnał się kiedy? Pana Boga pochwalił?... Kłąć to potrafił i tyła!

— Ba, a wy nie potraficie? — pytała złośliwie Walusiakowa.

— Każdy potrafi, ale Pana Boga przeprosi, tylko poganin, faryzeusz, klnie a nie przeprosi.

— Kto go tam wie, czy nie przepraszał? Pan Bóg osądzi. Ona pobożna dziewczyna, do kościoła codzień chodziła i modliła się to jak święty obrazek. Jużci choćby w nim i złe siedziało, to ona odczyni. Zobaczycie moje słowa.

— Już to odwagę ma garbus, brać taką ładną żonę; niedarmo gadają, że w garbie dyabeł siedzi.

— Nieprawda, nie siedzi — energicznie przeczyła Kosmarkowa, choć tylko przez ducha opozycyi, bo chwilę temu i ona na garbusa wymyślała. — Św. Izydor garbaty, a do nieba poszedł. W litanii do wszystkich świętych drukowany. Dalibóg, że prawda — mówiła, widząc, że towarzyszki niedowierzająco na nią spoglądają.

— Widzieliście św. Izydora, że garbaty?

Kto mówił, że garbaty? — poderzliwie Walusiakowa pytała.

— A u Bernardynów nie wisi na ścianie? czy co? Czy ja oczu nie mam? czy co? — bardzo urażona broniła swej sprawy Kosmarkowa i miała słusność, jak się okazało. W kruchcie u Bernardynów wisiał obraz, przedstawiający św. Izydora schylonego nad pługiem, malarzowi przy pracy ręka się powinęła i ztąd plecy świętego w kłębek zgięte nabrały zanadto wypukłości, to pozwalało przypuszczać, że święty był garbatym wistocie.

Droga trzech przyjaciółek prowadziła koło Bernardynów, kościół był otwarty, poszły się więc przekonać o prawdzie słów Kosmarkowej, a na jej tryumfujące: „A co? nie mówiłam?” kumoszki twierdząco kiwały głowami. Same sobie się dziwiły, że dotąd nie spostrzegły tak ważnego dokumentu, popierającego sprawę wszystkich garbatych na świecie i z głębszem jeszcze przekonaniem wyszły z kruchty, że pan Walery może być zacnym i uczciwym człowiekiem, skoro św. Izydor mimo garbu był świętym.

Miały słusność, krzewiąc to przekonanie w mieście. W kilka miesięcy po osiedleniu się Marcysi w W. jako żony pana Walerego Mar-

kusza, dla wszystkich już znaną było rzeczą, jako pani Walerowa na rękę jest noszona przez męża, jako proch przed nią zmiata; a ponieważ nawet doskonałość mężowska powinna mieć swoje granice, więc mówiono w złośliwych kółkach, że garbus podpisałby dyabłu duszę za żonę.

Znalazł się ten i ów między złotą młodzieżą miasta W., który sobie układał plany podboju pięknej pani garbusowej, jak ją nazywano. Nawet panu aptekarzowi podobno okrutnie wpadła w oko, a że posiadał piękny wzrost, był szczupły, zwinny, a do tego miał bardzo piękny wąs, więc ani przypuszczał, aby pani Walerowa mogła nie wpaść w jego sidła.

Bywał też często u garbusków, bo państwo Walerostwo nie uciekali od ludzi. Marcysia wesolego była usposobienia, lubiła sobie pogawędzić i pośmiać się czasem, a garbusek rozplywał się w takim niebiańskim szczęściu, widząc żonę zadowoloną i swobodną, że byłby, oj! byłby chyba doprawdy duszę zaprzedał, byle tylko uśmiech widzieć na tej ukochanej twarzy.

Codzień był dumniejszym ze skarbu swego, szczególnie gdy spostrzegł, że teraz u nikogo



nie pojawia się już ten szyderczy uśmiech, odnośnie do niego.

Z dawniejszej nieufności i obawy narażania się na śmieszność, gdy szedł obok swej pięknej żony, dziś pozostała tylko duma, pycha nawet, bo się czuł większym i szczęśliwszym od króli... a taki był próżny, gdy o nią chodziło. Byłby ją chciał odziać w złoto, aksamity i atłasy; byłby ją chciał perlami obsypać tę swoją perłę najmilejszą.

A ona? Doprawdy, że mu wdzięczna była za tę cześć, jaką jej oddawał, choć go upominała czasem, że to grzech tak bardzo miłować, ale przywiązała się do niego. Dobrze im było razem; prędko bardzo i niewidoma siostra przyłączyła się do nich, bo pan Piotr poszukał sobie drugiej dozgonnej towarzyszki, która dotąd wprawdzie nie używała warząchwi jako egzekutorskiego narzędzia, ale nie mogła znieść ślepej krewniaczki, więc Marcysia, która o tem tylko marzyła, sprowadziła ją do siebie. W tej chwili garbusek okazał się tak dobrym, własną ręką przygotowywał pokoik dla siostry; okleił jej nawet ściany papierami, choć ich nigdy widzieć nie miała, wbijał haki na wieszadła, ustawiał, upiększał jakimiś rycinami, jednym słowem, taką gorliwość okazywał w gotowaniu

się na przyjęcie niewidomej, że nie mógł nie wzruszyć serca żony. Nawet nową szafę dokupił jeszcze, aby Joasia miała gdzie swoje suknie wiesząć, choć mu Marcysia dowodziła, że się jej rzeczy doskonale pomieszczą w jednej komódce.

Przyjęcie Joasi należało policzyć do najpiękniejszych chwil w życiu garbuska, bo gdy wieczorem dnia tego spożyto kolacją, okraszona serdelkami i arakiem do herbaty, Marcysia tak była rozpromieniona widocznem szczęściem siostry kaleki, że w celu okazania wdzięczności mężowi za tyle dobroci, siadła nieproszona na jego kolanach, pocałowała go w oczy (a miał oczy piękniejsze od aptekarskich) i powiedziała mu:

— Ty jesteś taki poczciwy Walerku!... już też lepszego męża niema na świecie.

Chwili tej nie miał zapomnieć pan Walery w życiu swoim, nawet choćby mu dziesięć razy żyć przyszło, była ona ukoronowaniem wszystkich marzeń jego. Nie wyobrażał sobie, żeby tak bardzo szczęśliwym być można na ziemi, ej! i w niebie nawet.

Ale wracając do pana Ludwika, zachodził on od czasu do czasu mieszać się do *trio* owego, któremu tak dobrze było razem. Panu Wa-

leremu zdawało się czasem, że maści jego harmonią, ale nie dał tego poznać po sobie; pozwolił pięknemu pogromcy serc wysilać się na wszelkie sztuczki: na wydobywanie chustki pachnącej; a sekret wydobywania chustki z elegancją z kieszeni spoczywa głównie w ręku aptekarzy; pozwolił mu gruchać z żoną swobodnie, i choć go nie lubił, zazdrośnym nie był o niego; może dlatego, że wszelkie złe żywioły zamarły w duszy garbuska. Tylko to jedno można było przypuścić, co pani Walusiakowa jeszcze przed ich ślubem przepowiadała, że w nim Marcysia złe odczyni.

Co prawda, to zazdrość nie miała też czasu się w nim obudzić, bo ile razy spojrzął na oczy Marcysi, tyle razy mówił sobie z głębokim przekonaniem:

— Ona na niego tak nie patrzy, jak na mnie.

„On“ to był pogromcą serc właśnie. A jednak czego on nie czynił w celu doprowadzenia Marcysi, aby na niego czulej spoglądała, niż na swego garbuska. Bo też się w nim rozbudziła prawdziwa zaciekłość w tej sprawie zdobywania jedyne go serca, jakie mu się opierało. Jaki? On? On ma rywalizować z tym śmieszniejszym, strasznym garbusem i być pokonanym?

Ani jemu się to w głowie pomieścić mogło. Prędzejby uwierzył, że nikt nigdy nie zażąda więcej olejku albo rumianku w jego sklepie, niż żeby on mógł odstąpić szturmowi, nie zdobywszy twierdzy.

Bywało, gdy wychodził w celu odwiedzenia pani Walerowej, że się zlewał cały swoją sławną wodą kolońską. A co to była za woda! Świat się kończy!... Nie zliczyłby pan Ludwik komplementów, które za nią odebrał.

Niepojętą jest rzeczą, jak się Marcysia mogła dotąd oprzeć takiemu potrójnemu urokowi wody, osoby i skrzypiec; bo i smyczkiem pan Ludwik przypuścił szturm do jej serca, wirtuozem był w swoim rodzaju; przeróżne, dziwne, a nieznane największym artystom tony wydobywał ze swojego instrumentu; skrzypce jego były zaczarowane; naśladowały czasem zbuntowaną naturę, huk bałwanów, zgrzyt piły po żelazie, pisk duszonego kurczęcia, wycie konającego psa, a to wszystko tak rzewnie i przytem całkiem indywidualnie: bo rutyną gardził i szedł drogą postępu, takt, pauzy etc., odrzucał jako zużyte przeszkody.

Po jednym i drugim wieczorku muzycznym, skoro się panu Ludwikowi wydało, że spostrzegł już pewne rozmarzenie na twarzy

Marcysi, zdecydował się na krok stanowczy, na wynurzenie uczuć swoich.

Miał do tego wiele sposobności, czasu mu nie brakło, bo zajęcia wszystkie zlewał na subiekta. Tymczasem pan Walery zawsze z równą sumiennością spędzał długie godziny w biurze, a żona jego krzątała się koło domu. Zaprowadziła kurze gospodarstwo i to jej się wiodło, jarzyny sadziła, sprzątała; naprawiała bieliznę, garnków pilnowała, jednym słowem dopełniała różnych obowiązków.

Tuż przy niej, albo w bliskości, niewidoma Joasia z paciorków różnokolorowych wyrabiała koszycki, sakiewki, zabawki, kwiaty nawet, a co kilka miesięcy pudełko pełne paciorkowych wyrobów ekspedyował pan Walery do Warszawy, gdzie Joasia zbyt na nie znajdowała.

Pan aptekarz wiedział, że o pewnych godzinach zastanie Marcysię w domu bez dozoru mężowskiego i na godzinę taką liczył.

Ku jej wielkiemu zdziwieniu znalazł się dnia jednego w jej ogródku właśnie, gdy cebulę wyjmowała z gruntu. Dziwna mieszanina woni cebuli z wodą kolońską (własnego wyrobu) rozeszła się w powietrzu; to atoli nie przeszkadzało panu Ludwikowi, aby korzystać z czasu

i wyrazić jak bardzo jest szczęśliwym, że ją samą zastaje. Obawiał się, aby mu kto nie przerwał zgóry ułożonej deklaracyi, dlatego to gorączkowo w coraz większy wpadał zapał, aż Marcysia przerażona cofnęła się prędko do pokoju Joasi, on dążył za nią; gdy spostrzegł się wobec niewidomej, wrócił natychmiast do przytomności i tak przyzwoicie począł panie rozmową zabawiać, że Marcysia zupełnie się uspokoiła. Udzielił jej nawet rady, czem najlepiej plamy ze starzyzny wywabiać i nauczył ją nowego sposobu na pozbycie się karaluchów z kuchni.

Pomimo tej prozaicznej rozmowy, rzucał na nią niekiedy wyraziste spojrzenie; ona ze zwykłą sobie uprzejmością uśmiechnęła się kilka razy, a on uśmiech ten brał jako zachętę i nadziei nie tracił, że kiedyś może lepiej mu się uda.

Byłby chciał chętnie na pożegnanie szepnąć coś znaczącego na ucho pani Walerowej, właśnie układał sobie w myśli piękny frazes, ale ten zawisł na ustach jego, powstrzymany przez tryumfalne wejście pani Walusiakowej, która proszę ciągnęła na sznurku za nogę i zatrzymała się tak w proggu, inwentarz zostawiając w sieni za sobą.

— Kupiłam, proszę pani. Dalibóg, że tanio. Teraz prosięta podrożały, bo perki obrodziły, a to dobry gatunek, będzie z niego pociecha — tak jednym tchem prezentowała pani Walusia-kowa swój nabytek.

Zmięszała się trochę, gdy ujrzała olimpijskie oblicze młodego bohatera, bo nie było takiej w mieście, któraby wytrzymać mogła obojętnie to orle spojrzenie. Ale pewność siebie wróciła jej, gdy ją Marcysia witać poczęła po przyjacielsku, dziękując za oddaną przysługę, boć stróżka pani sędziny wcale nie potrzebowała prosiat dla niej kupować. Ale taką przyjaźnią rozgrzało jej serce ku Marcysi, że jej gotowa była w każdej chwili usłużyć i dopomódz, a że miała wiele doświadczenia, Marcysia chętnie korzystała z rad jej i praktyczności.

Prosię tymczasem kwiczało, a pan aptekarz, że był nerwowy, uszy palcami zatykał, dlacze-goż miał ukrywać przed Marcysią, że ma nerwy? Taki dystyngowany człowiek, jak on, musiał mieć nerwy.

Pani Walerowa zaś, mniej dbająca o dystynkcyą, unosila się nad nowym dobytkiem, zupełnie zapomniała o swym gościu, nawet efekt palców w uszach, dowodzący o owej wyrafinowanej delikatności jego nerwów, został dla niej

stracony, bo pochyłona nad prosięciem, czułemi imionami je darzyła.

— Nie kwicz biedactwo, krzywdy ci nie będzie, poczekaj, dostaniesz kartofli i słomy, aby ci było miętko. A prosiątko takie było białe, taki miało różowy ryjek, że tylko wstyd przed Walusiakową powstrzymał Marcysię, że go nie pocałowała.

Pan Ludwik nie mógł znieść dłużej tak trywialnego widoku, była chwila nawet, również stracona dla Marcysi, w której oczy ręką zasłonił, jak gdyby chciał się pozbyć tej przykrej sceny.

— Potwór ten garbus — pomyślał pan Ludwik, odchodząc. — Tak pięknej kobiecie zacząć pracować od rana do wieczora, o prosiętach, o cebuli myśleć. Ale też i ona straciła w moich oczach. To nie to, co myślałem. Gęś i tyle. Ale ładna bo ładna. No, jeszcze niewszystko stracone...

Co do tego, czy wszystko stracone, czy nie, trudno zgóry przesądzać, ale w czem się stanowczo mylił pan Ludwik, to w tem, że garbuska nazwał „potworem,” z powodu braku względności dla żony.

Gdyby on widział pana Walerego, gdy wracał z pocztowego biura! Ile razy dążył on wy-



deptaną już ścieżyną do swego domu, od chwili, gdy w nim Marcysię jako żonę umieścił, tyle razy serce jego biło i w gardle go ścisnęło z nadmiaru wzruszenia.

Szedł zawsze przyśpieszonym krokiem, byłby pędził nawet z szybkonożnym Józkiem na wyścigi, ale się wstydził, póki był na ulicy, skoro jednak dostał się na przedmieście, rzeczywiście klusem poczynął dążyć, aż kumoszki siedzące na przyzbie pod wieczór, mawiały: „Uroczyła żona garbusa! Ktoby go poznał... I ładniejszy i zgrabniejszy i lepszy. A jak się śpieszy do domu. Oj, oj! nie dziwota, pięknego ma ptaszka w klatce.“

Że pięknego, o tem pan Walery najlepiej wiedział.

Marcysia naprzeciw niego wychodziła to na próg domu, to do furtki ogrodowej. Gdy ją tak zdaleka spostrzegł, tak się w nim coś rozpływało, takiego blasku nabierało wszystko dookoła, taka jakaś cudna muzyka grała mu w sercu, że już sam sobie rady nie wiedział... Zdawało mu się czasem, że to już chyba grzech być tak bardzo szczęśliwym...

Gdy stanął obok żony, gdy zaczął ręce jej całować, a w oczy patrzeć z taką miłością, z taką nieprzebraną miłością, to i ona szczę-

śliwą się czuła i Bogu dziękowała za takiego męża.

Pytał ją, czy niezmeńczona, czy zdrowa zupełnie. Łajał, że za wiele pracuje, dowodził, że on potrafi na wszystkich robić, byle ona tylko na puchu spoczywała i stroiła się i panią była i białe ręce miała, ładne trzewiczki i rumieniec na licu.

Takto psuł swoją żonę, a jeżeli ona, ku zgorszeniu pana Ludwika, i cebulę z ziemi sama dobywała i z prosięciem zamieniała czułe spojrzenia, to już taka była jej dobra wola, ale nie wola jej męża.

Gdyby garbuskowi powiedziano, że ma drwa rąbać i drzewo nosić i kamienie bić na szosę i podłogi szorować i pracować za dziesięciu na wszelki sposób, najcięższy, najpodlejszy, byle żonie dobrobyt zapewnić, to byłby i nie jadł i nie pił i nie spał, a kuł, bił, rąbał, aby tylko dać jedno cacko, jeden zbytek więcej swojej ukochanej.

Dotychczas na niczem jej nie zbywało. Gniewać się tylko musiała, że wydaje pieniądze niepotrzebnie, cochwila prezenta jakieś znosząc. Psuł ją jak mógł, jak umiał, a odkrył się w nim prawdziwy zmysł, genialność w pomysłach do psucia; przedtem niebardzo on umiał rozma-

wiać, wypowiedzieć to, co myśli. Teraz takie piękne rzeczy wynajdywał, aby żonie wyznawać codziennie, że ją kocha i jak ją kocha, tak czule wyrazy znajdował dla niej, tak umiał dogadywać jej na każdym kroku, że żadna królowa, księżniczka, ni kochanka książęca, nie była więcej i lepiej uwielbianą, ocenianą, ukochaną.

Tak przeszedł nieledwie rok cały. Śliczna Marcysia z-mężem i siostrą kalekami, szczęśliwą była na świecie, jak mało kto... Ani się potrzebowała zafrasować, brwi zachmurzyć, ani zagniewać, bo choćby chciała, to nie miała o co, a choćby i miała, to jej natura ani do frasunku, ani do gniewu nie była skorą.

Pan aptekarz tymczasem podchodził i z prawa i z lewa, szukając nowej sposobności, aby Marcysi wyznać swe uczucia. Nie powodziło mu się jednak. Niewidoma zawadzała mu najwięcej. Czy Marcysia na spacer wyjdzie, siostra obok niej; czy po sprawunki, to zawsze z Joasią, czy w domu siedzi, to choć męża niema, niewidoma pilnuje, niby anioł stróż. Jednem słowem, żadnego przystępu do pięknej pani garbuskowej. Przeklinał losy młody bohater, zraził się nawet i do pomady i do wody kołońskiej, a choć używał tych środków podboju

i nadal, to więcej dla zwyczaju, niż w widowiskach pomyslnego skutku.

Swoją drogą, owe asystowanie pani Walerowej nie uszło baczności całej niewieściej falangi. Wszystkich poczęło bić w oczy zajęcie się bohatera młodą kobietą. Posypały się ztąd różne ploteczki, domysły, potwarze i obrony i znowu na dwa obozy podzieliła się ludność miasteczkowa. Na tych, co wierzyli w sukcesy pana Ludwika przy Marcysi i tych, co jej bronili.

Z dniem każdym rosła ciekawość jednych, niepokój drugich, gniew, oburzenie, albo rozczarowanie innych.

Ale co dziwniejsza, to, że z dniem każdym także Marcysia coraz bardziej mizerniała, bladła i chudła. Oczy jej poczęły w głąb zapadać i dawny blask tracić, sen począł być mniej spokojny, apetyt coraz mniejszy — nikła w oczach.

Pan Walery nie śmiał sam przed sobą przyznawać, że widzi tę zmianę. Ale, gdy wracał do domu, a ona leniwym, ociężałym krokiem wychodziła naprzeciw niego, to się w nim tak serce ścisnęło, że mówić nie mógł z wielkiego bólu.

Gdy tak raz dążył na pocztę, strapiony, zatrzymała go pani piekarsowa po drodze.

— A co tam słychać nowego? — pytała.

— Nic złego, dzięki Bogu.

— Żona zdrowa?

— Ot! — machnął ręką, bo mu się tego ranka Marcysia mizerniejszą, niż zwykle, wydała.

— Coś ona teraz strasznie spaszowała — ciągnęła dalej piekarka. — Jużci w jej stanie to nie dziwnego, ale taki trzeba uważać, żeby żadnej mitręgi nie miała.

— Ktoby ją tam mitrężył, chyba zły człowiek. Taką kobietę mitrężyć, to — i nie miał siły dokończyć, tak mu się ekliwo zrobiło.

— Panie Markusz — jabyim coś powiedziała.

— Cóż takiego?

— Bo to, widzi pan, ludzie złe języki mają, a czego to dać im gadać? Taki jabyim tam nie przyjmowała w domu tego pana aptekarza. Ludzie źli, a to niebezpieczny człowiek!

Pan Walery oniemiał — patrzył ogłupiały na piekarkę i nie rozumiał jeszcze znaczenia jej słów. Jej się przykro zrobiło, bo niezła była kobieta, tylko, że miała język niewytrzymały na sekret i że ją sprawy bliźniego więcej niż własne interesowały, w czym się stosowała zresztą (choć w jednym tylko kierunku) do przykazania, miłując bliźnich więcej nawet, jak siebie samę. Gdy spostrzegła wrazenie, jakie słowa

jej na panu Walerym wywarły, pożałowała go serdecznie i jęła pocieszać, mówiąc:

— Et! Nie złego znowu. To tylko takie sobie szczekanie na wiatr. Nikt nie wierzy. Nie trzeba brać do serca.

Garbusek raz, drugi, trzeci otworzył usta, czerpiąc powietrze, którego mu raptem zabrakło i nareszcie niewyraźnym, zdławionym głosem wyrzekł:

— Kto gada?

— Ej, nikt, tak sobie. Ja tylko tak po przyjacielsku ostrzegam, bo żonie dobrze życzę i panu dobrze życzę.

— Kto gada? — już wyraźniej zapytał garbus, a jego oczy tak jakoś dziwnie patrzyły w tej chwili, że się piekarka przestraszyła.

— Dalibóg, że nikt. Ja nic nie mówiłam. Ja tylko tak sobie. Co to sobie robić z ludzkiej gadaniny. Ot, wołają — trzeba bułki wyciągać z pieca; ja zawsze sama dozoruję, bo, widzi pan, beze mnie cała robota za nic.

I nie czekając dłużej, cofnęła się w głąb sieni, na progu której odbywała się ta rozmowa.

Że rutyna, przyzwyczajenie, staje się drugą naturą w człowieku, najlepszy dowód w tem, iż dnia tego pan Walery wysiedział spokojnie

swoje godziny w biurze i nie popełnił żadnej omyłki — pisał, podpisywał, wydawał, odbierał, wszystko automatycznie, ale dokładnie. Czasem mu się tylko w oczach troiło, jakieś błyskawice migwały przed nim, jakieś gwiazdy powstawały, znikwały, mieniły się, zwiększały, mnożyły, malały — ale on przyinknął na chwilę powieki i napowrót brał się do pracy, wycinając kwity, przyjmując podpisy, jak każdego dnia; — jak wczoraj, kiedy był jeszcze szczęśliwym, jak kilka miesięcy temu, kiedy był tak szczęśliwy, kiedy Marcysia miała tak świeże kolory, taki wesoły głos, taki spokojny sen — kiedy ludzie w mieście nie gadali.

Biedny garbusek! W tej chwili tak mu się coś rwie w sercu, tak mu coś huczy w głowie, ani sobie zdać może sprawy z tego, ogłuszony, w oszołomieniu, niby obuchem uderzony.

Koniec pracy na dzisiaj! Wybiła godzina, o której pan Walery zwykł wracać do domu. Dotąd codziennie spoglądał na zegarek co kilka minut, tak mu się czas dłużył, tak byłby się rad urwał z łańcucha.

Codziennie chwycił za kapelusz z pośpiechem i byłby chętnie milowe buty nałożył, aby w jednej chwili w domu się znaleźć.

Dzisiaj jednak, choć godziny pracy wiekiem

mu się wydały, nie widać w jego ruchach tego pośpiechu, z jakim zwykł chwytać za kapelusz i dążyć ku drzwiom.

Coś ruchy jego paraliżuje, a choć go popycha naprzód, w jednej chwili, to w drugiej zdaje się za połę trzymać i nie puszczać.

Dąży jednak przed siebie, oczy w ziemię patrzają, a usta taki bolesny, złamany mają wyraz...

Jedno tylko majaczy w jego głowie: „Cóż dziwnego, że jej się mógł podobać, przecież on nie ma garbu. Alboż to mogła kochać całe życie takiego potwora?...

On, aptekarz, piękny pan Ludwik...

Tak jasno zrozumiał garbus i to odrazu gdy tylko posłyszał, że ludzie gadają, iż nie jemu rywalizować z aptekarzem...

Przybity był, złamany to prawda, ale ani się dziwił, ani potępiał. Przyjął tę wiadomość, jak się śmierć przyjmuje, nikomu za złe nie mając, że się tak stało, bo w tej chwili zdawało mu się, że to było do przewidzenia, że taki musiał być koniec.

Nie byłby umiał sformułować tych wrażeń, były one jednak jasne, wyraźne... Bał się prawie przestąpić próg domu, nie wiedział, jak powitać Marcysię; począł się znów wstydzić



swego garbu, bał się, że ona ze wstrętem musi patrzeć na niego, że tylko przez dobroć wstręt ten ukrywała dotychczas, ale przecież kochać go nie może...

Otwiera jednak drzwi od stołowego pokoju, który był i bawialnią równocześnie i znowu nie dziwi się wcale, gdy spostrzega pana Ludwika, siedzącego obok Marcysi z papierosem w ustach.

Marcysia ceruje pończochy, on jej coś opowiada z tajemniczą miną, ona się uśmiecha.

Jeżeli, mimo całej rezygnacyi garbusa, odzywał się w nim jeszcze jakiś cichy, ukryty głos, a raczej szmer nadziei, to w tej chwili zamarł.

Ból rozdzierający odczuł pan Walery, gwałtowny, straszny, jaki w chwili ciężkiej konania odczuwać się musi; ale znowu ani gniewu, ni oburzenia, ni zdziwienia nie było w nim...

Gdy go Marcysia spostrzegła, odłożyła na bok robotę, ale nie tak żywo jak dawniej, nie powitała go jak dawniej, swobodnym, wesołym głosem.

Znak zapytania tylko można było wyczytać w jej oczach i trochę niepokoju, bo ją uderzył niezwykły wyraz twarzy męża i bladeść jej.

Zapytała:

— Czy ty nie chory?... Zmęczony jesteś bardzo... Może ci zimno?... Zaraz samowar nastawię.

On ją w rękę pocałował, witając i dziękując, siadł w milczeniu na krześle, ciężko. Prawie nieprzytomny spoglądał dokoła siebie, nie wiedząc nawet, co żonie odpowiedzieć, bo mu jedno tylko w głowie niby klinem się wbiło, że taki musiał być koniec. Dziwił się samemu sobie, że mógł być tak głupim i dawno się tego nie domyśleć.

Marcysia przyglądała mu się uważnie i niepokojnym głosem pytała:

— Co ci jest, żeś taki mizerny?... Możeś się zaziębił?... Czy bardzo zimno, panie Ludwiku?... — dodała, zwracając się do pięknego aptekarza.

Teraz równocześnie i mąż i gość odpowiedzieli; pierwszy: „Nie mi nie jest“ — drugi: „Nie zimno wcale.“ — Ten drugi dodawał w duchu: „A to kanalia, bryś dopiero! Tak żona nad nim skacze, a on nawet odburknąć nie raczy.“

Garbusek jednak, gdy mu się raz głos przedarł przez gardło, oprzytomniał trochę. Przetarł oczy ręką i zwracając się do aptekarza,

o wczesnej wiosnie mówić począł, i o chorobach, jakie okrutnie ludzi mitrężyły w tym roku, i o cenie drzewa, i o braku dobrych zdunów do stawiania pieców; ale każda kwestya prędko upadała.

Marcysia nie podtrzymywała rozmowy, smutna czegoś, od czasu do czasu spoglądając na męża; a pan Ludwik w obecności garbuska zawsze stawał się napuszonym, przejętym swoją godnością -i przeświadczeniem wyższości bezwzględnej.

Wkrótce po powrocie gospodarza wymknął się gość, nie żenując się przed pożegnaniem ziewnąć kilka razy, prawie głośno, dwoma palcami od niechcenia usta zasłaniając.

Nie żenował się również pocałować w rękę pani Walerowej raz i drugi i najczulszym wzrokiem obdarzyć ją całą.

Od tej chwili rezygnacya i odrętwienie pana Walerego opuściły zupełnie, zrobił się nagle szkarłatnym, wzrok mu się zaiskrzył... i posunął się krokiem jednym naprzód z podniesioną ręką; szczęściem, że dłoń spuścił jeszcze prędzej niż ją podniósł, i że nikt ruchu jego nie spostrzegł. Bo żeby tak aptekarz rzucił na niego okiem w tej chwili, mogłoby być nie-

szczęście... Aptekarz bowiem nie żartuje i na punkcie honoru jest strasznie drażliwym...

Nic jednak nie spostrzegł i wyszedł w złym humorze, bo mu gospodarz przerwał pierwsze spokojne samnasam z gospodynią.

Gdy się za nim drzwi zamknęły, Marcysia serdeczniej zbliżyła się do męża i ręką włosy jego pogładziła. I znowu pytała niespokojnie czego taki blady, bo ogień, wywołany czułem pożegnaniem pana Ludwika, prędko znikł z jego twarzy.

On patrzył na nią z początku bez żadnego wyrazu w oczach, nieprzytomnie jakoś, dziwnie... Powoli jednak oczy te mówić zaczęły, napełniały się takim uczuciem, ale i takim smutkiem, taką żalością, że i Marcysi ból serce ścisnął...

— Czy się co złego stało? -- pytała.

On nic nie odrzekł, bo nie mógł; tylko nagle posypały się łzy z jego oczu i począł płakać, szlochać coraz rzewniej, coraz głośniej, jak dziecko, aż go żona utulić nie mogła, aż Joasia wyszła z przyległego pokoju, na pół odziana, z obwiązaną głową, aby się dowiedzieć, co się stało...

Ale pan Walery postanowił milczeć i milczał; nic z niego kobiety wyciągnąć nie mo-

gły; trochę mu się tylko lżej na sercu zrobiło, gdy się dowiedział, że jeżeli niewidomej nie zastał w izbie z żoną i z panem Ludwikiem, to nie dlatego, że „tak być musiało“, ale dlatego, że ją głowa rozbolała i że się położyła.

Smutny, smutny tydzień dzielił pana Walego od owej rozmowy z piekarczową.

Walczył z sobą, bo nie wiedział, co mu czynić wypada: czy wyznać żonie, co go dręczy i prosić ją, aby się nad nim ulitowała, czy tacić ów jad, który każde uderzenie serca zamieniał na ból gwałtowny, na klócie jakim ostrem narzędziem — takie bolesne.

Gdyby Marcysi o tem wspomniał, to musiałby ostro się postawić, łajać ją i... gorzej nawet, bo inaczej ona sama możeby nim pogardzała, gdyby on na wszystko pozwolił.

A tak — może ona myśli, że on o niczem nie wie. Lepiej milczeć i tej, która mu tyle szczęścia dała, nie truć, nie dręczyć; — choćby i na wszystko pozwolić, byle tylko być z nią razem i móżdż na nią patrzeć i choć ona go nie kocha — ją kochać.

Czasem znowu myślał: „a może to wszystko nieprawda? Że ludzie gadają, to i cóż że gadają?“ Wtedy miał ochotę zamordować piekarkę i wszystkich mieszkańców miasta. Dawna

nienawiść odzywała w nim, byłby chciał znęcać się nad aptekarzem, drzeć pasy z niego, patrzeć na jego męczarnie i garbu nie mieć. Garb wszystkiemu winien. Gdyby nie on, Marcysia nie aptekarza, ale jegoby kochała, musiałaby.

Ale nie mógł się garbu pozbyć i nie mógł także pozbyć się myśli, że „to prawdą być musi”— musi, bo pewnie ona go kocha, tylko to podle, że ludzie gadają; bo choć go kocha, to ona cnotliwa, pobożna, nic złego nie zrobiła; a że go kocha, to już nie jej wina.

Z tego zaklętego koła czarnych myśli nie mógł się pan Walery wydobyć; z niemi zasypiał, z niemi się budził. Mizerniał, chudł, tracił apetyt i sen, zupełnie tak, jak żona. tylko, że on dla innych powodów, a żona dla innych.

W jakiś czas po owej rozmowie z piekarką, ciężką stopą wracał pan Walery do domu. Bo teraz, wracając z poczty, zawsze jedna myśl go dręczyła, „a nuż go przy Marcysi zastanę?” Bładł, zieleniał prawie na myśl tę i nie umiał sobie rady znaleźć. Zabić aptekarza, ale cóż to pomoże? jeżeli go Marcysia kocha, to jeszcze gorzej będzie. Gdyby on zabił aptekarza, Marcysia by go może znienawidziła; pewnie, że

tak; a zawsze bardzo byłyby nieszczęśliwa. Mógłby go kijem z domu wypędzić, ale... do czego tam garbaty ma prawo? Prawo nie dla garbatego, jeszcze gdy taki głupi, że sobie piękną żonę bierze i myśli, że go żona kochać będzie.

I to, że ludzie gadają i że go zazdrość gryzie, szarpie okrutnie — i to, że rady żadnej na złe niema, tak gnębiło pana Walerego, że się z niego inny człowiek zrobił.

Teraz, gdy wedle ludzi przechodził, znowu mu się zdawało, że na niego palcem pokazują; ale już nie na garb jego, tylko na coś, czego mu więcej wstyd było, a czego, tak jak i garbu zrzucić z siebie nie mógł.

Tak zżółkł biedny, jak воск, jak stary paragan.

Otóż w jakiś czas po rozmowie z piekarką, gdy wszedł do izby, wracając z poczty, zastał Marcysię całą we łzach...

Aż mu się ciemno w oczach zrobiło na ten widok; nie śmiał ust otworzyć z zapytaniem, ale się Marcysia pierwsza odezwała:

— Walerku... Boże mój, Boże... Walerku...

— Co ci się stało, kochanie?... Mów, dla Boga!

— Ten aptekarz... ten łotr... ten... ten...

Pan Walery oniemiał; w piersiach mu tchu zabrakło...

Marcysi jednak głos się powoli upewniał i z większym spokojem, nie łkając już mówiła:

— Poszłam dziś z Joasią na spacer, poszła i piekarczowa i pani nauczycielowa i ten... ten szubrawiec, zbereźnik, wisielczuk. I zaczął mi pleść ni to, ni owo, tak ja mu: „A zasie!“ A on mi wtedy: „Et, pożartować wolno“; i chciał mnie w ramię pocałować, tak ja wymyślałam od ostatnich, a on: „Męża niema, to i cóż to szkodzi? można sobie wszystko pozwolić“. Tak ja się odwrócę, a okrutna złość we mnie kipiała i jak nie palnę po twarzy, ot, co tylko siły miałam, aż odskoczył.

I tu Marcysia wśród łez śmiać się poczęła, serdecznie, wesoło, a pan Walery nie wiedział, czy śni, czy doprawdy żona wszystko to mu opowiada.

— I co? — pyta zdławionym od emocyi głosem.

— I co? Ano, poszedł, ale zwymyślał na-przód, co to się z kanalią zadawać, że my wychowania nie mamy, że on mi honor robi i na ciebie i na mnie wydziwiał, ale ja mu też gębę zamknęłam.

— A piekarka? — pytał garbus.



— To i co piekarka? Jak tamtem poszedł, ja zaczęłam płakać, a ona mnie całować i pocieszać i wymyślały mu od ostatnich i mówiły, że sprawiedliwie zrobiła, bo to taki łapserdak, lichy wie co.

I znowu się rozplakała, bo jej wstyd było mówić o tem wszystkim.

Garbuskowi jednak na łzy się nie miało, tak mu się niespodzianie stoczył ów okrutny kamień z serca, że sam sobie nie dowierzał jeszcze, aby to prawda była.

Więc ona go nie kocha? tego aptekarza szatańskiego? Ona powiedziała „łapserdak“, więc go z pewnością nie kocha. A piekarka widziała i nauczycielowa, więc przestaną ludzie gadać i na niego palcem pokazywać nie będą.

Tymczasem Marcysia przytuliła się do niego i łkając, znowu pytała:

— Nie gniewasz się na mnie?

— A za co? złoto ty moje. Za co ja się mam gniewać na ciebie, mój skarbie, mój gołąbku. — A byłby chciał z piersi serce wyrwać i dać je jej pokazać, jako w tem sercu nic nigdy innego dla niej się nie mieściło, jak wielka miłość i że w niem nic innego niema; żadnego innego uczucia dla nikogo, dla niczego, tylko

dla niej jednej i wdzięczność dla Boga, ale jeszcze za nią, bo wszystko się do niej odnosiło.

Gdy się trochę uspokoił, pytał żonę:

— Czy chcesz, żebym mu kości pogrucho-  
tał? Zabiję, zgniotę tego hultaja — kij na nim  
połamie!

— Byle on ci krzywdy nie zrobił — od-  
parła.

A garbuskowi ta jej troskliwość o niego  
wydała się czemś tak słodkiem, tak rozkosznem,  
że byłby chciał coś dla niej zrobić takiego, na  
co się jeszcze nikt nie zdobył, okazać jej wdzię-  
czność... Ot, już sam nie wiedział, co chciał;  
wiedział tylko, że ją tak kocha — tak kocha...

Gdy w kilka dni później aptekarz, jak gdyby  
nigdy nic, chciał żonę jego przy spotkaniu  
w rękę pocałować, garbus laską gruchnął mu  
o plecy, aż panu Ludwikowi w oczach świeczki  
zamigotały; chciał i on odgruchnąć, ale laski  
nie miał, a zanim garbusa dotknął prawicą, już  
ich ludzie rozdzielili i zupełnie od tego czasu  
przestali gadać. Rozeszło się po mieście, że  
garbus kije łamie na tym, co się do żony jego  
zbliża i że Marcysia uczciwa niewiasta, nie daje  
przystępu do siebie.

Walusiakowa opowiadała pani Kosmarek, że  
Marcysię to pewnie anieli do nieba na rękę

zanosą za tę krzywdę, co jej ludzkie języki chciały wyrządzić, gdy na to pani Kosmarek nieco sceptycznie i lekkomyślnie rzekła:

— Jeszcze ta anieli na nią nie czekają... jak mąż garbaty, to się i pocieszyciela łącno szuka.

Walusiakowa w taką wpadła zajądlność z tego powodu, że pani Kosmarek z całą godnością odwróciła się do niej tyłem i kartofle obierać poczęła, uznając za niestosowne dyskutować z kobietą, tak dalece nie umiejącą zachować równowagi i spokoju w dyskusyi.

Garbusek tymczasem odzyskał swój raj utracony; a gdy żonę czcił niby bóstwo jakie, gdy ją najśłodszymi imionami nazywał, takie znowu szczęście, taka błogość wstąpiła do serca jego, że byłby wolał wieczność całą być garbusem na świecie przy Marcysi, niż najpiękniejszym z aniołów w niebie.

---

Ale niedobrze jest, gdy ludzie nad aniołów się wywyższają, gdy im każą zazdrościć szczęścia swego.

W jakiś czas, może w kilka miesięcy po zgnębieniu nieprzyjaciela przez Marcysię, po walnym odporze, danym pięknemu aptekarzowi,

garbusek promieniejący, przyglądał się ciekawie małeństwu sinemu, które wrzaskiem życie swe objawiało, a garbusek był ojcem tego małeństwa krzykliwego. Ale Marcysia nie mogła się przyjrzeć swemu dzieciątku, bo głowy unieść nie zdołała z poduszek, a taka była wycieńczona, tak zgębiona chorobą, że nawet nie objawiała ciekawości żadnej; oczy miała otwarte, ale zamglone i obojętnie dokoła spoglądała.

Jednak koło wieczora zasnęła na godzinę; gdy się przebudziła, zdawała się być przytomniejszą. Pan Walery, wpatrzony w nią, nieruchomie godzinami całemi siedział obok jej łóżka.

— Gdzie dziecko? — zapytała Marcysia.

Jego oczy zaśmiały się do niej z taką radością, z takim przywiązaniem. Wstał i podał zawiniątko żonie, z którego się znowu piskliwy głos wydobywał.

Ona z trudnością głowę dźwignęła i pocałowała w czoło swego syna. Natychmiast jednak głowa opadła na poduszki i ta sama apatya pojawiła się w oczach Marcysi — i ten sam niepokój w spojrzeniu garbuska.

Nocą i pan Walery i Joasia oczu nie zmrużyli, dziecko krzyczało, wpadając z jednych konwulsyj w drugie, siniało i omdlewało, tak

że oboje myśleli, iż więcej głosu jego nie posłyszają. Jednak po chwili znowu głos ten się odzywał bolesny, pełen cierpienia, dziecka ciało całe wiło się i kurczyło z bólu, aż i nowe omdlenie następowało. Powtórzyło się to wiele razy, aż nad ranem, kiedy i doświadczona Walusiakowa przybyła na pomoc, ratunek już był za późny — dzieciątko na krótką tylko karę skazane było na świecie, przestało płakać, oczy zmrużyło, już jego członeczki nie miały się więcej kurczyć z bólu — zasnęło, ale nie obudziło się wśród ludzi.

Garbusek, z przybitą, znękaną twarzą, chodził od matki do dziecka; zdawało mu się jednak, że matka, choć nie śpi, nie odczuwa niepokoju o synka, że ją krzyk jego ani męczy, ani razi. Doktor był wieczorem, zapisał leki, mówił, że ma gorączkę i że jej trzeba spokoju.

Spokoju — chata taka mała. Krzyk dziecka słyhać z jednego końca na drugi. Ona jednak zdaje się spokojna — nic jej to nie zawadza. Rumieńców dostała i oczy jej się świecą i patrzą, patrzą — a zda się nie widzą.

Rano przyszedł doktor — dziecko już nie żyło. W drugim pokoju je złożyli na łóżku Joasi.

— Jakże się mamy? — pytał doktor pa-

cyentki — gorączkę musieliśmy przecie wypędzić?— ale puls, za który trzyma, dowodzi, że gorączki nie wypędził.

Marcysia patrzy na niego, patrzy, ale ani się do niego uśmiechnie, ani mu dzień dobry powie.

Doktor wstaje, kiwa głową, bierze podane mu przez garbusa pióro i papier i pisze receptę.

Joasia tymczasem umarłe dzieciątko pieści i całuje i płacze nad niem, płacze, aż się zanosi, ale po cichu, bo doktor ostrzegał, aby się matka nie dowiedziała o śmierci.

Garbus nie śmiał pytać doktora, jak żona, toć spokojnie leży i nie narzeka, nie jęczy, pewnie będzie lepiej. Ale na co to pytać?... Doktor, co ma powiedzieć, to sam powie: a jemu i tak otuchy brak, aby iść na pocztę.

Iść jednak trzeba; niema się kim zastąpić, a pan naczelnik trochę cierpiący na wątrobę i już ostrzegał urzędnika, że mu nie da urlopu.

Garbus stracić urzędu nie może. Z czegożby żonę i siostrę kalekę utrzymał. Już i tak ostatnie czasy wiele grosza pochłonęły. Niema co, żona chora, ale trzeba iść na pocztę. Więc poszedł. Kwity podpisuje, myśli, gdzie trumienkę

kupić dla syna, paczki pieczętuje i myśli, czy też żona go pozna i powita, gdy wróci.

Umarłe dzieciątko na łóżku Joasi z oczu mu nie schodzi, błędny wzrok żony patrzy na niego poprzez ściany, poprzez ulice i szarpie mu serce na kawałki.

Znajomi „poddani“ dawniejsi pytają:

— Jak żona?

— Nie wiem — odpowiada.

— Jak dziecko?

— Umarło — mówi.

Litują się nad nim, on nie słyszy, bo mu w głowie tkwi myśl nowa: „Co też Marcysia powie, gdy się dowie, że dziecko nie żyje?“

A potem widzi pogrzeb dzieciątka, nieochrzczone biedactwo. Co to będzie? To znowu myśli: „A może dziecko omdlało i ożyje jeszcze?“

Tymczasem ciągle kwity wydaje i posyłki i marki, a o garbie zapomniał tak dalece, że gdyby kto w tej chwili palcem na niego wskazał i w głos drwić z niego począł, toby nawet oczu nie podniósł na szydercę.

— Czy też Marcysia dowie się dzisiaj o śmierci dziecka? Co to będzie, jak zapyta?... Czy też jej Walusiakowa nie odstąpi, bo Joasia sama rady nie da?

Co tam trwogi nieopisanej, to męki strasznej mieściło się w każdym uderzeniu serca biednego garbusa, gdy przy biurze siedział, pokornie nachylony, potulny i zdawało się, spokojny, co za pokutę, za drogę krzyżową odbywał za to szczęście, które przez rok cały mu przyświecało, a może też za tę złość, za tę arogancją i pogardę, z jaką ludzi traktował, zanim mu zaświeciło to szczęście...

I znowu dzień ten wiekiem mu się wydał; a gdy wybiła godzina opuszczania biura, dreszcze przebiegały go od stóp do głowy; nogi uginały się pod nim, chociaż Walusiakowa kilka razy przybiegała donieść mu, że Marcysia nie wie, że tak samo leży, jak leżała.

Teraz wchodzi garbusek do izby, w której Marcysia spoczywa, zbliża się do niej, całuje, ona oczy zwraca ku niemu, a choć świecące, ale obojętne i apatyczne.

On siada przy niej, swój oddech hamuje, aby jej oddech słyszeć wyraźnie, Joasia podaje mu herbatę, on pije machinalnie, nie wiedząc nawet, że szklanekę w rękę trzyma. Walusiakowa poszła, bo nie ma czasu, pani sędzina i tak już przez szpary patrzy na te miłosierne jej uczynki, ale nadużywać nie można jej wyrozumiałości.



Garbusek pyta po cichu Joasi:

— Brała lekarstwo?

— Brała, ale zdaje się, że gorączka większa, bo oddech prędszy.

I znowu cicho, cicho; wczoraj o tej porze dzieciątko jeszcze krzyczało, ale teraz śpi tak spokojnie...

Marcysia zasypia, ale około północy budzi się i pyta:

— Gdzie dziecko?

— Śpi — odpowiada garbus.

— Przynieś — wyszeptwała ledwie dosłyszalnym głosem.

Jakże tu przynieść? Ono już na sen wieczny ubrane i takie zimne.

— Obudzi się — mówi garbus.

— Przynieś — głośniej prosi Marcysia i oczy jej wyrazu nabierają.

— Będzie znowu krzyczeć. Śpij Marcysiu śpij...

— Dajcie mi dziecko! — niespokojnie woła Marcysia, coraz głośniej, coraz wyraźniej.

Co tu począć? „Panie Boże wszechmogący ratuj!” — woła w duchu garbus.

Wstaje, bo z oczu żony widzi, że niepokój jej rośnie i że jej drażnić nie można.

Stanął w drugiej izbie przy łóżku, a na niem

pod prześcieradłem rysuje się ciało zmarłego dziecka. Joasia klęczy przy niem i modli się.

— Joasiu, ona chce dziecko widzieć.

A z drugiego pokoju głos dochodzi:

— Dajcie dziecko, dajcie — i słychać, że się Marcysia na pościeli unosi. Co tu począć?

— Matko Najświętsza ratuj!

Garbus patrzy na Marcysię, szukając natchnienia i rady, ale w wyrazie jej twarzy widzi tylko strach, a myśli żadnej. Wraca garbus do żony, tuli ją do siebie i prosi tak łagodnie, tak serdecznie:

— Śpij Marcychno. Dziecko jutro zobaczysz. Nie trzeba go budzić. Połóż się.

Ale Marcysia siedzi na łóżku i niespokojnie wodzi oczyma dokoła i znowu prosi:

— Tylko mi je pokaż, ja nie obudzę.

— Ono takie chore — jak się obudzi, to mu zaszkodzi, doktor kazał ostrożnie.

— Chore?

— A tak.

— To mi je tylko pokaż — i patrzy w oczy męża tak natrętnie, że garbus głowę spuszcza.

— Joasiu! — woła chora.

— Czego chcesz? — ale się nie pokazuje, nie zbliża się do chorej, bo się boi jej prośby.

— Daj mi dziecko.

— Śpi.

— Chore?

— Chore.

— Bardzo?

— Bardzo.

Zastanowiła się Marcysia, pomyślała chwilę, aż rzekła w końcu:

— Pewnie umarło.

Cisza...

— To mi je pokażcie, choć umarło. Ja sły-  
szałam, jak umierało... Pokażcie!

Idzie garbus ciężkim krokiem, uchyla prze-  
ścieradła, wyjmuje martwą dziecinę i niesie  
ostrożnie, jakby się bał obudzić, albo ból sprawić. Idzie powoli i kładzie obok żony.

Ona ręką dotyka czołka, rączek, nóżek.

— Zimne — mówi — już nie rozgrzeję, już  
całkiem ostygły.

I położyła się. Garbus dziecko odniósł i na-  
krył prześcieradłem.

Gdy wrócił, oczy żony znów były zamglo-  
ne, a tak cicho było, tak cicho. Od czasu do  
czasu tylko Joasi łkanie dochodziło z drugiego  
pokoju. Garbus sam żonie lekarstwo podawał,  
ale z nieufnością, jedna tylko była apteka  
w mieście i jeden aptekarz. Leki aptekarskie  
nie miały dać zdrowia Marcysi.

Codzień gorączka wzrastała. Walusiakowa wyrzuciła przez okno i słoiki i flaszeczki aptekarzowe, ale już może za późno.

Nie minął tydzień, a stolarz miejscowy brał miarę na nową trumnę w domu garbuska, tylko tym razem na większą.

Nie minął tydzień, a Marcysia martwa leżała na atłasowej poduszce, taka biała, taka biała. Bielsza i piękniejsza, niż za życia. Oczy zamknięte nie spojrzą już na garbusa, ręce zimne trzymają krzyżyk, złożone na piersiach.

Garbus nic nie mówi, ani płacze, ani się skarży, zaniemiał całkiem.

Wiele miesięcy i wiele lat minęło. On ciągle chodzi na pocztę i pisze i pieczętuje, ale już nie zrzędzi.

Cichy, potulny, pokorny, obojętny.

Są serca, które życie na pobojobowisko zmieniło, inne na ugór, inne na opokę; w innem blizny, w innem jad i gorycz.

W sercu pana Walerego jeden grób tylko, jedna trumna, ta go gniecie i do ziemi tłoczy, póki się w niej sam nie schowa.

Ale garb go już nie uciska...



## SPIS RZECZY.

	Str.
Mój Testament . . . . .	1
Mea . . . . .	129
W sercu garbuska . . . . .	235



I-29,622

<http://rcin.org.pl>

akc. 192/75K









I  
29622